

MARTA FOX

CORAZ MNIEJ MILCZENIA

O dramatach dzieciństwa
bez tabu

Coraz mniej milczenia
podrzucał brzo-
wcają brzo-
obecny, uczęszcza-
w [teoretycznie] [tam],
Klasyfikacja [tam],
i polcestru [tam].

Andrzej, [tam] [tam]

Adrian [tam] [tam]
Otworzył [tam] [tam],
Hrabia [tam] [tam],
właściwie [tam] [tam].

Historia [tam] [tam]
[tam] [tam].

Wydawnictwo



Marta Fox

CORAZ MNIEJ MILCZENIA

O dramatach dzieciństwa bez tabu

Siedmioróg

Proszę zachować niepokój.

Nie przedstawiać żadnych dowodów, nie zeznawać pod przysięgą.

Oszczędzić sobie wyrzutów poza wyrzutami sumienia.

Tylko niepewność daje jakąś gwarancję.

Tylko niepokój może nas uratować.

Maciej Woźniak.

Komunikat

Marta Fox www.martafox.pl www.martafox.republika.pl

e-mail: artafox@katowice.home.pl

Rany i drzazgi dzieciństwa

Jeśli o swoim dzieciństwie możesz powiedzieć, że najlepsze w nim było to, że minęło i nigdy nie wróci - to - opowiedz mi swoją historię.

Kto Cię krzywdził: matka, ojciec, nauczyciel, opiekun?

Kto się nad Tobą znęcał i w jaki sposób?

Kto wykorzystywał Twoją bezradność?

Czy zdawałeś sobie sprawę z tego, że byłeś krzywdzony, czy dopiero dorosłość pozwala Ci inaczej patrzeć na swoją przeszłość?

Zbieram materiały do książki o ofiarach dzieciństwa.

Zapewniam anonimowość. Skontaktuję się z wybranymi osobami.

Korespondencję proszę przysyłać na adres:

Skrytka pocztowa 26

41-206 Sosnowiec lub martafox@katowice.home.pl

Serdecznie pozdrawiam i z góry dziękuję za zaufanie.

Marta Fox

„Prawda, którą chcę tutaj pokazać, nie jest szczególnie skandaliczna albo jest nią tylko w tym stopniu, w jakim każda prawda jest skandalem”.

Margueritte Yourcenar

CI, KTÓRYM PLUJĄ W TWARZ.

Ci, którym plują w twarz. mają specjalne niebo. oplutych.

Idą do niego dopiero po śmierci, ale czasem na mgnienie oka wolno im zaznać i tutaj tego nieba.

W którym będą się cieszyć przez wieczność, że nie mają już twarzy, na którą można plunąć.

Że ich już nie ma tak mocno jak mocno pluto im w twarz, kiedy byli.

Anna Świrszczyńska

Rozdział I

Część 1

Dziewczynka z kokardami

Dziewczynka z kokardami.

To ja nią byłam, dawno, bo ponad czterdzieści lat temu.

Mało kto znał moje imię. Nauczyciele wywoływali mnie po nazwisku albo po numerze z dziennika, a w klasie i na podwórku mówiono - ta z kokardami. Nawet jak udało mi się je ściągnąć i schować do kieszeni, to też

tak na mnie wołano: Hej, ty z kokardami albo: Ty, kokarda.

Dwie sterczące kokardy, niebieskie albo białe, nylonowe, czyli modne, nie byle jakie, nie trzeba było ich prasować, wystarczyło tylko uprać, wysuszyć i zawiązać. Musiałam o nie dbać, podobnie jak o biały kołnierzyk przy granatowym fartuszk, niemnący, też z nylonowej tkaniny, z dziurkami na guziki, dzięki którym można go było przypinać, zamiast przyszywać.

Zawsze wieczorem, jeszcze przed rachunkiem sumienia i modlitwą, musiałam pokazać mojej opiekunce, którą miałam obowiązek nazywać ciocią, jak jestem przygotowana do szkoły.

Sprawdzała zeszyty, dzienniczek ucznia, na koniec kołnierzyk i kokardy. Mój czysty kołnierzyk oraz sterczące kokardy świadczyły o mnie, a bardziej o cioci, która mnie wyrwała z dołów społecznych i postanowiła wychować na porządną, co znaczyło - w każdym calu bogobojną, dziewczynę, a później kobietę. Nie szczędziła na to sił i środków.

Zapamiętałam to sformułowanie. Ciocia (w obecności obcych koniecznie: ciotunia) przy lada okazji, a także bez niej, nie bacząc na miejsce, zwykła wpadać w koturnowy styl i przemawiać.

- Moje drogie dziecko, my nie będziemy szczędzić sił i środków na to, by wytępić w tobie złe przyzwyczajenia, naganne zachowania, my nie będziemy szczędzić sił i środków, by wychować cię na prawą w każdym calu kobietę!

Wydawała mi się wówczas potężna i silna, byłam pewna, że nie tylko osiągnie swój cel, ale że osiągnie każdy cel, a po drodze jeszcze kilka gór przestawi, jeśli by takie się pojawiły niespodziewanie.

Przemawiała w końcu w imieniu porządnej, mieszczańskiej rodziny, dbającej o cudze dziecko lepiej niż o swoje, co miało jej być policzone w niebiosach, tym bardziej, im mniej było dostrzegane i doceniane tutaj. Ślady tego teatralnego stylu odnajdowałam po latach w patetycznych przemówieniach wodzów naszego upadającego socjalistycznego państwa i od razu miałam potrzebę stanąć przed I sekretarzem na baczość niczym przed ciotunią.

Słowa "szczędzić", a także w "każdym calu" mam w repertuarze do dziś, mimo że wielokrotnie przysięgałam sobie wykreślić je ze swojego słownika. Podczas tych przemówień nie odmiennie czułam podniosłość chwili, a także różnicę pomiędzy jej odświętnością a zwykłymi dniami, w których byłam

nazywana”niewdzięczną dziewczuchą”.

- Ta niewdzięczna dziewczucha znów się zmoczyła - wrzask babci i mocne klaśnięcie mnie w twarz przerwały przemówienie ciotuni, babci synowej.

- Ty wstrętna paskudo, ty złośliwy potworze - ciocia wykazywała się zawsze większą elokwencją - czy nie umiesz sygnalizować swoich potrzeb? Nie czujesz, kiedy ci się chce, nie umiesz powiedzieć albo zrobić bez mówienia, dyskretnie, za to we właściwym miejscu? Przecież psa łatwiej wyszkolić niż ciebie! Ale psy nie są złośliwe wobec swojego pana, psy są wierne i wiedzą, czym powinna być wdzięczność za to, że się je przygarnęło. Oj, będziesz ty się w piekle smażyć, będziesz.

Za karę nie dostawałam kolacji albo zamykano mnie w ciemnej komórce z rupieciami, czasem w łazience, w której było zawsze zimno, nawet w lecie, z wyjątkiem soboty, bo wówczas w wysokim łazienkowym piecu palił się ogień i nagrzewał wodę do kąpeli dla wszystkich domowników.

Wolałam łazienkę. Było w niej więcej miejsca, mogłam się położyć na drewnianej podłodze, pomiędzy muszlą klozetową a wanną, przykryć się ręcznikiem i marzyć o tym, by Pan Bóg mnie ukarał, jak chce, byle tylko nie powiedział o mnie zbyt wiele złego rodzicom, bo ci gotowi nigdy mnie od ciotuni do siebie nie zabrać. Komórki się bardziej bałam, było tam mniej miejsca, śmierdziało starymi kartoflami, a na dodatek to właśnie w komórce ukrywał się Liczyrzepa, który najlepiej wiedział, co zrobić z niegrzecznymi dziewczynkami sikającymi w majtki, nie dość że w nocy, to jeszcze w dzień, nie dość że w dzień, to jeszcze podczas podniosłej chwili, w której ciocia nie szczędziła sił i środków.

Postanowiono więc oduczyć mnie sikania gdzie popadnie metodami niczym nie różniącymi się od tych, które stosowano wobec psa. Nie wzięto tylko pod uwagę jednego - mojej wyjątkowej odporności pedagogicznej, pozwalającej mi trwać przy swoich przyzwyczajeniach bez względu na ilość niezjedzonych kolacji, godzin spędzonych w ciemnościach razem z kartoflami lub pastami do podłóg, którymi w każdy piątek nacierałam czerwone, drewniane podłogowe deski, łącznie z drewnianymi listwami biegnącymi wzdłuż ścian, a potem siadałam na flanelowej szmacie, w rękach trzymając dwie następne szmaty, i wybłyszczalam tę podłogę, bo musiała być

tak świecąca jak wujka lakierki, o które też miałam obowiązek dbać.

Ciocia była uparta i ja byłam uparta. Trzeba przyznać, zadawała sobie dużo trudu, wstając co najmniej trzy razy w ciągu nocy i wyciągając mnie do ubikacji, żebym się wysikała, do czego byłam zmuszana prośbą i groźbą, puszczaniem wody do umywalki, gwizdaniem, a nawet wkładaniem nóg do miski z zimną wodą. Efekty owej troski zazwyczaj było widać rano, kiedy to służąca, młoda dziewczyna śpiąca w służbówce, zabierała prześcieradło do prania.

Najgorzej jednak było w ciągu dnia, kiedy tuż przed wyjściem do pracy ciotunia pytała, czy nie mam mokrych majtek.

Zgodnie z prawdą (bo prawda nade wszystko) mówiłam, że mam suche, a wtedy ona podchodziła z groźną miną i wkładając mi rękę pod sukienkę, syczała złowrogo: - No to sprawdzimy. Reagowałam błyskawicznie. W momencie, kiedy dotykała moich suchych majtek, uwalniały się wszystkie blokady i tak jak nie mogłam wysikać się w nocy, patrząc na lecącą z kranu wodę, teraz wypuszczałam jeden wielki sik, mocząc rękę ciotuni i robiąc wokół siebie niezłą kałużę, bo okazywało się, że mimo krzyków typu "przestań natychmiast!", sikanie wypływało ze mnie bez oporów, z satysfakcją poprawnie i nareszcie spełnionej czynności fizjologicznej, za którą powinna mi się należeć tylko i wyłącznie nagroda, no bo przecież grzeczna ze mnie dziewczynka z kokardami - nareszcie odpowiedziała na apel cioci, cóż z tego, że w innym miejscu i czasie.

Zamiast nagrody była kara. Najpierw uderzenie w twarz, a potem tyrada: - Ty wstrętna, krnąbrna, kłamliwa dziewucho, co za diabelskie nasienie cię spłodziło (tego nie rozumiałam, ale zapamiętałam), już ja cię wychowam, już ja cię nauczę, już ty mnie popamiętasz na całe życie, a nawet i wtedy mnie wspomnisz, kiedy się będziesz w piekle smażyć. I tutaj, przyznaję, proroctwa ciotuni się spełniły, bo pamiętam ją, pamiętam niemal każde jej słowo, spojrzenie, różne miny.

W następnej krótkiej fazie resocjalizacji ciotunia kazała mi szybko ściągnąć majtki, co rzeczywiście robiłam błyskawicznie, a ona czubkiem buta naprowadzała je na kałużę, wycierała podłogę i w przypiływie wściekłości podnosiła je wypielęgowaną dłonią i smarowała mi tym twarz, abym raz na zawsze zapamiętała.

Zapamiętałam. Te mokre majtki i cioci rękę, która nie szczędziła sił i środków.

W końcu ciocia, jako dobra opiekunka, skapitulowała i poszła ze mną do lekarza. Zrobiła to pod wpływem sugestii swojej koleżanki z pracy, wysokiej rangą urzędniczki sądowej, z której zdaniem widać bardzo się liczyła. Pamiętam tę wizytę, bo się jej wyjątkowo bałam.

Doktora znieubiłam od pierwszego wejrzenia.

- Jaka śliczna dziewczynka z kokardami - powiedział na dzień dobry i nie zapytał o moje imię, mimo że zachowałam się nie naganie, dygnęłam jak trzeba, prawą nogą dwa razy, i stałam obok jego biurka spokojnie, nie mając odwagi rozglądać się dookoła.

Zbadał mnie dokładnie zimnym stetoskopem, podnosił mi ręce do góry, zaglądał go gardła, a ciotunia mu w tym czasie opowiadała, jak o mnie dba, w jakich idealnych warunkach się wychowuję, jak to mi nic nie brakuje, a także, oczywiście, jaka jestem krnąbrna.

- Lenistwo - zawyrokował. - Lenistwo - powtórzył.

Zapamiętałam tę diagnozę, która ciotunię wielce usatysfakcjonowała i utwierdziła w słuszności stosowanych względem mnie metod, o których, rzecz jasna, nic lekarzowi nie powiedziała.

Podczas wieczornego rachunku sumienia babcia pomagała mi uświadomić sobie grzechy, jakie popełniam, kiedy sikam w majtki.

- Ile grzechów dzisiaj popełniłaś? - pytała spokojnie jak nauczycielka matematyki, którą była przed wojną.

- Jeden - odpowiadałam, od razu przyznając się do winy.

- Jaki? - drążyła babcia.

- Posikałam się - odpowiadałam zgodnie z prawdą.

- Tak, to jest grzech - stwierdzała babcia - to jest grzech nieposłuszeństwa, ale także grzech lenistwa, na co zwrócił uwagę lekarz, a więc już dwa grzechy - liczyła babcia dalej.

- Ponieważ jednak nie przyznałaś się cioci od razu, że masz mokre majtki,

więc na dodatek jeszcze kłamałaś i to jest trzeci grzech, grzech kłamstwa, bardzo ciężki grzech - wyliczała.

A kiedy byłam już prawie pewna, że żałować muszę za trzy grzechy, okazywało się, że także za czwarty, którym jest moja zatwardziałość w postępowaniu.

Więc żałowałam, głośno, wyraźnie wyznając raz jeszcze swoje grzechy, dla lepszego zapamiętania, oraz głośno i wyraźnie powtarzając za babcią modlitwy. Babcia była zadowolona, jeśli modliłam się głośno. Czasami, w nagrodę, może jednak Pan Bóg się ulituje i sprowadzi mnie na właściwą drogę, ja jednak nie byłam tego pewna i z dnia na dzień widziałam, jak zmniejszają się moje szanse uniknięcia piekła w przyszłym życiu, tym bardziej że zachowaniem występowałam również przeciwko czwartemu przykazaniu, nie czciłam bowiem dostatecznie ani matki, ani ojca swego, w tym przypadku - opiekunów swoich. Do tego, niestety, doszły jeszcze grzechy popełniane przeciwko

Bogu, a to już był szczyt wszystkich grzechów, który radykalnie odbierał mi nadzieję na żywot w raju, gdzie znaleźć się mieli wszyscy domownicy, prócz mnie, oczywiście.

Była to dla mnie wyjątkowo trudna sytuacja i wyjątkowo trudny wybór, z czego zdałam sobie sprawę, kiedy już byłam nieco starsza: bo z jednej strony bardzo się bałam piekła, a z drugiej absolutnie nie chciałam w następnym życiu spotkać ani ciotuni, ani babci, a przy okazji jeszcze kilku innych osób, bezwzględnie bogobojnych, prawdomównych i chełpiących się wieloma innymi cnotami, łącznie z tą, że nie sikali w majtki, i to chyba nie tylko z racji wieku.

Nikomu się nie żaliłam, bo i komu, nawet do rodziców listy pisałam pod dyktando cioci lub babci, a to znaczyło, że muszę się roztkliwiać nad tym, jak mi tutaj dobrze, aby i oni uwierzyli w wielkie szczęście, które mnie spotkało dzięki dobroci wujostwa zapewniających mi bezpieczny, porządny i pełen wygód dom, gdzie wszyscy myślą tylko o tym, jak mi dogodzić.

Nie mogłam się doczekać dnia, w którym przystąpię do Pierwszej Komunii Świętej. Wyobrażałam sobie, że wówczas wszystko się odmieni w moim życiu, co dokładnie, nie wiedziałam, ale wszystko mogło oznaczać wszystko, więc najpierw wyzbycie się strachu przed piekłem albo kolację

każdego dnia, albo i to, że dzieci i nauczyciele w szkole mnie polubią, na podwórku nikt mnie nie zwyzywa od przygłupów, a na koniec, że moi rodzice przyjadą, zabiorą mnie do domu, który na pewno okaże się wspaniały, choćby z powodu braku komórki z kartoflami i Liczyrzepą mogącym w każdej chwili stamtąd wyjść i zabrać mnie do swojej dziwnej krainy w górach, porównywalnej tylko z piekłem.

Uczęszczałam więc pilnie na katechezę, modliłam się głośno i wyraźnie, przynosiłam piątki ze szkoły, a także do perfekcji opanowałam sztukę okupowania toalety w chwili, kiedy ciocia wychodziła do pracy, dzięki czemu udawało mi się unikać pytań o suche majtki i wkładania mi ręki pod fartuszek.

Ze szkoły, jak i z lekcji religii miałam obowiązek wracać od razu do domu. Kościół znajdował się nieco dalej od domu niż szkoła, więc zawsze udawało mi się pół godziny wygospodarować, z której nie byłam rozliczana. Potem mówiłam, że modliłam się w kościele za swoje grzechy i zdrowie wszystkich domowników albo że katechetka dłużej nam czytała przypowieści biblijne. Wracałam z koleżanką mieszkającą w kamienicy obok. Po drodze mijaliśmy kościół

garnizonowy, dla nas zakazany, dlaczego - nie wiedziałyśmy, ale właśnie ten zakaz miałyśmy wielką ochotę smakować.

Kościół niczym właściwie się nie różnił od naszego, poza tym, że na sklepieniu było malowidło przedstawiające Boga, co dziwne, wcale nie z groźną miną, więc lubiłam na Niego patrzeć i wyobrażać sobie, jak mówi do mnie same dobre rzeczy. Bóg był stary i miał siwe, długie włosy, wokół niego fruwały pulchne aniołki, bardzo ładne, zadowolone, z jasnymi, kręconymi włosami, bez kokard, więc byłam pewna, że im dobrze z tym Bogiem, na pewno lepiej niż mnie z moim.

- O, jaka grzeczna dziewczynka z - kokardami - powiedział

któregoś dnia ksiądz, jak się później dowiedziałam, kapelan w tym kościele.

Zauważył najpierw mnie, bo siedziałam wyprostowana, a koleżanka właśnie próbowała wyciągnąć spod ławki zawieszony tam święty obrazek, jeden z takich, jakie ksiądz rozdaje grzecznym dzieciom, kiedy chodzi po kolędzie.

- Jak masz na imię? - zapytał.

- Danusia - odpowiedziałam tak szybko, jak tylko po trafiam, jakby w obawie, że ksiądz się rozmyśli i będzie mnie nazywał albo raczej wyzywał od dziewczynek z kokardami.

- Danusia - powtórzyłam raz jeszcze, wyraźnie, głośno, aby i Pan Bóg usłyszał i sobie zapamiętał.

- A ja mam na imię Basia - powiedziała koleżanka, wychylając głowę spod ławki.

Natychmiast ją uszczypnęłam, no bo przecież dzieci niepytane nie powinny się odzywać.

- Co mnie szczypiesz? - prawie wrzasnęła Basia - przecież ja nic złego nie robię!

Nie miałam odwagi spojrzeć na księdza, znów jakby ze strachu, że zacznie się dopytywać o to szczypanie albo mnie skarci, albo wygoni z kościoła i nie pozwoli więcej tu przychodzić.

- Danusia miała dwa dni temu imieniny, prawda? - zapytał.

Natychmiast przytaknęłam, choć nic nie wiedziałam o swoich imieninach.

- W takim razie zapraszam was, dziewczynki, na oranżadę i herbatniki - powiedział, a ja od razu byłam zła, że Basię też zaprasza, skoro ona imienin nie miała.

Weszliśmy na plebanię, trzymając się za ręce. Do dziś nie potrafię określić zapachu, który wtedy poczułam, więc nazwałam go na własny użytek "tajemniczym". Bo nie był to ani zapach kościoła, ani zakrystii, ani domu. Dla mnie był wyjątkowy, dobry, bezpieczny, tęskniłam za nim od tamtej chwili każdego dnia, najbardziej przed snem. Ta tęsknota była miła, jakby dawała mi nadzieję, że kiedyś, gdy będę duża, mój dom też tak będzie pachniał - zapachem dobra tego świata.

- Mamy gości - powiedział kapelan - to jest Danusia, a to Basia - przedstawił nas kobiecie, którą nazywał gospośią.

Gospośia wcale nie wyglądała jak ta u nas, która sprzątała, prała i

zaprowadzała mnie do szkoły. Księżdz gosposia była stara jak babcia i gruba jak babcia. Nie spodobała mi się, mimo że uśmiechała się do nas, zdjęła nam płaszczyki i dała szmatę, byśmy sobie dobrze wytarły buty.

A potem przyniosła nam oranżadę, prawdziwą, z bąbelkami, a do niej nie tylko herbatniki, ale również cukierki i coś, co nazwała chałwą, a czego ja do tej pory nie jadłam, zresztą Basia też nie. Wyzbierałyśmy starannie okruszki. Gdybym nie była u ciotuni ćwiczona, to wylizałybyśmy talerzyki, do czego Basia już się przymierzała, ale znów ją uszczypnęłam, więc się zreflektowała i zostawiła talerzyk w spokoju. Ksiądz kapelan, jak go potem w myślach nazywałam, wypytał nas o to, gdzie mieszkamy, do której szkoły i klasy chodzimy. Odpowiadała Basia, była odważniejsza. Ja patrzyłam, chcąc zapamiętać każdy szczegół w wyglądzie księdza, który nie miał w sobie nic z Mikołaja, co daje prezenty wyłącznie w zamian za całoroczną grzeczność udokumentowaną na koniec modlitwami, recytacjami i obietnicami.

Ksiądz nie miał w sobie też nic z groźnego Pana Boga, zarządzającego niebem i piekłem, może dlatego, że dysponował tylko plebanią, kościołem i słodyczami. Odpowiadało mi to, wołałam słodycze i ciepłą rękę księdza głaskającego mnie po głowie na do widzenia i obdarowującego słodyczami na drogę.

- Policz, ile masz - powiedziała Basia po wyjściu.

- Osiem.

- A ja mam dziesięć - pochwaliła się - i mnie ksiądz dwa razy pogłaskał - dodała z dumą.

Zjadłyśmy wszystko przed wejściem do domu i obiecałyśmy jedna drugiej, że nikomu nie powiemy ani o zakazanym kościele, ani o wizycie na plebanii.

Nikomu - to znaczyło, że ani w domu, ani żadnej z koleżanek.

Czułyśmy, że ta solidarność nam się opłaci, ale w tamtej chwili na pewno nie wiedziałyśmy, że wystawi nas również na próbę, wedle której ostatni staną się pierwszymi, a zwycięzcy przegranymi.

Od czasu tego spotkania marzyłam, by każdy dzień skończył się jak najszybciej i bym wreszcie mogła znaleźć się w łóżku, gdzie już nic nie będę musiała robić, tylko wyobrażać sobie ciepłe ręce kapelana, który głaszcze

mnie po głowie i podsuwa kolejne ciasteczko.

Byłam w drugiej klasie szkoły podstawowej, na wiosnę miałam przystąpić do komunii, a doznawałam wszelkich oznak zakochania, kiedy to serce łomocze nawet na samą myśl, że po drugiej stronie ulicy jest zakazany kościół, a w nim najlepszy na świecie Pan Bóg, który zesłał mi kogoś, kto chciał wiedzieć, jak mam na imię.

Chodziłyśmy tam co tydzień, zawsze po lekcji religii.

Ksiądz kapelan wiedział już, kiedy przyjdziemy, więc słodkości były zawnazs przygotowane, co mogłyśmy spostrzec od razu, jeszcze podczas zdejmowania płaszczy w przedpokoju. Kapelan wiedział

również, że nie możemy u niego siedzieć dłużej niż pół godziny, bo potem nasi rodzice zauważyliby spóźnienie i musiałybyśmy odpowiadać na pytania o przyczynę.

- A ona nie ma rodziców, tylko ciocię i wujka - powiedziała któregoś razu Basia, kiedy kapelan to mnie, a nie ją trzymał na kolanach.

- Jak to nie ma? - zdziwił się ksiądz.

Skorzystałam z tego skarżenia Basi i na wszelki wypadek nie zaprzeczyłam, tylko kiwnęłam głową.

- Jesteś sierotką? - zapytał z troską kapelan i przytulił mnie mocniej.

Wierciłam się na jego kolanach, coś twardego uciskało mnie w pupę, więc zmieniałam pozycję, ostrożnie, w obawie, że to moje wiercenie nie spodoba się księdzu. Ale on nie miał nic przeciwko temu, a nawet był zadowolony, bo delikatnie podskakiwał kolanami.

Oddychał szybko, dmuchając mi w ucho.

- Biedna sierotka - szeptał - bardzo biedna sierotka.

Nie zaprzeczałam, zresztą nie bardzo wiedziałabym, jak księdzu wytłumaczyć to, że mam rodziców, ale że nie opiekują się mną dla mojego dobra, a dla jeszcze większego dobra opiekuje się mną ciocia, babcia, wujek i służąca. Poza tym bardzo mi się spodobało słowo "sierotka", było jak z bajki, w której wszystko się dobrze kończy, a sierotkę spotyka nagroda. Chciałam

być sierotką, czułam, że czas wielkiej nagrody się zbliża i że muszę zrobić wszystko, aby ją otrzymać.

- Nie taka biedna - znów wtrąciła Basia, ona zawsze gadała niepytana - u nich w domu jest wszystko, nawet fortepian.

- Ale nie mam słodyczy i sikam w majtki z lenistwa, a za karę muszę siedzieć w komórce, gdzie zagląda Liczyrzepa, i pójdę do piekła - wyrzuciłam z siebie jednym tchem i zaraz się rozplakałam.

Może mówiłabym dalej o swoich krzywdach, ale ksiądz zaczął

mnie uspokajać i prosić, abym nie płakała, a na koniec powiedział, że on się wszystkiego dowie i mnie zaadoptuje, a wtedy już nie stanie mi się żadna krzywda.

Nie wiedziałam, co kryje się za tajemniczym słowem "zaadoptuje", ale znów czułam, że to może być coś bardzo dobrego.

- Nie bój się, Pan Bóg nie wysyła do piekła takich dobrych dziewczynek jak ty - pocieszył mnie, zsunął z kolan i posadził na krześle obok.

Basia natychmiast 'skorzystała z okazji i wskoczyła księdzu na kolana. Przytuliła się do niego i patrzyła na mnie, jak sobie pochlipuję.

- Ja też jestem dobrą dziewczynką, prawda?. zapytała, szukając u księdza potwierdzenia.

- Tak, jesteś dobrą dziewczynką, a Bóg jest miłością i kocha was obie, dlatego żadna z was nie pójdzie do piekła - wytłumaczył i zsunął

Basię z kolan. - Idź do kuchni i poproś gospozię o chusteczkę do nosa, zobacz, Danusia zaraz będzie miała ślizgawkę na rękawie.

- Bóg jest miłością - powtórzyłam. - Czy to znaczy, że on nie ma piekła i że mnie tam nie wrzuci, żebym się usmażyła? - upewniałam się.

- Nie bój się, Danusiu, musisz wierzyć, że Pan Bóg wybiera dla ciebie tylko dobre ścieżki, powinnaś go kochać, nawet gdy jest ci źle i smutno.

- I nawet gdy on mnie nie kocha?

„On ciebie kocha, kiedyś to zrozumiesz.

Nikt do mnie tak nie mówił, nikt mnie nie pocieszał, nie tulił, nie głaskał. Marzyłam, aby z nim mieszkać, czyścić mu buty, pastować podłogi. W moich marzeniach nie było Basi, chciałam mieć księdza tylko dla siebie, nawet jej kiedyś powiedziałam, że oddam wszystkie moje cukierki i przyniosę jej całą chałwę, byle tylko pozwoliła mi iść na plebanię samej. Nie zgodziła się. Od tej chwili stała się jeszcze bardziej czujna, zazdrosna.

Któregoś razu dostałyśmy na drogę wyjątkowo dużo słodyczy. A może po prostu były większe, tego nie pamiętam, ale na pewno były pozawijane w ładne srebrne lub złote papierki.

Przed domem wyjadałyśmy resztki, a papierki wygładzałyśmy na murze, bo żal nam było je wyrzucić. I w takiej właśnie sytuacji przyłapała nas ciocia. Miałam w buzi ostatni kawałek jakiejś czekoladki, kiedy nagle stanęła przede mną i zapytała:

- Skąd masz takie słodycze?

Nawet nie mogłam odpowiedzieć, bo najpierw musiałam przełknąć.

- Otwórz buzię - powiedziała.

Otworzyłam. Zobaczyła zęby zaklajstrowane czekoladową mazią.

- Skąd to masz? Kto ci dał? - zapytała już całkiem groźnie. -

Przecież wiesz, że nie można nic przyjmować od obcych.

Wiedziałam. Ale ksiądz nie był obcy.

- Skąd to masz? - ciocia chwyciła mnie za ucho i podciągnęła w górę. Zasyczałam.

- My te cukierki ukradłyśmy - powiedziała niespodziewanie Basia.

- Komu? - dociekała ciocia, ciągle trzymając mnie za ucho.

Zdążyłam kopnąć Basię w kostkę i chyba zrozumiała, że musi kłamać dalej.

- Katechetce - palnęła bez namysłu.

Byłyśmy uratowane, choć nie do końca. Od tej chwili wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. W domu dostałam lanie, którego skutki

odczuwam do dziś, szczególnie kiedy na dworze jest wilgoć albo przy zmianie pogody. Ciotunia okładała mnie wszystkim, co miała pod ręką, przy czym raz uderzyła tak niefortunnie, że uszkodziła mi kość ogonową.

Otrzymałam absolutny zakaz spotykania się z Basią. Musiałam też pójść do katechetki z kwiatami i ją przeprosić. Zaprowadziła mnie babcia, która na szczęście miała przytępiony słuch i nie usłyszała, że nie powiedziałam nic, tylko podałam kwiaty i od razu się rozplakałam, a katechetka zaczęła mnie przytulać. Potem wzięła mnie za rękę, podeszła do babci i powiedziała, że nie trzeba było, po co, że uczenie jest jej obowiązkiem. A babcia na to:

- Ona na pewno sprawia pani także inne kłopoty, nie tylko te, za które przepraszała.

Od tej pory zaczęły się ze mną dziać same smutne rzeczy: bardzo wychudłam, bo nie chciałam jeść; a jak już mnie zmuszono, to wymiotowałam, zaczęłam znów sikać, wpadłam w anemię. Wysłano mnie do prewentorium, w którym spędziłam co najmniej kilka miesięcy. Umierałam tam z tęsknoty za księdzem, za Basią, nawet za komórką z groźnym

Liczyrzepą.

Patrzę teraz na czarno-białe zdjęcie. Dwie dziewczynki trzymają się za ręce. Ta z kokardami - to ja. Obok Basia. Po wielu latach udało mi się ją odnaleźć, najpierw nawiązałyśmy korespondencję, a w końcu doszło do spotkania. Kiedy oswoiłyśmy się ze sobą na tyle, by móc się zwierzać bez zahamowań, Basia wyznała mi, że tamten ksiądz był jej pierwszym mężczyzną. Tak więc dzięki kłamstwu Basi przeżyłam inicjację dopiero ze swoim chłopakiem, który kilka lat później został

moim mężem. I jest nim do dziś. A Basia? Och, Basia to zupełnie inna historia. Może kiedyś i ona komuś ją opowie.

Część 2

W niedzielę myślę magicznie, na co dzień nie mam na to czasu

Rozmowa z Danusią, pierwowzorem bohaterki opowiadania "Dziewczynka z kokardami".

Przyjeżdżam do jej miasta. Spotykamy się o godzinie 17.00, w hotelowej

kawiarni. Danuta przychodzi punktualnie. Chciałam na dzień dobry zapytać o kokardy, pewna, że wprowadzi to swobodny nastrój, ale widząc jej skupioną i poważną twarz, orientuję się, że to byłoby najgłupsze, co mogłabym zrobić. Podczas ponad dwugodzinnej rozmowy nie uśmiechnęła się ani razu. Wysoka, szczupła, ufryzowana w różne odcienie kasztanu, w kostiumie. Pije wodę mineralną z cytryną, potem herbatę z cytryną. Wszystko wytrawne. Zanim zaczniemy rozmawiać, zapnie bluzkę na ostatni guzik pod szyją. Potem rozepnie na chwilę, ale zaraz przywoła się do porządku.. i zapnie ponownie.

Rozmawia płynnie, jakby dokładnie wiedziała, co chce mi powiedzieć, choć czasami zastanawia się, co robi wrażenie.

Marta Fox: Pani Danuto, może wyda się to pani paradoksalne, ale najpierw chciałam zapytać o Basię. Czy dowiedziała się pani, dlaczego Basia skłamała? Dlaczego powiedziała, że ukradłyście cukierki?

Danuta: Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Po latach mówiła... że moje kopnięcie było dla niej sygnałem, znakiem, by jednak nie mówić prawdy, nie zdradzić nas, ale dlaczego wymyśliła kradzież, tego nie wiedziała, to było po prostu pierwsze, co jej przyszło do głowy. Na co dzień, bez okazji, nikt nie częstował wykwintnymi cukierkami, to były czekoladki kształtem przypominające malagę. Przez wiele lat obmyślałam plan zemsty na Basi. Czułam ogromny żal, bo przez to jej kłamstwo zostałam odsunięta od kapelana, także od niej.

To była bardzo trudna sytuacja dla małej dziewczynki, którą wówczas byłam. Ponośliam karę za coś, czego nie zrobiłam, a w dodatku zostałam odsunięta od źródła dobra. Kiedy byłam trochę starsza, wymyśliłam sobie, że w postępowaniu

Basi była perfidia, polegająca na świadomym wykorzystaniu sytuacji do własnych celów. Posądzałam też Basię o najdziwniejsze inscenizacje, a wszystkie służące temu, aby na placu boju pozostała tylko ona. Kiedy jako dorosłe osoby poznałyśmy własne historie, zrozumiałam, że w jej postępowaniu nie było perfidii, choć być może było podświadome pragnienie, by pozbywając się mnie, wyeliminować rywalkę ze wspólnych spotkań.

Nie miałyście wtedy świadomości, że jesteście wykorzystywane?

Ależ skąd! Nie byłyśmy uświadomione, więc nie miałyśmy pojęcia, co nas uciska w pupę, ale widziałyśmy, że nasze wiercenie się na kolanach kapelana sprawia mu przyjemność, bo nas wtedy bardziej przytulał, całował po buzi i szeptał do ucha, więc gotowe byłyśmy się wiercić i wiercić.

A nawet rywalizować o to, która robi to lepiej. Być może gdyby kapelan zaproponował mi także inne "zabawy", zgodziłabym się z ochotą, nawet gdybym przeczuwała, że w tym, co proponuje, jest coś niewłaściwego. Myślę, że zgodziłabym się na wszystko za odrobinę czułości, serdeczności, bliskości, przytulenia, pogłaskania.

Zgodziłabym się na wszystko za odrobinę miłości. Wówczas nie potrafiłam odróżnić dobrej miłości od złej. Dlatego teraz, kiedy jestem dorosła, rozumiem te dzieci z dworców. I zastanawiam się, czy gdyby to wszystko działo się dzisiaj, nie byłabym odważniejsza i nie uciekłabym od ciotki, z tak zwanego dobrego domu. Może skończyłabym tak jak one, te dzieci z dworców - na początku byłabym pod wrażeniem uczucia do osoby, która mnie przygarnęła, a później, to wiadomo, później byłoby za późno na odwrót. Kiedyś oglądałam reportaż o takich dzieciach i zastanawiałam się, co złego spotkało je w życiu, Jedno wiem na pewno - nie zaznały miłości.

Kiedy teraz patrzy pani na lata spędzone u "dotuni", co było w nich najbardziej złe dla pani?

Straszenie.

Liczyrzepą, który mieszka w komórce i zabiera niegrzeczne dziewczynki?

Nie. Najgorsze było straszenie piekłem, w którym będę się smażyć za swoje grzechy. Czy pani wie, że ja do tej pory to mam?

Co?

Ten strach przed piekłem. Mam tak mocno wpojone, że jeśli opuszczę mszę niedzielną, to będę się smażyć, więc na wszelki wypadek do dziś nie opuszczam. Chodzenie na mszę nie ma związku z moją potrzebą uczestniczenia w rytuałach religijnych. Ja się po prostu boję. W niedzielę myślę magicznie, na co dzień nie mam na to czasu.

Chcę, aby mnie pani dobrze zrozumiała. Coniedzielne chodzenie do kościoła nie ma nic wspólnego z moją wiarą, nie wynika z potrzeby serca, z

potrzeby modlitwy, wynika tylko i wyłącznie ze strachu.

Jestem osobą wierzącą i czasami mam potrzebę modlitwy. Nie zawsze mam kościół pod ręką. Więc wtedy modlę się gdziekolwiek (to znaczy rozmawiam z Bogiem), w kuchni, w autobusie, w łazience, czasami w pustym kościele (to lubię najbardziej). W niedzielę natomiast klepię słowa zwane modlitwą, odpowiadam na śpiewy księdza i przyłapuję się na myśleniu o tym, co zrobię w domu po przyjeździe, czy pieczeń w piekarniku jest już miękka i czy po obiedzie wygospodaruję godzinę w fotelu tylko dla siebie.

Rzeczywiście, sprawy Boga zajmują w pani wspomnieniach wiele miejsca.

Muszę przyznać, że zdystansowałam się od problemu grzechu i kary za opuszczenie mszy dopiero po przeczytaniu w pewnym czasopiśmie artykułu na ten temat, a potem listów od czytelników.

Wówczas zrozumiałam, że to nie jest tylko mój problem, ale także wielu osób. Teraz rozmawiam z panią o tym otwarcie, ale jeszcze do niedawna wstydziłabym się poruszyć taki temat.

Zdystansowała się pani, ale na wszelki wypadek woli pani tej mszy nie opuszczać?

Tak, właśnie tak.

A czy jednak zdarzyło się kiedyś, że opuściła ją pani z własnej winy?

Tak, kiedy mieszkałam u ciotuni, ale sprawa szybko wyszła na jaw.

I co?

Jak to co? Kara. Typowa, żadne tam wymyślności. Najpierw bicie na goły tyłek. Musiałam sama pójść do kuchni, przynieść gruby, skórzany pas wiszący za kredensem, wręczyć ciotce, zdjąć majtki, położyć się na kanapie tak, aby tyłek był wypięty i liczyć razy.

Przedtem miałam powiedziane, ile ich będzie. Jeśli w trakcie bicia przestałam liczyć albo krzyczałam, to musiałam liczyć od początku.

Czasami za karę klęczałam w kącie z podniesionymi rękami.

Czy wujek też bił?

Nie, nigdy. Wujek był bardzo tajemniczą postacią. Był mężem cioci, a synem babci. Pamiętam go jako eleganckiego pana w długim czarnym płaszczu, kapeluszu i czarnych lakierkach. Te ładne ciuchy były z Ameryki, przysyłała je stamtąd siostra wujka i córka babci.

Większość tych ubrań była sprzedawana, ale część z nich nosiła ciocia i wujek, a nawet ja, bo małe ubranka też się zdarzały. Moją zmorą była amerykańska torebka, z którą musiałam chodzić do kościoła -

ciocia mnie uczyła, jak mam ją trzymać. Ale miało być o wujku.

Nie wiem, czym się zajmował wujek, to było ukrywane.

Ciocia dużo opowiadała o swojej pracy, natomiast nigdy nie mówiło się o pracy wujka, a co najwyżej szeptało się o tym po kątach.

Wujek rzadko bywał w domu. Czasami widywałam go rano, nieraz po południu, znikał wieczorami i na noc, a jeżeli wracał wcześniej, to na rauszu. Ale nigdy się nie awanturował, szedł po cichutku do sypialni.

Myślę, że siedział w więzieniu przez pół roku albo i więcej. Babcia przygotowywała paczki i mówiła, że idziemy to zanieść wujkowi do szpitala. Po latach skojarzyłam, że bywał u nas komornik - babcia zakazała mi mówić o schowanym radiu, poza tym, ten człowiek był

dziwny, zadawał dziwne pytania i wszyscy się go bali. Kiedyś wskazał w biblioteczkę na portret Kraszewskiego i zapytał, czy to mój dziadek. A może ja źle myślę, może wujek był prześladowany politycznie? Tego już nigdy nie wyjaśniłam.

Wujostwo uchodzili za ludzi zamożnych, bardzo religijnych i pomagających potrzebującym. Raz w tygodniu odbywały się w salonie tak zwane obiady czwartkowe (a raczej kolacje), przychodzili tak zwani liczący się ludzie i oczywiście ksiądz proboszcz. Podczas tych spotkań musiałam recytować wiersze, a ciocia grała na fortepianie. Zawsze przed takim wieczorem czyściłam z kurzu fotele z rzeźbionymi poręczami i komódki - też miały dużo rzeźbień. Każdy zakamarek musiał się błyszczeć, ciocia sprawdzała, czy niczego nie pominęłam.

Dlaczego została pani wzięta na wychowanie?

Odbyło się to za zgodą moich rodziców. Ciocia często mi przypominała, że moi rodzice są alkoholikami, a co gorsze ateistami i w domu czekałaby

mnie tylko zguba. Byłam, jej zdaniem, dzikim dzieckiem, które wymagało resocjalizacji, uświadomienia mu co dobre, a co złe, nauczania manier, poprawnego mówienia i tym podobnych rzeczy. Nieraz ciocia tłumaczyła jakieś moje zachowanie przed sąsiadami, wyjaśniając, że pochodzę z dołów społecznych i że próbuje mnie wyedukować, ale jestem bardzo oporna. Nie wolno mi się było bawić z dziećmi na podwórku, bo one też pochodziły z dołów, mieszkali w suterrenach. Mogłam rozmawiać tylko z chłopcem z sąsiedztwa albo z dziewczynką z parteru, ale oni prawie nie bywali na podwórku. Tak więc nie wiem, po co pozwalano mi czasem na to podwórko wyjść, skoro babcia siedziała w oknie i obserwowała, czy nie złamię zakazu.

Szybko stałam się podwórkowym przygłupem, z którego każdy mógł się pośmiać, a ja i tak nie mogłam odpowiedzieć, więc kończyło się płaczem i szybkim powrotem do domu.

Chłopcy z podwórka trzepali nam w piątek albo w sobotę dywany, za opłatą, a ja musiałam stać obok, żeby ich pilnować.

Właściwie nie wiem po co, skoro i tak nie mogłam się do nich odezwać.

Co to znaczy być uważanym za "przygłupa"?

Byłam dla nich dziwaczką z kokardami, czasami taką samą kokardę zawiązywała ciocia swojemu pekińczykowi.

O, niech pani spojrzy na tę fotografię: to ciocia, tu Basia, a obok ja i pekińczyk. Ja mam kokardy, pekińczyk też. Ja mam torebkę i ciocia. I proszę spojrzeć, jak tę torebkę trzymam, jak mam zgiętą rękę, tak właśnie powinno się nosić torebkę, tak było elegancko. Dużo ćwiczeń przed lustrem i spacerów po długim przedpokoju.

No tak, ale to jeszcze nie powód, żeby zostać "przygłupem".

No to proszę sobie do tego dodać jeszcze moje milczenie.

Oni pytają, ja nie odpowiadam. Miałam zakaz rozmawiania z nimi. Gdybym go złamała - kara, więc wolałam milczeć i narażać się na pośmiewisko. To było mniej bolesne i upokarzające niż przeproszenie cioci, całowanie po rękach, komórka. Czasami ciocia albo babcia wysyłały mnie po jakieś drobne rzeczy do sklepu. Kiedyś chłopcy z podwórka mnie złapali, przyprowadzili do domu i powiedzieli, że o mało bym nie wpadła pod

samochód, ale oni mnie uratowali. Ja nie zaprzeczyłam, a oni dostali od cioci jakieś drobne pieniądze za to uratowanie mi życia.

A jak było w szkole?

Też nie byłam lubiana, ani przez nauczycieli, ani przez uczniów.

Nie miałam koleżanek, w drugiej klasie Basię, ale i to się skończyło.

Ciocia często bywała w szkole i miała różne pretensje do nauczycieli, choćby i o to, że dostałam czwórkę, a ona uważała, że poprzedniego dnia wieczorem, kiedy mnie odpytywała, umiałam na piątkę.

Nauczyciele zostali też zobowiązani, aby każdy stopień wpisywać mi do dzienniczka.

Ciocia wielokroć żądała, aby mnie przesadzać, bo każde dziecko było albo dla mnie nieodpowiednie, albo mnie rozpraszało. Od piątej klasy siedziałam więc w ławce sama.

Wiem już, że u wujostwa znalazła się pani za zgodą rodziców, w opinii cioci i jej męża - alkoholików. Napisała pani do mnie "ciotka to nie ciotka". Co to znaczy?

To znaczy, że wujostwo nie byli moją prawdziwą rodziną, tylko przybraną. W czasie wojny moja mama z rodzeństwem trafili do domu dziecka we Lwowie, bo ich rodzice zginęli. Potem te dzieci były zabierane przez polskie rodziny, aby Niemcy ich nie wywieźli do Rzeszy. Mamę zabrała właśnie ta pani, którą ja nazywałam babcia, a starszą siostrę mamy zabrała inna rodzina. Odnalazły się dopiero po sześciu latach od zakończenia wojny. Brat mamy nigdy się nie odnalazł - w czasie wojny miał trzy latka, prawdopodobnie został

wywieziony przez Niemców i jeśli żyje, to nawet nie wie, że jest Polakiem.

A więc ta niby moja babcia uratowała mamę przed wywózką i opiekowała się nią w czasie wojny. Po wojnie znalazła się na Ziemiach Odzyskanych i wówczas zgłosiła mamę jako sierotę wojenną i oddała ją do Leninowskiego Domu

Dziecka, gdzie mama przebywała do pełnoletności. Dlaczego babcia ją oddała, nie wiem. Kiedy pytałam mamę, mówiła, że to dla jej dobra. Mama

zawsze uważała babcię za dobrego człowieka, za osobę, która ją uratowała w czasie wojny. Ale starsza siostra lepiej trafiła - nawet po wojnie była wychowywana przez tę przybraną rodzinę. Po wyjściu z domu dziecka mama szybko wyszła za mąż i urodziła dwoje dzieci: mnie i brata.

Jak długo była więc pani z rodzicami?

Co najmniej sześć lat. Bo niedługo po przeprowadzce do ciotuni poszłam do szkoły.

Jak pani wspomina lata z rodzicami? Co pani z nich pamięta?

Nic złego. Wprost przeciwnie - w mojej pamięci pozostały jako sielanka. Ojciec był rozrywkowym człowiekiem, lubił się bawić, zabierał mamę na tańce, razem balowali, mama to lubiła.

Zostawaliśmy na noc z moim młodszym bratem sami. Rodzice wracali nad ranem rozbawieni, przynosili nam cukierki, baloniki. Potem mama często opowiadała rzekomo śmieszne historyjki, jak to podczas ich nieobecności brat zrobił kupę do szafy, bo wychodek był na korytarzu, a my byliśmy zamknięci, jak podpalił pościel, a ja ją ugasiłam wodą z konewki, albo jak kiedyś przyszli, zastali nas śpiących i myśleli, że mój brat nie żyje, bo miał krew koło ucha i na szyi, a potem okazało się, że to ja go skaleczyłam żyletką koło ucha.

Czy rodzice zawsze zostawiali was w domu samych, kiedy wychodzili?

Nieraz zabierali nas, u ich znajomych zawsze było wesoło, wieczorem zasypialiśmy z innymi dziećmi, gdzie popadło, a rodzice bawili się do rana. Nie wspominam tego źle, byłam za mała, żeby rozumieć, czym jest odpowiedzialność za dzieci. Nie pamiętam, aby rodzice nas bili, a więc na pewno nie bili. Pamiętam wspólne zabawy z bratem na podwórku, sanki w zimie. Raz mój brat zjechał do rzeki, inni chłopcy go wyciągnęli, pamiętam, jak ciągnęłam go do domu na sankach, w zamrożonym ubraniu. Mama zapakowała go do łóżka, żeby odtajał, i pamiętam tę ciekącą z łóżka wodę. Mama się śmiała, my też. Było chyba cudownie lekkomyślnie. Może dlatego tak sielankowo wspominam tamte lata, bo potem nagle znalazłam się w innej rzeczywistości, u ciotki, gdzie były same zakazy, rygor, zakaz wychodzenia na podwórko, modlitwy, kościół, piekło, bicie, to wszystko, o czym pisałam, a co pani wykorzystała w opowiadaniu.

Jak to się stało, że mama oddała panią babci i jej synowej, czyli ciotuni? Czy próbowała pani dociec prawdy?

Dlaczego mnie oddała? Myślę, że jest kilka prawd. Prawda ciotki i babci - mama miała ciężkie życie z ojcem, więc babcia, która ją uratowała w czasie wojny, postanowiła jeszcze raz jej pomóc, zabierając jedno dziecko na wychowanie.

Dla mnie to miało być wybawienie i wyciągnięcie z bagna.

Prawda według mamy - mama często chorowała, tata był nieodpowiedzialny i jak mamę na przykład zabrano do szpitala na atak kamieni żółciowych, to nawet nie miał nas kto odebrać z przedszkola.

Poza tym miało to być dla mnie lepsze z powodu klimatu - ciocia mieszkała bliżej morza. Moja prawda - dzieci były przeszkodą w takim życiu, jakie lubili moi rodzice. Mama wychowywała się w domu dziecka, może dlatego nie było w niej uczuć macierzyńskich, Była natomiast bardzo przywiązana do ojca, to był rodzaj narkotycznego uzależnienia, może także erotycznego. Dlatego ja naprawdę rozumiem te dzieci z domów dziecka, które uciekają stamtąd do swoich patologicznych rodzin.

W jakim sensie je pani rozumie? Co pani chce przez to powiedzieć?

To przede wszystkim, że lepiej w domu, nawet z ojcem pijakiem, niż u obcych.

Lepiej z ojcem, który pije, bije i nie daje jeść?

Tak myślałam, kiedy byłam u ciotki. Tęskniłam za domem, za śmiechem rodziców, za wolnością, za kolorowymi balonikami. Byłam odizolowana od rodziców, więc wydawało mi się, że to ciotka jest całym złem i gdyby nie jej zakazy narzucone mnie i mamie, wszystko ułożyłoby się lepiej. Bo mamie też nie wolno było się ze mną kontaktować, nawet podczas uroczystości komunijnej nie mogłyśmy być ze sobą sam na sam. Kiedy jednak wróciłam do domu, czyli od ciotki do rodziców, już nie widziałam tego wszystkiego w takich różowych barwach.

Zabolała konfrontacja marzeń i tęsknot z rzeczywistością?

Bardzo.

Opowie pani o tym?

Lata z rodzicami po ukończeniu przeze mnie szkoły podstawowej to już zupełnie inna historia. Tylko od czego tu zacząć?

Może po kolei, czyli jak to się stało, że pani wyprowadziła się od ciotki, w jakich okolicznościach, czy to było zaplanowane, czy też coś się niespodziewanego wydarzyło?

Tak, wydarzyło się. Chyba cud się wydarzył.

?????

Nie, nie, ciotka nie umarła, choć może i mało brakowało.

O Boże, chyba źle pani odczytała moje ożywienie!

Nie, nie ma we mnie cynizmu, żadna tragifarsa nie miała miejsca, choć może wydarzenia w tym stylu wniosłyby trochę kolorów w moją nastoletnią szarość.

Jaki więc cud?

Najpierw opowiem pani o Cygance. Tuż przed wakacjami wracałam ze szkoły przez plac zabaw. Chodziłam zwykle inną drogą, ale wtedy było już we mnie więcej odwagi, by czasem z niej zbaczać.

Na tym placu bawiły się dzieci Cyganów i zawsze na ławce siedziała stara Cyganka, która wróżyła. Nieraz przysłuchiwałam się jej wróżbom, częstowałam ją lub dzieci niezjedzoną w szkole kanapką lub jabłkiem.

Tego dnia zagadnęła do mnie i powiedziała, że więcej się nie zobaczymy.

?????

Powiedziała, że wkrótce wyjadę stąd i nigdy już nie wrócę. Na pytanie, dokąd wyjadę, odparła, że do moich bliskich, z którymi dawno się nie widziałam. Byłam zaskoczona, ponieważ wakacje ciotka miała już zaplanowane.

Jeden miesiąc w domu, drugi nad morzem, w prywatnej kwaterze - wyjeżdżaliśmy na tak zwane wczasy co roku, jak na porządną rodzinę przystało. Ciotka wybrała już dla mnie również szkołę średnią, technikum gastronomiczne, do którego miałam pójść po podstawówce. Pomyślałam więc, że

Cyganka plecie bzdury, bo moje życie było już zaplanowane i ustalone na

następne lata.

Tymczasem?

Powoli, powoli. Na początku wakacji babcia wyjechała do swojej córki w Ameryce - to była pierwsza część cudu.

Wszyscy się z tego bardzo cieszyli, choć ja zupełnie nie rozumiałam dlaczego, w końcu byłam wychowywana pod solidnym kloszem. A potem, w połowie wakacji, ale przed wyjazdem nad morze, ciocia nagle zachorowała i zabrano ją do szpitala na poważną operację. Nie wiem jaką. No i nie mogłam zostać sama w domu, bo przecież wujek raz był, raz go nie było, a jeśli nawet był, to powinien opiekować się żoną.

I w ten sposób znalazła się pani na powrót w rodzinnym domu.

Nie od razu. Najpierw przez dwa tygodnie byłam u siostry ciotki, w dużym mieście - P. Nie pamiętam, kto mnie umieścił w pociągu, ale na pewno ta siostra ciotki odebrała mnie z dworca. Ten pobyt zupełnie mi się zamazał w pamięci. Z jakiegoś powodu postanowiono, że teraz muszę pojechać do rodziców. Tym razem wsadzono mnie do pakaesu, z którego miała mnie odebrać mama.

Wszystko stało się tak szybko, właściwie dopiero w autobusie zrozumiałam, że przecież jestem inna, doroślejsza, i że matka może mnie nie poznać.

Ile lat się nie widziałyście?

Od komunii, czyli sześć albo siedem lat.

Czy tylko tego się pani bała?

Bałam się tego, jak zostanie przyjęta przez mamę. Przecież listy do niej pisałam tylko z okazji świąt, i to zawsze pod kontrolą, a od niej też otrzymywałam równie rzadkie odpowiedzi w stylu, że się cieszy z dobrych stopni i mojego doskonałego rzekomo zdrowia.

I jak wyglądało przywitanie?

Po minie mamy widziałam, że jest zawiedziona moim wy_

glądem: byłam blada, chuda, z trądzikiem na twarzy, a w dodatku cała ubrudzona wymiocinami, bo choroba lokomocyjna dopadła mnie w

najbardziej nieodpowiednim momencie.

Mama jednak zajęła się mną z pełną troską. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że ofiarowuje mi trochę serca i swój czas z myślą, że to tylko na trzy tygodnie.

Dlaczego na trzy tygodnie?

Taka była umowa. Kończyły się wakacje, ciocia wróciła ze szpitala i czuła się już lepiej, więc powinnam wrócić tam do szkoły.

Przed wyjazdem do rodziców otrzymałam dużo wskazówek, jak się mam zachować, co mówić, czego nie.

Pod koniec wakacji stawałam się coraz bardziej nerwowa.

Rodzice mnie nie bili i nie krzyczeli na mnie. W końcu zdobyłam się na odwagę i powiedziałam, że chcę u nich zostać na zawsze, bo u ciotki jest mi źle.

Czy podczas pobytu u rodziców, któreś z nich dopytywało, jak jest u ciotki?

Nie, nikt nigdy nie zadał mi takiego pytania, sama też nic nie mówiłam, zresztą otrzymałam przecież instrukcje, co mam mówić, jak się okazało - niepotrzebne, i tak milczałam.

I jak rodzice zareagowali na pani oświadczenie i prośbę?

Ich reakcja była dla mnie szokująca. Najbardziej zdenerwował się ojciec. Krzyczał, że nie chce o tym słyszeć, że mam wracać do ciotki i już. Mama też nie była zadowolona, nie uwierzyła, że u ciotki dzieje mi się krzywda, próbowała mnie przekonać do zgody na powrót, wmawiając mi chwilowe fanaberie.

Ale jednak pozostała pani u rodziców. Jak pani wpłynęła na zmianę ich decyzji?

Nie było w tym mojego świadomego udziału, raczej dał o sobie znać system obronny organizmu. Otóż na dwa dni przed powrotem do ciotki byłam z rodzicami i bratem na pikniku, zorganizowanym w domkach kempingowych przez

PGR, w którym ojciec pracował. Bardzo mi się ten piknik podobał, choć

był suto zakrapiany. Taka zabawa na świeżym powietrzu, z dużą grupą ludzi, to była dla mnie całkowita nowość.

Jakoś nie mieściło mi się w głowie, że może być aż tak wesoło.

Patrzyłam, jak się wszyscy bawią, i robiło mi się coraz smutniej.

Poszłam do kempingu, żeby sobie popłakać, i wówczas straciłam przytomność. Nie wiem, jak to się stało, ho pamiętam tyle, że obudziłam się w szpitalu.

Jaką diagnozę postawili lekarze?

Byłam tam sześć tygodni, lekarze nie wiedzieli, co mi jest.

Byłam słaba, gorączkowałam, ale przede wszystkim zaniemówiłam, nie odpowiadałam na pytania, nie odzywałam się d nikogo. Zachowywałam się chyba jak dziecko autystyczne. Pamiętam lekarza, który próbował nawiązać ze mną kontakt, a bardziej chyba podarowanego mi przez niego misia. Wiem, że z niemówieniem było mi dobrze. Trwało to lak aż do dnia, kiedy przyszła mama i powiedziała, że mogę zostać u niej. Zostałam więc, ale jakim kosztem

- uraz, że rodzice mnie nie chcieli, tkwi we mnie ciągle. Po kilku dniach od tego zdarzenia choroba minęła.

Jak zareagowała ciotka?

To, że się poskarżyłam, wzbudziło w niej wściekłość. Dostałam list z wyrzutami typu, że jestem niewdzięcznicą, bo nie doceniłam tylu lat opieki. Prorokowała, że jej trud i tak pójdzie na marne, bo ja skończę na samym dniu. W moim życiu rozpoczął się jednak nowy rozdział. Miałam nadzieję, że lepszy.

Ale wpadła pani z deszczu pod rynnę.

Można tak powiedzieć, ale byłam też starsza i zahartowana w bojach. Na pijaństwo ojca zaczęłam patrzeć jak na pijaństwo, a nie przez pryzmat kolorowych baloników przynoszonych z imprezy.

Zresztą - nie było już baloników.

A co było?

Słyszałam ciągle to samo: że mam się wynosić do ciotki.

Ileż ja nocy przesiedziałam na schodach!

Dlaczego na schodach?

Bo wolałam schody od komórki. Tutaj też była komórka, tylko z węglem i szczurami. Jak to raz odkryłam, już nie dałam się tam zamknąć. Wolałam sama wyjść na schody.

Czasami mama przychodziła po mnie, jak ojciec zasnął.

Mieliśmy tylko jeden pokój. Matka zawsze broniła ojca, mówiąc, że wyrzucał mnie z domu, bo chciał się z nią kochać, więc powinnam to docenić.

Gdzie pracowali rodzice?

Mama pracowała w pobliskiej wsi, w Domu Nowoczesnej Gospodyni, a ojciec w Państwowym Gospodarstwie Rolnym, czyli w tak zwanym pegeerze. Obiady jedli w pracy, dla mnie mama gotowała zupę na dwa dni. Sprawdzała, czy jeszcze jest, i gotowała następną, jak nie było. Nieraz się zatrulałam, bo nie wyczułam skwaśnienia. Szybko nabawiłam się anemii.

Wspominała pani o bracie. Mieszkał z wami?

Przez jakiś czas tak, ale rzadko bywał w domu. Chyba od razu po skończeniu podstawówki wyjechał na jakieś Ochotnicze Hufce Pracy, może przy okazji kończył jakąś zawodową szkołę. Ale nie wytłumaczę tego pani, bo nie pamiętam, brat był mi zupełnie obcy, nie wiem, gdzie mieszka, czym się zajmuje, nigdy nie utrzymywałam z nim kontaktu.

Skończyła pani jednak liceum ogólnokształcące i dostali się na studia.

Tak, w tajemnicy przed rodzicami, bo ojciec już to liceum uważał za luksus i fanaberię, więc zapowiadał, że po maturze muszę pójść do pracy i się wyprowadzić. Zrobiłam to. To znaczy -

wyprowadziłam się. Byłam uparta, wiedziałam, że go chcę, chciałam odmienić swoje życie. Przez rok odkładałam pieniądze, które zarabiałam, opiekując się dzieckiem sąsiadów i pomagając mu przy odrabianiu lekcji.

Miałam więc na podróż i na opłaty egzaminacyjne, także na akademik. A kiedy już się dostałam na studia, potrafiłam na siebie zapracować, nie tylko

podczas wakacji, a poza tym dostałam stypendium socjalne.

Odcięła się pani radykalnie od rodziny i ciotki, czy tak?

Niezupełnie. Z ciotką utrzymywałam kontakt listowny, rodziców czasem odwiedzałam, oni widzieli, że sobie radzę, nie interesowało ich wprawdzie jak, ale zaczęli oczekiwać pomocy z mojej strony. Nie potrafiłam się od nich wyzwolić. Coś mnie zawsze tam ciągnęło.

Ciotce chciałam chyba pokazać, że jej przewidywania się nie sprawdziły.

Sprawało mi przyjemność, kiedy nie mogła uwierzyć w moje studiowanie. Tak więc z satysfakcją opisywałam jej, jak wyglądają zajęcia na ekonomii, a także ciągle się przed nią usprawiedliwiałam, przepraszałam za swoją niewdzięczność - właściwie to kajałam się, a potem to już sama nie wiedziałam, za co przepraszam. Ciotka wzbudziła we mnie ogromne poczucie winy. Nie dawałam sobie z tym rady.

Odwiedzała ją pani?

Nie, nigdy, ale ciągle przepraszałam, że tego nie robię.

Bałam się jej nawet na odległość, więc wydawało mi się, że tymi listami naprawiam nasze relacje. Zdawałam jej sprawozdania ze swojego życia, nawet kiedy już wyszłam za mąż i urodziłam dzieci.

Ciotka wypytywała mnie, czy mąż to katolik, czy chodzę z dziećmi do kościoła, czy odmawiam wieczorne modlitwy. Może pani nie uwierzy, ale odetchnęłam z ulgą, kiedy zmarła. Nie byłam na jej pogrzebie, nikt mnie nie zawiadomił. Również z tego powodu dręczyły mnie wyrzuty sumienia.

Na pewno pani porównuje lata spędzone u ciotki i późniejsze, u rodziców. Jak z perspektywy lat patrzy pani na swoje doświadczenia?

Pobyt u ciotki to był horror mojego dzieciństwa. Wprawdzie lata późniejsze nie były usłane różami, ale przeżyłam je w lepszym stanie psychicznym, szczególnie po próbie samobójczej, która, paradoksalnie, umocniła mnie i utwierdziła w tym, że jednak chcę wszystko przetrwać. Ciotki zawsze się bałam, do rodziców czułam żal, szczególnie do matki, bo zawsze wybierała męża pijaka, a nie własne dzieci. Może to tak jest, że inaczej się odbiera krzywdy doznawane od rodziców niż od obcych. Wraz ze śmiercią ciotki skończyły się przynajmniej koszmarne sny typu: robię coś nie tak i ciotka mnie na tym przyłapuje.

Czy na studiach miała pani przyjaciół?

Nie miałam zbyt wiele czasu na przyjaźnie, oczywiście miałam koleżanki. Choć nie... była jedna dziewczyna. Bardzo niskiego wzrostu, nieatrakcyjna, ale świetnie się uczyła.

Przed jakimiś świętami akademik opustoszał, ja też wybierałam się do rodziców. Weszłam do jej pokoju, by się pożegnać, i zobaczyłam, że myje podłogę i płacze. Okazało się, że nic ma dokąd wyjechać, bo ciotka, prawdziwa, która opiekowała się nią po śmierci rodziców, nie zaprosiła jej na święta. Więc zostałam w akademiku razem z nią. Ta dziewczyna skończyła studia z wyróżnieniem, dostała dobrą pracę, ale rozpiła się i popełniła samobójstwo.

Męża poznała pani na studiach. Czy było to wielkie uczucie?

Uczucie? Nie rozmawiajmy o uczuciach, tylko o faktach.

Mąż był rok wyżej ode mnie, więc skończył studia szybciej.

Podjął pracę, dostał pokój w hotelu robotniczym, a po kilku latach, kiedy byliśmy już od dawna małżeństwem, służbowe mieszkanie. Ożenił się ze mną, kiedy byłam na ostatnim roku, wtedy zamieszkałam z nim w hotelu. Od razu też zaszłam w ciążę, ale zdążyłam jeszcze zrobić magisterium w terminie. Potem oddałam dziecko do żłobka, a sama poszłam do pracy w banku. Od tej pory zmieniałam kilka banków, ale ciągle pracuję.

Czy w sferze faktów mieści się pytanie, które i ciotka pani zadawała: czy mąż jest katolikiem?

Tak, to należy do sfery faktów, jest katolikiem bardzo praktykującym, jego brat jest zakonikiem, to rodzina przestrzegająca wszelkich rytuałów kościelnych, ale prawdziwiej niż to było u ciotki.

Wasze małżeństwo trwa wiele lat, macie państwo dwie dorosłe córki, życie rodzinne więc ułożyło się pani pomyślnie, przynajmniej biorąc pod uwagę fakty.

Tak, fakty są 'po naszej stronie. Dziewczyny są wykształcone, jedna mieszka w Londynie, druga w naszym rodzinnym mieście, ale na swoim, mąż pracuje i nie jest pijakiem.

Ocaliliśmy więc małżeństwo, bo w sumie nie było konkretnych

powodów, by z niego rezygnować. Pracujemy, nie kłócimy się, mąż zawsze mi pomagał przy dzieciach i w domu.

Nigdy pani go nie zdradziła i jest pani szczęśliwa w tym związku?

Och, pani zadaje za trudne pytania. Jestem ekonomistką, kalkuluję i nie zastanawiam się nad drobiazgami i emocjami.

Nie wierzę. Gdyby tak było, nie opisałaby mi pani swojej historii i nie spotkała się ze mną, by porozmawiać.

Historia dotyczy przeszłości, która minęła, szczerze mówiąc, nie nastawiłam się na rozmowę o teraźniejszości.

Nie odpowie więc pani na moje pytania?

Te o zdradę i o szczęście?.. Proszę pani... ja nie mam czasu zastanawiać się, czy jestem szczęśliwa, czy nie. Ciągle coś robię, pracuję dużo i dobrze, bo dziś takie czasy, że trzeba się cieszyć z pracy. I jeszcze opiekujemy się moją teściową.

No tak, ale powiedziała pani na początku naszej rozmowy, że w niedzielę myśli pani magicznie, więc może wtedy dopuszcza pani do siebie emocje, a nie fakty.

Dziś jest piątek.

Rozumiem tę uszczypliwość i doceniam konsekwencję.

Proszę jednak i mnie zrozumieć. Przyjechałam z drugiego końca Polski z nadzieją, że pomoże mi pani coś z siebie zrozumieć.

Przepraszam, ma pani rację. Ja często tak reaguję. Zgadzam się, zachęcam, a potem się wycofuję. Jestem jednak bardzo zasznurowana, jak mówi o mnie córka. Czy jestem szczęśliwa? Człowiek żyjący na peryferiach rodziny nie może być szczęśliwy w takim tradycyjnym znaczeniu. Jak można być szczęśliwym, jeśli mało co cieszy? Tak, ja wiem mam powody, by być szczęśliwą. Tylko że jestem takim typem człowieka, który choć widzi i docenia te powody, to i tak nic w nim nie drga, czy rozumie pani???

Nie umie pani wchodzić w takie związki, które nie byłyby

„na peryferiach”?

Nie umiem. A nie umiem - bo się boję. Wszędzie węższą podstęp, nikomu nie ufam, nie jestem spontaniczna. Tak sobie kiedyś powiedziałam, na pocieszenie: życie to nasz obowiązek, więc i ja będę obowiązkowa, perfekcyjna, będę dużo od siebie wymagać.

Od innych też?

Być może próbowałam i od innych, ale spuściłam z tonu.

Wymaganie od innych jest trudniejsze niż wymaganie od siebie.

W życiu domowym potrafiłam jednak ustalić, kto ma jakie obowiązki, i w miarę je egzekwować.

Nigdy pani nie miała ochoty zaszaleć? Zwariować? Zrobić coś głupiego, śmiesznego?

Ależ tak. Zrobiłam mnóstwo śmiesznych i głupich rzeczy.

Kiedy miałam 35-37 lat. Na przykład uwodziłam mężczyzn, przyciągałam ich do siebie, kokietowałam, byłam nawet bardzo frywolna, prowokująca, a kiedy byli już gotowi prawie na wszystko, rezygnowałam z nich. Działo się to w gronie znajomych. Mężczyźni bardzo chętnie romansują z mężatkami, zresztą dotyczy to również relacji przeciwnej. Jeśli się ma stałego partnera, zobowiązania, jakie narzuca romans, polegają wyłącznie na dyskrecji.

Dlaczego pani rezygnowała z tych mężczyzn? Czy miało to związek z pani zasadami, wartościami?

Niestety, nie byłam aż tak szlachetna. Rezygnacja nie jest trudna, kiedy ma się w sobie dużo chłodu, dystansu, a jeszcze: więcej lęku. Widziałam, jak rozpalam ich zmysły, więc mogłam się wycofać i w kącie pomarzyć. Dlatego nie umiem odpowiedzieć na pani pytanie o zdradę, bo musiałabym uściślić to pojęcie.

W ogóle trudno mi o tym wszystkim mówić, bo ciągle nie mam pewności, jaka jestem. Boję się etykietek, a jednocześnie chciałabym siebie poznać. Myślę o tym określeniu córki: "zasznurowana". Nie podoba mi się, ale jest w nim dużo prawdy.

A czy pani mąż...

Nie, nie - nie chcę mówić o mężu, już i tak dużo powiedziałam.

Chciałam tylko zapytać, czy mąż zna historię pani dzieciństwa.

Nie opowiadałam mu. Ale zapewne coś wie, jeśli umiał patrzeć.

Znał moich rodziców. Raz na kilka lat ich odwiedzaliśmy.

Czy myślała pani o terapii?

Nie mam na to czasu, a poza tym nie wierzę, abym umiała mówić o sobie przed większą grupą ludzi. Choć może byłoby to dla mnie dobre, gdybym odkryła, że są również inni zasznurowani, z zaciśniętymi zębami, tak jak odkryłam kiedyś, dzięki listom czytelników do redakcji pewnego pisma, że są tacy, którzy, podobnie jak ja niegdyś, panicznie boją się piekła i żyją z tym lękiem i w wiecznym poczuciu winy.

Zdecydowała się pani napisać, opowiedzieć. Dlaczego?

Zawsze chciałam komuś to opowiedzieć. Ale komu? I po co?

Żeby usłyszeć - przesadzasz? Albo - to niemożliwe, zmyślasz, kłamiesz, fantazja cię ponosi. Albo - no, ale wy_rosłaś na ludzi.

Takiego wsparcia nie potrzebuję. Moja historia jest dla mnie niezwykła, wyjątkowa, skandaliczna. Nie sądzę, aby była taką dla kogoś patrzącego z zewnątrz. Przecież nikt mnie nie zgwałcił, nie wylądowałam w rynsztoku i każdy chciał tylko mojego dobra.

Poza tym chciałam, aby ktoś mnie naprawdę wysłuchał.

I tu nagle zdarzyła się taka okazja... Odważyłam się z niej skorzystać. Ciekawa jestem, czy któryś z czytelników pani książki, czytając ten rozdział, przypomni sobie ze swojego dzieciństwa to, o czym chciał zapomnieć, a mu się nie udało.

Co się dzieje w dziecku, które z jednej strony jest upokarzane i maltretowane przez swoich rodziców, a z drugiej strony ma nakaz szacunku i miłości do osoby, która się nad nim znęca, i w żadnym wypadku nie wolno mu okazać swojego bólu? Czegoś podobnie absurdalnego nie można oczekiwać od żadnego dorosłego (poza stosunkami wyraźnie sadomasochistycznymi)".

Alice Miller.

Zniewolone dzieciństwo

SKAKANKA dziewczynka biegnie przez las, każde mijane drzewo jest jak stopień schodów, nie w dół, ale w górę, to będzie wysoka góra, z której dziewczynka rzuci się, dziewczynka ma jedenaście lat, każde mijane drzewo zasłania ją coraz bardziej przed ojcem, przed matką, dziewczynka zwalnia, zdąży, góra jej życia już się nie ruszy, on? powinna być kimś innym, ona to wie, mówią to jej ojciec i matka, ona nie będzie nikim innym, ona też to wie, ona będzie sobą, nikt nie będzie zamykał jej w piwnicy, ona sama się zamknie, i nie w piwnicy, ale wysoko w górze, nikt nie będzie zamykał jej na balkonie podczas mrozu, ona sama wybierze wysokość balkonu, wyższą niż wszelki mróz, nikt nie będzie przypalał jej skóry papierosem, ona sama wybierze sobie cierpienie, ojciec i matka sami się poparzą, ona nic im nie zrobi, dziewczynka znowu przyspiesza, las robi się coraz gęstszy, to już tu, tu jest szczyt schodów, to jest szczyt góry jej życia, dziewczynka wzięła z domu długi i mocny sznur, ten sznur wytrzyma, i gałąź wytrzyma, i ona sama to wszystko wytrzyma, w życiu wytrzymała o wiele więcej, mógłby to być sznur do dziecięcej skakanki, na zmianę z nią skakałoby matka i ojciec, kto dłużej by skakał, ten wyskakałoby nagrodę, to ona skakałaby najdłużej i wygrałaby, dajcie mi w nagrodę spokojne życie, powiedziałyby do ojca i matki

Janusz Styczeń

Rozdział II

Część 1

Wujaszek Wania

- W nagrodę wujaszek Wania i ciocia Nina zabiorą Marysię do siebie na noc - zawyrokowała Helena, matka Marysi i cioteczna siostra Niny.

Marysia drgnęła, ale nie podniosła oczu znad zeszytów i książek.

Tym pilniej odrabiała lekcje, zajmując połowę drewnianego stołu.

Powinna czuć się wyróżniona. Wiedziała, że młodsze siostry zazdroszczą jej tej nocy poza domem.

Nina miała już dorosłe dzieci, każde na swoim, więc dopóki nie została babcią, chętnie zabierała do siebie którąś z czterech córek Heleny. Tylko na sobotni wieczór i niedzielę, jeszcze wówczas przez nikogo nienazywanych weekendem, ale i to było dużym odciążeniem dla Heleny, borykającej się od dwóch lat ze swoim wdowieństwem i dziewczynkami, pomiędzy którymi różnica wieku wynosiła równo po dwa lata. Wszystkie jej córki urodziły się bowiem w kwietniu: 19, 21, 24 i 27.

Marysia, najstarsza, miała dziesięć lat, gdy jej tata zginął w wypadku w kopalni. Stanisław, mąż Heleny, ojciec czterech córek, którego marzeniem było spłodzenie syna, odgrażał się żonie, kuzynom, ciotkom i kolegom, że nie spocznie, póki nie doczeka się chłopca. Nie doczekał. Zginął 27 kwietnia, w dniu kolejnych urodzin Marysi, której w tamtym roku ani później nie było już dane cieszyć się z prezentów, nawet jeśli je dostawała. Wprawdzie goście przychodzili, jak dawniej, niektórzy, jak wujaszek Wania, pamiętali nawet o urodzinach dziewczynek, ale i tak jej uroczystość za każdym razem zamieniała się w kolejną rocznicę śmierci Stanisława i we wspominki o nim.

- Szczęście w nieszczęściu - mawiała zwykle Nina - że Stasiu nie był podczas wypadku pijany.

- A może by mu lepiej było ginąć po pijaku - wtrącał

Wania.

- Z ciebie to prawdziwy durak, Wania, mimo że inżynier.

- Nina nie kryła wtedy oburzenia - czy ty nie rozumiesz, co Helena dzięki temu zyskała? Prawdziwe odszkodowanie zyskała, porządną rentę po mężu dla siebie i dla dzieci zyskała.

- Też mi renta, przecież ledwo jej na życie starcza _

Wania nie dawał za wygraną.

Helena wyciągała chusteczkę i ocierała nieistniejącą łzę w sposób bynajmniej mało dyskretny.

- O czym wy mówicie? - wtrącała się do rozmowy. _

Przecież Stasiu nigdy nie pił w pracy, to było najzwyczajniej niemożliwe, żeby zjechał na dół nietrzeźwy. Stasiu pił tylko w dniu wypłaty, choć zawsze obiecywał, że to po raz ostatni.

Broniła dobrego imienia męża dopiero po jego śmierci.

Przedtem nigdy nie przyszłoby jej to do głowy. Wręcz przeciwnie: zawsze szukała okazji, by się pożalić, ponarzekać na ciężki los żony górnika, któremu - jako niepochozającemu ze Śląska -

bardzo zależało na akceptacji kolegów z kopalni, więc dostosowywał się do ich zwyczajów, nie odmawiał zaproszenia na piwo, a i sam od czasu do czasu zapraszał.

Helena dzielnie zniosła żałobę. Nie manifestowała swojego smutku przed sąsiadkami inaczej niż przez ubiór. Nosiła czarną garderobę przez cały rok. Nawet w drugim półroczu nie pozwoliła sobie na żaden, choćby odrobinę jaśniejszy element stroju. Natomiast równo po roku i sześciu tygodniach schowała wszystkie czarności i od tego dnia ubierała się jaskrawo, jak dawniej. Lubiła jednak, kiedy kuzynki traktowały ją z szacunkiem należnym wdowie, lubiła, kiedy podziwiała jej dzielność i deklarowały swoją pomoc.

Przy okazji uroczystości rodzinnych nie szczędziła opowieści na temat trudności wychowawczych, innych w wypadku każdej dziewczynki, a także opowieści na temat swojego rodzicielskiego oddania i poświęcania się za dwoje. Z opowieści tych wynikało, że jedynym celem życia Heleny jest wychowanie córek, doprowadzenie do tego, by każda z nich ukończyła szkołę, a potem dobrze wyszła za mąż. Dobrze znaczyło dla niej przede wszystkim uczciwie, a uczciwie oznaczało tylko jedno: aby żadna z jej córek, wychodząc za mąż, nie była w ciąży i mogła śmiało iść do ołtarza w białej sukni i wianku mirtowym przy welonie. I na to wszystko Helena nie szczędziła sił ani swojego wdowiego grosza.

Nina podziwiała Helenę. Wiedziała, ile pracy jej cioteczna siostra wkłada w prowadzenie domu i w to, by dziewczynkom niczego nie brakowało, a także dostrzegała wszystkie jej starania, by nikt z sąsiedzkiego otoczenia nie myślał o nich w kategoriach biednych sierotek, którym należy się dobre słowo i litościwe spojrzenie. Tego Helena by nie zniosła. Dlatego też Nina co tydzień zabierała do siebie którąś z dziewczynek, co oznaczało konkretną, choć zawołowaną pomoc. Dziewczynki bowiem zawsze wracały z czymś pod pachą: a to z nową kurtką, a to z butami, a to z uszytą przez Ninę spódniczką, przerobioną z jej ubrań, z których z wiekiem wyrosła, jak zwykła

mawiać, eufemistycznie omijając w ten sposób sprawę swojej tuszy, choć tak naprawdę nie miała z tego powodu kompleksów.

- Nie cieszysz się, Marysiu? - zapytała Nina.

Marysia nie zareagowała. Tym razem nawet nie drgnęła.

- Ciocia do ciebie mówi, więc odpowiadaj, bo tylko niepytane dzieci nie zabierają głosu - upomniała ją Helena.

- Z czego się mam cieszyć, mamó? - Marysia podniosła wreszcie głowę znad zeszytów i spojrzała na matkę i ciotkę.

Rumieńce oblały jej szczupłą buzię, sprawiała wrażenie kogoś i przyłapanego na gorącym uczynku.

- Z tego, że to ty w tym tygodniu będziesz spała u cioci Niny i wujaszka Wani - powiedziała Helena z naciskiem, akcentując każde słowo. - W nagrodę - dodała. - W tym tygodniu byłaś wyjątkowo posłuszna i ani razu nie wyprowadziłaś mnie z równowagi.

Marysia znów spuściła głowę i zaczęła wertować zeszyty, szeleszcząc kartkami. Zaglądnęła też do tornistra, do piórnika, w końcu wyciągnęła białą gumkę i zaczęła nią wycierać nieistniejącą plamę, powoli, pedantycznie. Zdmuchnęła paprochy, wygładziła paznokciem wygumkowane miejsce i odłożyła zeszyt na bok.

Nina skinęła na Helenę i wyszły do kuchni, zostawiając Marysię w pokoju razem z trzema młodszymi siostrami, z których dwie również odrabiały lekcje przy tym samym stole, a najmłodsza siedziała w kącie na dywanie i tłumaczyła szmacianej lalce, że jak będzie niegrzeczna, to nigdy nie pójdzie do cioci Niny no noc.

- Czy ty nie traktujesz Marysi zbyt surowo? - zapytała Nina kuzynkę.

Helena zdziwiła się.

- Surowo? Przecież muszę być i matką, i ojcem, a to wyjątkowo uparte dziecko, zawzięte. Czy ty wiesz, że ona nigdy nie płacze?

Nawet jak zdarzy się, że dostanie w tyłek, to nie uroni jednej łezki, nie powie ani słowa, zaciśnie tylko zęby, jakby czekała na kolejne uderzenie.

- Bijesz ją?

- A, tam, bijesz, czasami dostanie klapsa w tyłek, to nie bicie, to tylko dyscyplinowanie, ty przecież też swoim dawałaś w tyłek i jakoś wyrosli na porządnych chłopaków. - Nie wypieraj się - Helena ubiegła zaprzeczenie Niny wyrażone na razie tylko gestem - sama widziałam.

- Ale to jest dziewczynka, w dodatku bardzo wrażliwa, do niej by bardziej słowa przemówiły, nie sądzisz?

- Jak ani groźbą, ani słowem nie skutkuje, to wtedy przemawiam do niej innymi argumentami, choć czasami wydaje mi się, że ona wolałaby od razu dostać lanie, niż słuchać moich kazań.

- Robi coś złego? - dziwiła się Nina - przecież to jeszcze dziecko, w dodatku na pewno zaczyna dojrzewać, więc wkracza w najtrudniejszy okres.

- I właśnie dlatego musi wiedzieć, co to znaczy słowo matki, która chce wychować córkę na porządną kobietę. Co powiem, musi być zrobione, bez fochów, bez pokazywania rogów i humorów -

perorowała Helena.

Po południu Marysia spakowała swój tobołek: szczoteczkę do zębów, piżamę i papucie. Pobyt w domu ciotki Niny i wujaszka Wani oznaczał pyszny deser, kolację podawaną na porcelanowych talerzykach, herbatę w filiżankach, także pachnące mydło w łazience, a nie to szarobure, które pieniało się z trudem i którego resztki Helena tarła na starej tarce jarzynowej, by je łatwiej rozgotować i użyć do prania, oznaczającego iście sądny dzień.

Mieszkanie ciotki Niny miało zapach zasobnej czystości uzyskanej nie tylko dzięki wodzie, szmacie i szaremu mydłu.

Meble lśniły politurą, parkiety pastą, a bibeloty ustawione w pokoju na rzeźbionym kredensie świadczyły o istnieniu mniej zgrzebnego świata, w którym nie wszystko musi być funkcjonalne, potrzebne i praktyczne. Marysia lubiła przyglądać się porcelanowym tancerkom, pasterzom, szklanym żyrafom i słoniom. Widziała siebie w zwiewnej sukni, tańczącą tak lekko jak królewna Śnieżka w bajce, jak dotąd jedynej, którą oglądała w prawdziwym teatrze, gdzie zabrał

ją wujaszek

Wania przed trzema laty, gdy jeszcze żył ojciec. Dialogi ze spektaklu zapamiętała prawie w całości, a jeśli coś było niedokładnie, wymyślała własne słowa, pasujące jednak do konwencji i sensu pozostałych. Jeśli marzyła o zagraniu głównej roli w szkolnym przedstawieniu "Śnieżki", to przede wszystkim z chęci doświadczenia troski krasnoludków, a także po to, żeby usłyszeć szelest sukni, który wtedy, w teatrze, wyławiała ze sceny, nawet gdy inne dźwięki były o wiele głośniejsze.

W mieszkaniu ciotki Niny Marysia czuła się trochę jak Śnieżka u krasnoludków: wszystko było inne, ciekawsze, radośniejsze, a chwile płynęły w zgodzie z domowymi rytuałami.

Kubek wujaszka, filiżanka cioci Niny, filiżanka Marysi, na podstawce plasterki cytryny zamiast dodawanych dla podrobienia smaku granulek kwasku - wszystko to rozjaśniało w Marysi marzenia o własnym domu, w którym życie będzie lepsze niż w bajce.

Wujaszek Wania siedział w ulubionym fotelu, czytał gazetę, coraz to kręcąc głową nad wydarzeniami, które wedle niego sprowadzały ten świat i ten kraj, jak mówił, na manowce i dowodziły, że tak zwane dobre obyczaje schodzą na psy. Czasami jakieś fragmenty artykułu czytał na głos swojej żonie, która szybko rezygnowała z prób zrozumienia czegokolwiek, jak zawsze twierdząc, że gdyby każdy robił to, co do niego należy, to życie toczyłoby się normalnym torem. Nie potrafiła jednakże określić granic tej normy.

Chętnie siebie podawała za przykład chodzącej i namacalnej "normy", osoby, która nienagannie od prawie dwudziestu lat wykonuje swoje biurowe prace, ciągle w tym samym sekretariacie górniczego przedsiębiorstwa, a oprócz tego z bożą pomocą żłobka, przedszkola i szkoły wychowała dzieci, a także prowadzi dom, w którym niczego nie brakuje i wszystko jest na swoim miejscu.

Marysia słuchała tyrad ciotki Niny i dochodziła do wniosku, że świat może być piękny, pod warunkiem, że jest się Niną i patrzy się na niego oczami Niny, a nie własnej matki, która ciągle chodzi naburmuszona i nigdy nie ma czasu, by usiąść w fotelu. Inna sprawa, że w domu Marysi nie było żadnego fotela.

Dlatego dom ciotki był dla niej domem normalnym. Wujaszek czytał

gazetę i edukował żonę, ciocia cerowała wujaszкови skarpetki, a potem układała je równiutko w szufladzie komody. Wieczorem słuchała słuchowisk radiowych albo oglądała film w telewizji. A następnego dnia wszystko zaczynało się od nowa, jeśli tym dniem nie była niedziela. Jeśli była, dzień pachniał dostojniej, a Marysia mogła czasami w tej dostojności uczestniczyć, korzystając z dobrodziejstw wujostwa, a także ciszy ich domu, w którym nie było młodszych sióstr, więc cała uwaga była skupiona na niej.

- Idziemy spać - zarządziła Nina - jutro też jest dzień i w dodatku ma być słoneczny.

- Pójdę z Marysią do kina, na poranek, potem na spacer do parku

- powiedział wujaszek.

- A przed kinem wszyscy pójdziemy do kościoła. Marysia lubi nasz stary, pachnący kadzidłem kościół, prawda Marysiu? - zapytała Nina.

Marysia skinęła głową, bo rzeczywiście, nawet kościół, do którego chodzili wujostwo, bardziej jej się podobał niż ten w pobliżu jej domu i szkoły.

Ciocia Nina podała Marysi ręcznik, także szlafrok specjalnie dla niej uszyty i wyciągnęła z szafki w łazience różowe mydło.

- Ładnie się wykąpać - powiedziała - bo wiesz, że mydło i woda dodają urody każdej kobiecie i dziewczynie.

- Wiem, ciociu, wiem, mydło i woda urody ci doda - Marysia powtórzyła znany slogan.

Nina spojrzała na nią z czułością. Pogłaskała po głowie i cienkich warkoczach.

- Zrobię ci jutro francuski warkocz, zobaczysz, jaka to oryginalna fryzura i jak wszyscy będą na ciebie patrzeć.

- Ja nie chcę, by wszyscy na mnie patrzyli, ciociu.

- Każda dziewczyna chce, tylko nie każda potrafi się do tego przyznać. Jeszcze rok, dwa, Marysiu, i zaczniesz robić wszystko, byle tylko ludzie zwracali na ciebie uwagę. Jesteś ładna i rośniesz jak na drożdżach, może ty

już masz swój czas, Marysiu?

- A co to jest "swój czas"?

- No, wiesz, period, miesięczka.

- Nie mam - powiedziała Marysia, rumieniąc się i odwracając głowę.

- Ale wiesz, co to jest? Mama ci powiedziała?

- Nie powiedziała, ale trochę wiem, to jest wtedy, jak ciotka przyjeżdża, taka z Ameryki.

- No, tak, "ciotka" - zastanowiła się Nina - muszę porozmawiać z Heleną, przecież ty już masz dwanaście lat i do ciebie ta "ciotka" też może przyjechać, prawda? A kto powinien o tym wszystkim powiedzieć córce, jak nie matka?

W szkole wam przecież nic nie mówią, prawda?

- Dopiero w siódmej klasie na biologii będą coś mówić.

- Zanim ty będziesz w siódmej klasie, to do ciebie ta

„ciotka” już może dawno przyjechać, bo teraz dzieci szybciej dojrzewają... No, myj się, myj się i wskakuj do łóżka,. rozgrzejesz nam tę świeżo wykrochmaloną pościel.

Marysia poczuła się wyróżniona rozmową z ciotką Niną.

Wstydziła się o cokolwiek zapytać, choć bardzo chciała wiedzieć więcej niż to, co usłyszała od koleżanek, nie potrafiła jednak z siebie wydobyć żadnego słowa z sensem i na temat, który Nina tak niespodziewanie i bezceremonialnie poruszyła.

Leżała w dużej wannie, w ciepłej wodzie, którą podgrzewał

piecyk junkers, więc nie trzeba było czekać jak w domu, aż podgrzeje się woda w kotle stojącym w łazience, który u dołu miał piec na węgiel, przez co kąpiel odbywała się raz w tygodniu, bo tylko w sobotę wieczorem matka w nim rozpalała. Leżała więc sobie zanurzona w wodzie i myślała o dorosłości, kiedy to stanie się kobietą.

Piersi jej się wyraźnie zaokrągliły w ciągu ostatniego półrocza, pod pachami i na łonie, o którym Marysia nie wiedziała, że można je tak

nazywać, pojawiło się owłosienie. Obserwowała siebie ukradkiem, wstydząc się tego patrzenia, chociaż po cichu zazdrościła Uli, koleżance z klasy, która była wysoka i dosyć tęga, ale za to nosiła już biustonosz, skryte marzenie każdej dziewczyny w klasie. Chłopcy na przerwie pociągali Ulę za gumkę od biustonosza i pstrykali jej tą gumką w plecy, ona się oczywiście złościła, ale tak naprawdę to chciała, bo dzięki temu zainteresowanie chłopców i koleżanek z klasy skupiało się na niej.

Marysia włożyła flanelową piżamę, umyła wannę ryżową szczotką leżącą pod umywalką, wytarła kamienną podłogę.

Była gotowa do spania. W dużej sypialni wujostwa położyła się, jak zawsze, na środku szerokiego łóża, z równie szerokim materacem.

Przedwojenne łóżo, przedwojenny materac, przedwojenne lustro - mawiał wujaszek, co miało oznaczać samą solidność. Ciocia Nina nazywała lustro słowem

„tremo”. Marysia bardzo lubiła, kiedy ciocia wymawiała to słowo, bo wtedy tak miękko układała usta, jakby chciała powiedzieć coś wyjątkowo dobrego. Dobrego dla Marysi.

Pościel była sztywna, wykrochmalona i gładka bardziej niż ta w domu.

Kiedy ciocia i wujaszek przyszli do sypialni, Marysia już prawie zasypiała. Jeszcze słyszała, jak wujaszek zaciąga zasłony, pomagając sobie kijem od miotły, i jak ciocia Nina planuje, że jeszcze przed śniadaniem nastawi rosół, a na śniadanie zagrzeje cieniutkie parówki, które nazywała winerkami. Więc ucieszyła się przed zaśnięciem, bo owe winerki były dla niej tym samym, co czekoladki w bombonierce, z tym że czekoladki zdarzało jej się jeść częściej, natomiast winerki to był prawdziwy przysmak, u Marysi w domu podawany tylko z okazji świąt, a i to nie zawsze. Zapach wyobrażonych kiełbasek mieszał się z zapachem pościeli i fuczeniem wujaszka.

W nocy miała sen. Śniła letni wiatr, który rozwiewał jej długie włosy, niezaplecione w obowiązkowe warkocze, miły zapach, niemający nic wspólnego z ulubionymi potrawami, a także słowa, które ktoś szeptał jej do ucha, tak blisko, że czuła oddech szeptającego.

- Jakie masz gładkie ciało, jaką gładką skórę, będziesz piękną kobietą -

słyszała wyraźnie.

Przy słowie "kobieta" rozbudziła się na tyle, by poczuć rękę na swoim nagim brzuchu i oddech wujaszka. Zesztywniała, zacisnęła mocniej oczy, jakby to zaciśnięcie mogło przedłużyć jej sen i utwierdzić głaskającego, że się nie przebudziła. Ręka wujaszka powędrowała dalej, dotknęła jej rozkwitających dopiero piersi, gładziła je delikatnie, powoli, dokładnie, długo. Albo tak jej się tylko wydawało, że to trwało długo. Wujaszek gładził prawą pierś, jakby tę właśnie sobie szczególnie upodobał. Może lewej było mu trudniej dosięgnąć, bo leżał przytulony do lewego boku Marysi.

Serce jej biło jak młotem, prawa ręka drżała. Po ciele rozlewało się dziwne, nieznane jej dotąd ciepło. To ciepło się nasiliło, gdy ręka wujaszka powędrowała niżej, pomiędzy jej chudziutkie uda.

- Oj, nauczysz ty się jeszcze rozkładać nóżki, nauczysz usłyszała.

Czuła się jak w pancerzu, który odbiera jej możliwość jakiegokolwiek ruchu, a poza tym - jakikolwiek ruch spowodowałby skrzypienie pancerza, które mogłoby obudzić ciotkę Ninę, która z kolei mogłaby zobaczyć rękę wujaszka za gumką jej piżamowych spodni, a to z kolei na pewno pociągnęłoby lawinę zdarzeń, których ani nie potrafiła, ani nie próbowała sobie wyobrazić. Leżała więc zesztywniała, wystraszona, rozgrzana, nie wiedząc co, jak i dlaczego.

Nie była uświadomiona. Wiedziała wprawdzie, że dzieci nie znajduje się w kapuście i nie przynosi ich bocian. Dość szybko odkryła prawidłowość, zgodnie z którą bardzo gruba kobieta po jakimś czasie trwania w grubości - rodzi dziecko, a to rodzenie oznacza powrót do poprzedniej chudości.

Słowo "rodzić" przyjmowała bez pytania, nie wiedziała, co dokładnie oznacza, wyobrażała sobie jednak, że trzeba przejść poważną operację brzucha, która w konsekwencji się opłaca, bo w rodzinie pojawia się małe dziecko, a na młodą matkę wszyscy patrzą z podziwem. Kiedy miała osiem lat, uporczywie dopytywała, skąd się biorą dzieci.

Wtedy rodzina wytypowała właśnie wujaszka Wanię, aby jej to powiedzieć. Zapamiętała tę rozmowę słowo w słowo.

- Dzieci biorą się z małżeństwa - powiedział. - Mężczyzna i kobieta biorą ślub, bo się kochają, a potem rodzi im się dziecko.

- Czyli dzieci nie przynosi bocian? - zapytała zaskoczona.

- Nie przynosi, dzieci się rodzą. Pamiętasz, jak ciocia Zosia miała duży brzuch?

Skinęła głową.

- I tam właśnie siedział sobie jej Piotruś, a potem się urodził.

- Ale skąd się w tym brzuchu wziął? - zapytała reżolutnie.

- O to bardzo skomplikowana sprawa - powiedział wujaszek - i o tym porozmawiamy, jak będziesz trochę starsza, dobrze? Nigdy jednak nie słuchaj opowieści dzieci na podwórku, lepiej zapytaj wujaszka albo mamę, dobrze?

Zgodziła się skwapliwie. Czuła się wyróżniona tym wtajemniczeniem w sprawy dorosłych, rozmową przy stole, w zamkniętym pokoju, do którego jej młodsze siostry nie zostały wpuszczone. Później nigdy jednak nie miała już tyle odwagi, by zapytać o cokolwiek, co miało związek z pytaniem: - skąd się biorą dzieci?

Wbrew przestrogom wujaszka słuchała opowieści dzieci na podwórku.

Wiesz, dlaczego dziewczyny mają spódniczki zapinane z boku na zamek błyskawiczny? - zapytała ją przed dwoma laty o rok starsza koleżanka.

- Żeby było łatwo ją zdejmować - odpowiedziała wtedy Marysia.

Koleżanka ją wyśmiała po czym tonem, z którego wynikała absolutna znajomość wszystkich tajemnic dorosłych, wyjaśniła, że zamki służą temu, by narzeczony mógł pójść z narzeczoną do lasu na spacer i, jak nikt nie widzi, otwierać ten zamek i wkładać rękę pod majtki narzeczonej.

Wujaszek właśnie wkładał jej rękę pod spodnie od piżamy, choć nie był jej narzeczonym. Świat wirował pod zaciśniętymi powiekami Marysi, traciła powietrze, czuła ciągle gorący oddech wujaszka, który sapał, wiercił się, aż nagle jęknął, jego ręka zatrzymała się na dole jej brzucha i znieruchomiała na moment. W chwilę potem wujaszek odwrócił się szybko, ułożył na swojej stronie łóżka i zasnął, głośno pochrapując. Marysia przybliżyła się do pleców cioci Niny, nie zasnęła jednak. Trwała w odrętwieniu, dalej zaciskając powieki, jakby chciała uwierzyć, że wszystko, co się wydarzyło, było snem.

Złym?

Dobrym? Nie potrafiła umieścić tego w sferze wartości, ponieważ wśród przykładów dobra i zła, które je podawano na co dzień, nie było takich sytuacji. Ostrzegano ją wprawdzie przed dorosłymi mężczyznami albo na przykład przed braniem od kogoś czekolady, gdyby ktoś ją częstował, albo przed pójściem z kimś obcym w nieznane miejsce. Powodem takich ostrzeżeń było wiele znaczące słowo: krzywda.

- Aby nie stała ci się krzywda - upominała matka.

Nie mówiła jednak, jaka to może być krzywda, więc krzywda kojarzyła jej się z biciem albo stawianiem w kącie, czego doświadczała od matki. Ale wiadomo, że matka nie biła jej po to, by zrobić jej krzywdę, tylko, by ją ukarać za upór, krnąbrność i nieposłuszeństwo. A wszystko w celu wychowania jej, Marysi, na porządnego człowieka, który w przyszłości, czyli w dorosłym życiu, będzie odróżniał dobro od zła i przyjemności od obowiązków.

Wujaszek wstał pierwszy. W chwilę potem wstała Nina.

Marysia przesunęła się na jej część łóżka. Czekwała, choć nie wiedziała na co. Słyszała zamykanie i otwieranie drzwi, wodę szumiącą w łazience, dreptanie wujaszka, dźwięk nakryć ustawianych na stole w kuchni. Drgnęła lekko, gdy skrzypnęły drzwi do sypialni, ale nie poruszyła się. Wujaszek Wania odsłonił i otworzył okno.

- Hej, moja panno - powiedział - czas wstawać, śniadanie czeka, a potem kościół i kino. Kto rano wstaje, temu

Pan Bóg daje - zachęcił. - Za dziesięć minut jesteś odświeżona, wypiękniona i siedzisz z nami przy śniadaniu _ powiedział, wychodząc z sypialni.

Wyskoczyła z łóżka, zgarnęła równo ułożone ubrania i zamknęła się w łazience. Po kilkunastu minutach siedziała przy stole, ze starannie uplecionymi warkoczami. Jadła powoli i z apetytem, jakby chciała zasłużyć sobie na pochwałę.

- A twoja matka narzeka, że jesteś niejadek _ powiedziała ciocia Nina.

- Bo Helena na wszystko narzeka i zawsze mało co jej się podobało, nawet jak Stasiu żył - dodał wujaszek.

- Śniło ci się coś, Marysiu? - zapytała ciocia, smarując kolejną kromkę chleba masłem. - Bo wiesz, to co się śni na nowym miejscu, to się spełnia, więc lepiej mieć dobre sny _ dodała.

- Nie pamiętam - odpowiedziała Marysia i jakby paradoksalnie, na przekór temu, co się w niej ciągle kłębiło, zadowolona się myślą, że nocne wydarzenia nie były snem, a więc nie mogą się "spełnić", czyli zgodnie z magicznymi przepowiedniami cioci Niny.

Od nocy, której nijak nie potrafiła zrozumieć, Marysia przestała być Marysią, którą czuła się do tej pory. Stała się milcząca, jakby nieobecna, teraz rzeczywiście straciła apetyt, z większą niż dotąd skwapliwością obgryzała paznokcie, więc częściej była karcona przez matkę. Jeśli tylko mogła, zamykała się w łazience, nawet bez potrzeby, i wychodziła z niej dopiero wtedy, gdy ktoś z domowników zaczynał się dobijać lub jeśli słyszała rozlegający się z kuchni głos matki:

- Co też to dziewczynisko może tak długo robić w łazience?

- Urody ci nie przybędzie od tych łazienkowych nasiadówek -

narzekła matka - czego ty tam szukasz, co ty tam robisz?

Helena złościła się, kiedy nie mogła niczego wydobyć z córki, żadnego słowa wyjaśnienia. Jej złość była tym większa, im częstsze stawało się milczenie Marysi.

- Wyglądasz jak zielona żaba - narzekła - nie jesz i nie masz chęci do życia, jeszcze sąsiedzi pomyślą, że cię głodzę albo że jesteśmy biedniejsi niż jesteśmy.

Marysia milczała.

- Kto się nie słucha ojca i matki, ten słucha psiej skóry Helena groźbą kończyła próby przełamania milczenia Marysi, co i tak nie przynosiło pożądanego rezultatu.

Przy najbliższej wizycie Niny i wujaszka Wani nie szczędziła lamentów nad ciężkim losem wdowy w związku z trudnym charakterem Marysi, w którą chyba diabeł wstąpił, bo taka odmieniona.

- Wczoraj dostała lanie, solidne - zwierzała się Helena.

- Za co? Co złego zrobiła? - dziwiła się Nina.

- Miała wrócić ze szkoły razem z siostrą, a tymczasem ona siostrę przegnała, jakby się jej wstydziała, i wracała z koleżankami i chłopakami z klasy, całą grupą. Widziałam ich przed domem, roześmiani, zadowoleni, a siostra z tyłu.

Więc gdy wróciła do domu, wytłumaczyłam jej paskiem, jak się powinna zachować. Skoro nie przemawiają do niej słowa, to może szybciej trafi taki argument. A myślicie, że chociaż zapłakała, że poprosiła jak kiedyś: - Nie bij, mamusiu, już będę grzeczna? O, nie, nic takiego, tylko zęby zacisnęła i zzieleniała jeszcze bardziej, a w oczach to miała takie błyski jak Stasiu, gdy był o coś wściekły.

- Powtarzam raz jeszcze - odezwał się wujaszek Wania _ ty jesteś dla Marysi za surowa, ona jest już panienką, chciałyby mieć swoje towarzystwo i swoje sprawy.

- Ja jej na lafiryndę nie wychowam, a widzę, że kawał dziwki w niej kiełkuje, obok lustra nie przejdzie, żeby nie zerknąć, a w łazience spędza więcej czasu niż my wszyscy razem wzięci.

- Heleno, tak nie można, biciem niczego nie zdasz _

tłumaczyła Nina bliska płaczu. - Widzę, że jesteś zmęczona, atmosfera jest napięta, może więc i dzisiaj zabierzemy znowu Marysię, tylko wytłumacz to jakoś młodszym, aby nie czuły się pokrzywdzone.

- Marysiu - zawołała Helena.

Przybiegły dwie młodsze dziewczynki.

- A Marysia gdzie? - zapytała Nina.

- Siedzi w łazience - odpowiedziały prawie chórem.

Marysia stanęła w drzwiach pokoju, kiedy Helena wznosiła oczy do góry w geście bezradności.

- Mam rację, oczywiście mam rację, tylko nikt mi nie wierzy, no, spójrzcie na nią... Pojedziesz do wujostwa, cieszysz się?

- Brzuch mnie boli i już raz dziś wymiotowałam.

- Może coś zjadła nieświeżego - zatroszczył się Wania.

- Wszyscy jedliśmy to samo i nikomu nic nie jest. W niej po prostu jakaś chora złość fermentuje.

- Mam pomysł - odezwał się wujaszek Wania - to ja zostanę dziś na noc u was, przy okazji wymienię uszczelki w kranach, naprawię spłuczkę, powyrzucam niepotrzebne rzeczy z piwnicy. Marysia do rana wydobrzeje i przyjedziemy wprost na niedzielne śniadanko, a potem będzie jakaś atrakcja, która ją na pewno rozweseli, co wy na to?

- Nie śmiałybym prosić, Wania - powiedziała Helena wyjątkowo łagodnie.

- Od tego się ma rodzinę, by pomagała - dodała Nina chętnie pobędę w domu sama, dokończę czytanie gazet, coraz bardziej ślamazarna jestem i przez to mam coraz mniej czasu dla siebie.

- No to w takim razie Dorotka odstępuje wujaszekowi tapczan i śpi razem z Marysią - rozdysponowała Helena, która dzieliła w nocy drugi pokój z najmłodszymi córkami.

- Ja nie chcę z Marysią, jak ona nie chce ze mną wracać ze szkoły - poskarżyła się Dorotka.

- Nie marudź, opowiem ci bajkę o królu Midasie - zachęciła ją Marysia.

- Ale ja będę od ściany, raz, dwa, trzy, zaklepuję! - ucieszyła się Dorotka i już podskakiwała z radości.

- No i widzisz, wszystko się ułoży, tylko spokojnie, Heleno, spokojnie, ty jesteś nerwowa, twoje nerwy przechodzą na Marysię i stwarzacie sobie niepotrzebnie piekło, a przecież można się dogadać -

tłumaczył Wania.

Dziewczynki zostały ułożone do snu przed dziewiątą, jak zawsze. Marysia nie słyszała, kiedy na tapczanie Dorotki zasnął

wujaszek Wania. Zdążyła opowiedzieć o Midasie i Minotaurze, a także skarcić siostrę, że sama już powinna czytać którąś z nielicznych książek ustawionych na etażerce.

W nocy poczuła na swoim brzuchu gorącą rękę. Pomyślała, że śni coś, co

już się zdarzyło. Ręka powędrowała wyżej, zaczęła gładzić piersi, najpierw prawą, potem lewą.

Gładziła je delikatnie, dokładnie, powoli, długo. Albo Marysi tylko się wydawało, że trwa to długo. Po jej ciele rozlewało się dziwne, ale już znane ciepło. Ciepło nasiliło się, gdy gorąca ręka powędrowała niżej, pomiędzy jej chudziutkie uda. Zacisnęła mocniej powieki, znieruchomiła.

- Tak trzeba, kochana, tak trzeba, ktoś musi cię głaskać i pieścić, od tego będziesz tylko zdrowsza - usłyszała dyszący głos wujaszka Wani - już ty się niedługo nauczysz rozkładać nóżki, oj nauczysz.

Część 2

Nakarmić demony, czyli Marysia po latach.

Rozmowa z pierwowzorem bohaterki opowiadania "Wujaszek Wania".

Na podstawie wspomnień pani M. napisałam opowiadanie

„Wujaszek Wania”. Pisząc je, wiedziałam, że będę chciała spotkać tę kobietę i porozmawiać z nią. Czy się zgodzi, tego nie byłam pewna. Chciałam zobaczyć twarz pani M. Spojrzeć w jej oczy, przekonać się, czy odnajdę w nich jeszcze tamten lęk i upór, który naznaczył dzieciństwo nastoletniej Marysi.

W pierwszym odruchu pani M. odmówiła. Poprosiłam, by jeszcze się zastanowiła, wyjaśniłam swoją koncepcję rozdziału książki poświęconego jej doświadczeniom. Nie nalegałam, ponieważ na początku ustaliłyśmy, że rozmowę będziemy prowadzić mejlowo: pytanie - odpowiedź. Po trzech tygodniach zaprosiła mnie jednak do siebie, i to do domu. Od razu zaznaczyła, że nie wyobraża sobie tej rozmowy na przykład w kawiarni czy w hotelowym pokoju.

Pojechałam więc na północ, do miasta, które tak lubiłam odwiedzać w czasie wakacji, przedtem zarezerwowałam hotel na dwie doby, bo nie wiedziałam jeszcze, jak będę prowadziła tę rozmowę, kto będzie do niej lepiej przygotowany i czy w ogóle kwestia tak zwanego przygotowania będzie tak ważna jak przy wywiadach, które do tej pory przeprowadzałam z pisarzami, aktorami, malarzami.

Pani M. - kobieta pięćdziesięcioletnia, elegancka. Szczupła, średniego wzrostu, z gęstymi miedzianymi włosami. Ładna.

Czynna zawodowo, przez wiele lat lektorka języka angielskiego, obecnie dyrektor wydawnictwa medycznego. Mąż ma prywatną firmę budowlaną, syn studiuje. Mieszkają we własnym domu. Rozmawiamy w pokoju na parterze, przy kominku.

Pani M. jest konkretna, rzeczowa. Nie czuje się speszona dyktafonem, ale jest uważna, może nawet spięta. Pijemy herbatę Yunnan, zaparzoną w porcelanowym czajniczku.

- Nie przygotowałam żadnych fotografii - mówi niespodziewanie.

- To dobrze - odpowiadam - wolę ich nie widzieć. Zresztą i tak nie pozwoliłaby mi pani ich wykorzystać, prawda?

Pani M. uśmiecha się na tyle, że znika wąska linia ust.

Marta Fox: Marysia - to imię, które wymyśliłam dla bohaterki opowiadania "Wujaszek Wania" napisanego na podstawie pani wspomnień. Pozostaniemy przy tym imieniu, dobrze?

Marysia: Tak, dziękuję, mimo że od tamtych wydarzeń upłynęło prawie czterdzieści lat, wolałabym nie demaskować się do końca.

Czego się pani boi?

Właściwie nie wiem: chyba najbardziej obecnej sytuacji, naszej rozmowy, tego, że jest pani jedyną osobą znającą skrywaną to tej pory część mojego dzieciństwa, a przy pani udziale usłyszą o niej inni.

Myśli pani, że ta historia kimś wstrząśnie? Obecnie w każdej niemalże gazecie pojawiają się takie tematy, molestowanie, pedofilia -

to stało się prawie modne.

Nie obchodzi mnie, czy moja historia kimś wstrząśnie, odpowiedziałam na pani list, zdobyłam się na odwagę powiedzenia samej sobie tego, co przez tyle lat było niewyartykułowane. Zrzuciłam z siebie ciężar, bo to jednak był ciężar.

Może nabrałam odwagi dzięki tej "modzie". Jestem wdzięczna modzie za

to, że dotarła i do naszego kraju, do naszego ciemnogrodu, w którym ciągle królują potomkowie

Dulskiej, w zmutowanej wersji. W zmutowanej - bo podniesionej do n-tej potęgi. Może to nie przypadek, że trafiłam na pani anons w Internecie i - paradoksalnie - wydało mi się to bezpieczniejsze, bo bardziej anonimowe. Dla kogoś patrzącego z zewnątrz moja historia nie będzie szokująca, na pewno wydarzyły się inne, okrutniejsze, ale poprzez opowiedzenie swojej chciałam zwrócić uwagę na naszą, polską, podwójną moralność, w której większość ludzi modli się pod figurą, a diabła ma za skórą. Chyba wyrażam się oględniej, niż myślę. Nie tak dawno oglądałam w wiadomościach telewizyjnych, jak rodzice chórzystów protestują w imię obrony szefa chóru, podejrzanego o molestowanie swoich podopiecznych. -

Wojtek, jesteście z tobą! - wymachiwali transparentami. I przyciągnęli tam swoje dzieci, aby one też swoją obecnością udzieliły wsparcia dyrygentowi. Komuś taka postawa może się wydać szlachetna, bo to piękne, gdy tak spontanicznie bierzemy w obronę człowieka. Ale we mnie od razu obudziła się czujność, jakby zwielokrotniony węch.

Nie obchodził mnie oskarżony, ja nie mogłam pojąć tych rodziców bez wyobraźni. Przyszło mi do głowy, że mają w tym cel inny niż właściwie pojęte dobro dziecka. Kiedy później czytałam artykuły na temat całej tej sprawy, nie byłam zdziwiona, moje doświadczenia potwierdzały to, o czym pomyślałam w chwili ujrzenia tej telewizyjnej migawki.

Powiedziała pani, że jej historia nie będzie szokująca.

No tak, nikt nikogo nie zamordował, miała pani co jeść i gdzie spać. Nie oddano pani do domu dziecka, można też powiedzieć, że wiele udało się pani w życiu dokonać.

Nie znoszę słowa "udało". Nic mi się nie "udało", proszę pani. Na wszystko solidnie zapracowałam, wieloma wyrzeczeniami i dyscypliną wewnętrzną. Ciekawa jestem natomiast, dlaczego pani wybrała właśnie moją historię? Czyżby nikt nie nadesłał pani bardziej sensacyjnej opowieści?

To nie tak. Nadeszły różne historie, wśród nich wiele relacji kobiet z alkoholichnych rodzin, kobiet; które zaznały biedy i katowania najpierw w dzieciństwie, a potem w małżeństwie. Nie chodziło mi jednak o wspomnienia z tak zwanego trudnego dzieciństwa, trudnego z powodu warunków

obiektywnych - bo była wojna, bo była bieda, były choroby, był alkohol. Chodziło mi o dzieciństwo spędzone z rodzicami albo innymi dorosłymi opiekunami, którzy zafundowali dzieciom koszmarny los, ale czynili to z premedytacją: w imię tak zwanej miłości, chorych ambicji, fałszywego wstydu i bezwzględnego imperatywu społecznego nakazu wychowania dziecka na "porządnego człowieka"; o dzieciństwo, w którym rodzice w imię tak zwanej miłości biją, katują i poniżają, i jeszcze robią wszystko, by dziecko całe to wyrządzone mu okrucieństwo poczytywało za dobrodziejstwo.

To prawda, moja rodzina nie była rodziną z marginesu społecznego. To była w opinii powszechnej bardzo porządna i uczciwa rodzina, w której matka dbała o dzieci i surowo je wychowywała.

Czy w klimacie opowiadania "Wujaszek Wania" odnalazła pani swoją historię?

I tak, i nie. Moja wydaje mi się okrutniejsza. Ale może dobrze, że nie zrobiła pani z moich wspomnień reportażu, nie powiedziała pani wszystkiego wprost, bo w moim domu również niczego się wprost nie mówiło.

Ale teraz zapytam wprost: czy pani matka lub ciotka dowiedziały się o tym, co pani robił wujaszek?

Nie wiem.

A jak pani sądzi, czy te kobiety, to znaczy matka i ciotka, wiedziały albo choć domyślały się tego, co się działo w sypialni wujostwa, i nie tylko w sypialni?

U nas w domu nigdy nie mówiło się o wujku źle. Był osobą zawsze szanowaną, cenioną i lubianą. To był człowiek bardzo pracowity, dbający o rodzinę, o swoich synów, dobrze zarabiający, niepijący, uczynny. Moja matka by o nim złego słowa nie powiedziała i myślę, że nikomu by na to nie pozwoliła.

Sugeruje pani, że ona, jak ci przywoływani przez panią rodzice bez wyobraźni, również miała w tym wysyłaniu swojej dwunastoletniej córki do wujostwa inny cel niż jej dobro?

Proszę pani, ja nie wiem, przyznaję, że nieraz mi to przychodziło do

głowy, kiedy już byłam dorosła. Ale odrzucałam te myśli, uznawałam je za podłe, szukałam usprawiedliwień, próbowałam zrozumieć jej trudne położenie, samotność. Jednego jestem pewna: gdybym ją o to wprost zapytała albo gdybym jej to zarzuciła, zostałabym przez nią wyklęta.

Z wszystkimi rytuałami tego wyklęcia. Podobnie jak pewna jestem, że gdybym zaszła w ciążę, nie będąc mężatką, i gdybym matce o tym powiedziała, to zrobiłaby wszystko, aby pozbawić mnie - a bardziej siebie - tego piętka. Na pewno by mnie namawiała do aborcji, która wówczas była dozwolona, bo dla mojej matki ważniejsze było zachować twarz nieskazitelnej wdowy, która wychowała tak zwane porządne córki.

Powiedziała pani: "to mi przychodziło do głowy". Co takiego przychodziło pani do głowy?

To, że moja matka i moja ciotka mogły się domyślać albo nawet i wiedzieć, dlaczego wujaszek tak mnie hołubił.

Jest pani bardzo surowa w tych domysłach.

Być może okrutnie oskarżam, i to teraz, kiedy wszystko jest już przeszłością. Nigdy jednak nie mogłam zrozumieć, dlaczego spałam w środku, pomiędzy wujaszkiem a ciotką.

A dlaczego się pani nie zbuntowała, dlaczego nie powiedziała, że chce spać z brzegu?

Bo się bałam.

Czego?

Pytań. Ale też gniewu obojga oraz tego, że mogę zostać odtrącona. Zadawałam sobie te pytania wiele razy i to są odpowiedzi, do których doszłam po latach. Bo wtedy nie wiedziałam, czego się bałam.

Powiedziała pani, że matka by panią też odtrąciła, gdyby zwierzyła się jej pani z tego, co robi wujaszek.

Powiedziałam, że by mnie wyklęła. Przede wszystkim nie uwierzyłaby mi. Ale nie ma o czym mówić, nigdy bym jej nie powiedziała, nie przeszłyby mi żadne takie słowa przez gardło.

I naprawdę pani przypuszcza, że matka mogłaby panią namawiać do aborcji, gdyby pani była w ciąży, nie będąc mężatką?

Tutaj już nie wymyślam i nie przypuszczam. Opieram się na faktach. Te fakty dotyczą wprawdzie nie mnie, tylko mojej siostry.

Wychodziła za męża, będąc w ciąży, pamiętam rozmowy, które wówczas się toczyły. Dla naszej matki to był cios, straszny wstyd i rzeczywiście to wydarzenie mogło jej odebrać kilka lat życia. Wyklęła siostrę i właściwie nigdy jej nie wybaczyła. Dodam jeszcze, że ślub odbył się z całym ceremoniałem, nikt z sąsiadów nie musiał wiedzieć, jakie brudy pierzemy w naszym domu, ale konsekwencje przedmałżeńskiej ciąży siostra ponosiła właściwie zawsze, bo ciągle była tą, która się źle prowadziła i wyszła za męża z musu.

Nawet świetnie układające się małżeństwo nigdy jej nie zrehabilitowało w oczach matki i była zawsze w pozycji zabiegającej o jej względy.

A żona wujaszka? Ciocia? W pani wspomnieniu znalazłam niejasne sugestie, z których wnioskuję, że mogła to być kobieta ukrywająca grzeszki swojego męża przed światem i rodziną.

Nigdy nie zostałam w te sprawy wtajemniczona, ale też nie interesowałam się tym, choć w starszym, nastoletnim życiu usłyszałam pewną rozmowę, którą później poukładałam sobie w bardziej wyrazisty obraz i z tych skojarzeń wynikało, że wuj miał syna z jakąś młódką.

Mogło więc tak być, że ciotka wiedząc o jego skłonnościach, wołała go zatrzymać w domu, zwyczajem Dulskiej, i przymykać oczy na to, co dzieje się w ich wspólnym łóżku?

Nie wiem, ale myślę, że mogło i tak być. Choć to jest najokrutniejszy scenariusz. Prawdą jest, że nie szukałam, nie sprawdzałam, nie rozmawiałam. Brakowało mi odwagi.

Nigdy panią nie kusilo, by się dowiedzieć, czy pani siostry miały podobne doświadczenia?

Kusilo.

Ale nie zrobiła pani tego?

Nie zrobiłam i już nie zrobię. Myślę, że to samo mogła przeżyć moja o dwa lata ode mnie młodsza siostra. Bo kiedy ja zaczęłam sprawiać trudności, szukać wymówek, a przede wszystkim zaczęłam szybko dorastać, to właśnie ta siostra, że tak powiem - zajęła moje miejsce i to ona najczęściej była

zabierana do wujostwa.

Czy zastanawiała się pani nad ewentualnymi doświadczeniami siostry, będąc już trochę starszą nastolatką?

Nie pamiętam. Ale nie sędzę. Chyba wówczas patrzyłam raczej w przyszłość, chciałam wyrwać się z domu, do innego życia, mieć swój ką, swoje tylko sprawy. Jako nastolatka nie znałam słów "seks", "molestowanie". Jeśli te słowa w ogóle istniały, to nie w naszej ówczesnej obyczajowości. W latach sześćdziesiątych nie mówiło się o uprawianiu seksu, prawda? Mówiło się: oni żyją ze sobą, i to oznaczało współżycie seksualne, ale jednocześnie było na tyle wieloznaczne, że mogło też oznaczać bycie parą, dzielenie obowiązków, bez wskazywania na erotyczny charakter związku.

Ma pani rację. Przecież to również moje czasy. Kiedy jednak czytałam pani wspomnienia, wydawało mi się wręcz niemożliwe, aby dziesięciodwunastoletnia dziewczynka była aż tak nieświadomiona.

Ale powtórzę: pani ma rację, to były sprawy, o których się nie mówiło. Ja miałam to szczęście, że mama kupiła mi broszurkę pod tytułem "Co każda dziewczyna wiedzieć powinna?" i położyła ją na moim biurku. Wiedziałam, że to od niej, ale nie zapytałam, bo się wstydziłam. A ona również nie powiedziała mi wprost: Przeczytaj, a jak czegoś nie będziesz rozumiała, to zapytaj. Więc czytałam z wypiekami na twarzy, po kryjomu.

I tak sobie udawałyśmy: ona, że nic nie kupiła, a ja, że nic nie czytałam. Wróćmy jednak do głównego tematu.

Tak. A więc nie myślałam o siostrze, myślałam chyba, że to tylko moja sprawa i mój wstyd. I że nie mogę o tym wstydzie nikomu powiedzieć. No bo jak? Komu? Nie wiedziałam nawet, czy to było dobre, czy złe? Czułam lęk, nie potrafiłam sobie niczego wytłumaczyć ani też zrozumieć, dlaczego owo dotykanie sprawiało mi przyjemność.

Proszę zauważyć, że wuj mnie tulił, głaskał po intymnych częściach ciała, obdarowywał prezentami, chodził ze mną do kina, teatru. Nigdy mnie nie uderzył ani na mnie nie krzyczał. Dopiero w swoim dorosłym życiu zrozumiałam, że byłam wykorzystywana. Zresztą szybko wyrwałam się z domu.

Czy to był rodzaj ucieczki?

Myślę, że tak, ale przecież nikt wtedy nie patrzył na mnie jak na uciekiniera, tylko jak na studentkę, która sobie dobrze radzi w życiu, bo wcześniej się usamodzielniała: a więc surowe wychowanie mojej matki dało odpowiednie efekty.

Studiowała pani w innym mieście?

Tak, studiowałam filologię angielską w Krakowie. Wtedy było to możliwe. Dziś może się wydawać nieprawdopodobne, że matkę samotnie wychowującą cztery córki było stać na umożliwienie dzieciom studiów, jeśli utrzymywała się tylko z renty po mężu. Ale proszę pamiętać, że jako pólsierota dostałam stypendium socjalne, które wystarczyło na tanie obiady w stołówce i akademik. Tak więc miałam gdzie mieszkać i co jeść. A za dobre wyniki w nauce dostawałam jeszcze specjalny dodatek. Poza tym udzielałam korepetycji z angielskiego. Mogłam więc właściwie nie bywać w domu.

I nie bywała pani?

Czasami bywałam, w czasie świąt, ale tam było ciasno, dusiłam się w tej atmosferze, poznałam już inny świat.

W akademiku nie było ciasno? o tak, przynajmniej na pierwszym i drugim roku, ale to była innego typu ciasnota. Ja się w tej ciasnocie nie dusiłam.

Kiedy pani sobie uzmysłowiła, że spotkała panią krzywdą?

Ogromne poczucie krzywdy miałam już jako nastolatka.

Reagowałam najczęściej ucieczką w naukę, w lektury, a także obietnicami dawanymi sobie, że kiedyś naprawdę ucieknę i wtedy będzie całkiem inaczej.

Ucieknę i wtedy się odwdzięczę pięknym za nadobne?

Chyba tak właśnie myślałam, choć dosyć szybko zrezygnowałam z owego "odwdzięczania się". To była ucieczka na wszystkich liniach, wyrzekałam się swojej rodziny, korzeni, godziłam się na miano wyrodnej córki, na wyklinanie i wydziedziczenie, gdyby było mnie z czego

wydziedziczać. Wie pani, nie wiem, skąd miałam tyle siły, naprawdę nie wiem.

Robiłam wszystko, by moje relacje z rodziną były poprawne.

Choć ta "poprawność", jak mówię, wynikała z uciezki.

Trudniej utrzymywać dobre stosunki, jak się czuje żal, a mieszka blisko, w tym samym mieście. Im dalej, tym bezpieczniej. Potem nie odwiedzałam już domu prawie w ogóle, bo wyszłam za mąż i zamieszkałam na drugim końcu Polski. To był dla mnie jakiś rodzaj usprawiedliwienia. Gdybym mieszkała blisko, moje życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej, mogłam tkwić w toksycznym związku, w jakimś uzależnieniu, podobnym do tego, jakie się obserwuje u dzieci z rodzin na przykład alkoholicznych.

Nie miała pani tradycyjnego ślubu i wesela?

Nie miałam. To był rodzaj mojego buntu. Mąż albo mnie rozumiał, albo chciał widzieć w tej decyzji tylko moją nowoczesność, tak naprawdę nie wiem tego. Ślub był więc cichy, w tym samym dniu cywilny i kościelny, miałam tę samą suknię, błękitną. Rodzice męża ugościli nas i świadków obiadem w swoim domu. Jeszcze tego samego dnia wy_ jechaliśmy w podróż poślubną w góry, z plecakami, na całe cztery dni.

Który z powodów owego wyrzekania się rodziny uznałaby pani dzisiaj za najistotniejszy?

Zadaje pani trudne pytania. Wówczas nie kalkulowałam nie analizowałam tego w ten sposób. Byłam młoda i wchodziłam w dorosłe życie, działałam spontanicznie, wpadłam w inny świat, czułam, że on może być mój, więc chłonełam go całą swoją młodością. To teraz, po latach, próbując znaleźć jakieś uzasadnienie dla swoich uciezek, nazywam je uciezkami i próbuję zracjonalizować. Przed laty na pewno decydowałam spontanicznie, a jeśli dzisiaj patrzę na coś ze zdziwieniem, to na swoją odwagę i upór.

Myślę, że dostrzegłam szansę życia w innym mieście, a chwyciwszy ją, już nie wyobrażałam sobie powrotu.

Tak, rozumiem, ale pani nie odpowiada wprost na moje pytanie.

Dobrze, postaram się mówić wprost. Myślę, że uciekałam od matki, od jej smutku, poświęcania się, narzekania, a przede wszystkim od jej obsesyjnego

liczenia się ze zdaniem sąsiadów, rodziny, a co za tym idzie i co najistotniejsze wyrzekałam się w ten sposób podwójnej moralności, zakłamania. Nie o to chodzi, że uważałam siebie za lepszą, ale chciałam dać sobie szansę.

Czy uciekała pani również od kar, jakie stosowała pani matka?

Wtedy, kiedy je stosowała, nie miałam żadnej możliwości ucieczki. Przecież byłam na jej utrzymaniu, na łasce i niełasce. Nieraz słyszałam, że dopóki jem jej chleb, to muszę tańczyć, jak ona mi zagra, co oznaczało bezwzględne podporządkowanie się.

Za jakie przewinienia była pani karana?

Za to, że nie wracałam ze szkoły z siostrą za rękę, tylko z grupą z klasy, że stałam przed domem i rozmawiałam z koleżanką, zamiast od razu wejść na górę. Moja matka to obliczyła: wolnym krokiem powinnam wracać ze szkoły nie dłużej niż piętnaście minut.

Wspaniałomyślnie dodawała mi jeszcze dziesięć minut. Jeżeli nie było mnie w domu po dwudziestu pięciu minutach od dzwonka obwieszczającego koniec lekcji, zaczynało się śledztwo. Musiałam dokładnie opowiedzieć, co robiłam. Byłam karana za najmniejszy przejaw nieposłuszeństwa, za to, że próbowałam coś powiedzieć bez pozwolenia, a przecież wiadomo: dzieci i ryby głosu nie mają. Także za to, że deszcz mi zmoczył plisowaną spódnicę i że nie pomyślałam, by przeczekać pod dachem. Gdybym przeczekiwała, to bym się spóźniła, za to też byłaby kara, więc wolałam biec w ulewie.

Jakie to były kary?

Najprostsze, czyli bicie.

Czym?

Czymkolwiek, tym, co było pod ręką. Skórzanym paskiem, takim, którym się wiązało walizki na podróż jako dodatkowe zabezpieczenie, kablem do żelazka albo kuchenki, dzisiaj już takich nie ma, rzemieniem splecionym w warkocz.

Jeśli od razu zaczęłabym płakać, kara byłaby mniejsza, ale ja zaciskałam zęby, więc dostawałam dodatkowe cięgi za upór.

Pozostawały ślady na ciele?

Tak, oczywiście, czerwone pręgi, które potem zmieniały kolor.

I nikt tego nie widział?

Musiałam stosować uniki na lekcji wychowania fizycznego.

Wymiotowałam przed lekcją i udawałam, że boli mnie brzuch. Kiedy byłam trochę starsza i już miałam okres, mogłam się wymówić niedyspozycją. Albo przymawiałam się nauczycielce biologii, by móc sprzątać w pracowni w zamian za zwolnienie z lekcji gimnastyki.

Siostry też dostawały lanie?

Tak, ale one były bardziej przymilne i dyplomatyczne, potrafiły od razu przeproszać i obiecywały, że już nigdy czegoś tam nie zrobią, że będą grzeczne. Takie obietnice zawsze matkę wzruszały, przynajmniej na tyle, że przestawała bić.

Każda z nas miała obowiązek obiecać poprawę, a potem jeszcze przytaknąć, że to dla naszego dobra i że mamę kochamy. Potem obowiązkowo musiałyśmy pocałować ją w rękę.

I one przytakiwały?

Tak, oczywiście, jeszcze zanim matka sięgnęła po pasek.

A pani wołała dostawać te cięgi?

Żartuje sobie pani!

Przepraszam, ani trochę nie żartuję, źle sformułowałam pytanie.

Byłam uparta, to prawda. Matka mnie biła, pytając: będziesz płakała czy nie? Obrzucała mnie przy tym obelżywymi słowami, których znaczenia wówczas nie całkiem rozumiałam. Mówiła, że nie chce wychować kurwy ani dziwki z Mariackiej. Mariacka to ulica w mieście, gdzie mieszkaliśmy, ponoć właśnie tam spacerowały miejscowe prostytutki.

I w końcu zaczynała pani płakać?

Siniałam z bólu, ale nie płakałam.

I nie było siły, która by ten upór zdołała przełamać?

Nie potrafiłam znieść klęczenia w kącie na grochu z podniesionymi rękami. To była tortura, która mnie kruszyła.

To wszystko wydaje mi się nieprawdopodobne.

Mnie też. Tym bardziej, że "to wszystko" działo się w imię miłości, dla mojego dobra i po to, bym wyrosła na porządnego człowieka. Posłuszeństwo miało ukształtować mój charakter w sposób jedynie prawidłowy, a kary - w sposób właściwy przygotować mnie do życia. Ze zdaniem i czynami matki nie można było dyskutować, miała zawsze rację. Przecież nie była alkoholiczką, nie sprowadzała sobie mężczyzn, nie włóczyła się. Naprawdę prowadziła dom, w którym miałyśmy co jeść i teoretycznie niczego nam nie brakowało.

Wiedziałyśmy, że się dla nas poświęca, że sobie samej odmawia, że wypruwa sobie dla nas żyły. Tak właśnie. Ciągłe to podkreślała i to było prawdą, w jakimś sensie.

Za złe oceny też pani była karana?

Nie miałam złych ocen. Byłam bardzo dobrą uczennicą, z wyróżniającym zachowaniem. W szkole stosowałam zasadę wielokroć powtarzaną w domu: pokorne ciele dwie matki ssie. Byłam nienaganna i jeśli nauczyciele na coś narzekali, to na to, że jestem nieaktywna, nigdy sama nie zgłoszę się do odpowiedzi, ale zapytana, odpowiadałam śpiewająco. Zasady wpajane mi w domu dawały o sobie znać w szkole.

W szkole nie była więc pani karana.

Ja nie, ale za to obserwowałam, jak karani są inni. W klasie była ośła ławka. Wszystkie ławki ustawione były przodem do tablicy, a ta ośła stała na wprost drzwi, pod oknem.

Tak więc wchodzący do klasy najpierw patrzył na tę ośłą.

Drewniana linijka albo drewniany piórnik służyły do bicia po ręce. Nauczyciel mówił: - Daj łapę. I wymierzał razy.

Geograf robił to wskaźnikiem do mapy. Pamiętam, jak kiedy przełożył ucznia przez swoje biurko, zwane katedrą, i bił go z zapamiętaniem. Siedzieliśmy cicho jak myszy pod miotłą. Do dziś słyszę świst sprężystego kija. Nagle chłopak zerwał się z tej katedry i wybiegł z klasy. Po chwili wrócił ze swoim ojcem, który podszedł do nauczyciela i bez słowa uderzył go

w twarz, po czym wziął syna za rękę i wyszedł.

Nie ma pani pojęcia, jak ja temu chłopakowi zazdrościłam.

Już więcej nie przyszedł do naszej klasy, z tego, co pamiętam, został przeniesiony do innej szkoły. Sprawa była głośna i chyba omawiana na zebraniu z rodzicami, bo potem matka wyjątkowo dużo mówiła o tym, by nigdy, przenigdy nie sprzeciwić się nauczycielom.

A w szkole uczono nas chóralnie skandować:”Choćby cię smażono w smole, nie mów, co się dzieje w szkole”. Zna pani to powiedzonko?

Tak, też nam je w szkole wpajano. Nie mam jednak aż tak skrajnych doświadczeń, choć i o swoich mogłabym dużo powiedzieć.

Wróćmy jednak do zasadniczych wątków naszej rozmowy. Jakie były losy wujka i dalszy ciąg pani relacji z nim?

Kiedy miałam trzynaście lat, właściwie wszystko się skończyło.

W ciągu roku wyrosłam, stałam się panienką, byłam bardziej potrzebna w domu, więc na sobotnie popołudnie i niedzielę do wujostwa była wysyłana któraś z moich młodszych siostr. Wkrótce stałam się licealistką.

Wujaszek natomiast miał się dobrze jeszcze przez kilka lat, a potem nagle zmarł, chyba na serce. Byłam wtedy w klasie maturalnej.

Leżałam z nogą w gipsie, którą złamałam na drugi dzień po śmierci wujaszka, na lekcji gimnastyki w szkole, i na pogrzeb nie poszłam.

Myślę, że bardzo nie chciałam pójść na ten pogrzeb i dlatego ściągnęłam na siebie ten wypadek. Pamiętam, że to był dobry okres w moim życiu. Leżałam dosyć długo w szpitalu, ale odwiedzały mnie koleżanki z klasy, także nauczycielka wychowania fizycznego.

Czułam się ważna i chyba po raz pierwszy też poczułam, że jestem lubiana. Dużo czytałam, uczyłam się angielskich słówek, zwrotów, całych zdań. W każdym razie pobyt w szpitalu mi zaprocentował.

Matka panią odwiedzała?

Tak, raz. Także ciocia Nina. Ale nie brakowało mi tych odwiedzin, byłam nawet zadowolona, że coś się w moim życiu zmienia. Tak to wtedy czułam. I

nie myliłam się.

Wspomniała pani, że odczuwała przyjemność, kiedy wujaszek panią dotykał. Czy może pani sprecyzować te odczucia? Czego było w nich więcej: lęku, przyjemności?

Wszystkiego po trochu, ale chyba najwięcej lęku. Potem takiej dziwnej, nieznaney mi przyjemności. Wstręt przychodził o świcie.

Wtedy nie mogłam na siebie patrzeć. Nie mogłam jeść. Czułam się winna, brudna. Bałam się, już tak konkretnie, że prawda wyjdzie na jaw. Ale tego, co działaoby się potem, już nie byłam w stanie sobie wyobrazić.

Proszę powiedzieć, czy poza dotykaniem piersi, brzucha, łona, łechtaczki - wujaszek - że pozostanę przy tym określeniu - posunął się dalej?

Nie, proszę pani, nie. Proszę pamiętać, że ta cała sytuacja była rodzajem gry. Skoro za pierwszym razem nie zareagowałam, to za następnymi też. Ja udawałam, że śpię mocnym snem, a wujaszek wołał chyba wierzyć, że tak jest.

Albo wierzył.

Czy śmierć wujaszka przyniosła pani jakiś rodzaj ulgi?

Nie sądzę, abym tak wówczas myślała. Chociaż może z perspektywy upływających lat - czymś takim była.

Pani matka żyje?

Nie, już nie żyje, ale dożyła sędziwego wieku... Tylko proszę mi nie zadawać podobnego pytania związanego z matką.

Myślę, że aż takim potworem nie jestem... Brakuje mi jej.

Nigdy sobie nie powiedziałyśmy, że się kochamy i że jesteśmy dla siebie ważne.

Sądzi pani, że to by coś zmieniło? Naprawiło? Że można byłoby coś wytłumaczyć?

Tego nie wiem. Wiem, że ani ja nie spróbowałam, ani ona. Nie dałyśmy sobie szansy. Wiem, że jest mi z tym ciężko i że już nic, absolutnie nic nie mogę z tym zrobić. Wybaczają się tym, którzy żyją.

Może więc pani wybaczyć sobie.

Ma pani rację. Próbuję to robić.

Nie wygląda pani jednak na osobę nieszczęśliwą, na taką, która nie poradziła sobie w życiu, bo miała trudne dzieciństwo.

Wbrew wszelkim możliwym scenariuszom moje dzieciństwo mnie zahartowało. Musiałam jednak dużo nad sobą pracować, a myślę, że i to nic by nie dało, gdybym nie spotkała w swoim życiu kilku wspaniałych ludzi, mniej ode mnie zranionych, i gdybym im nie zaufała. Także gdybym nie spotkała swojego męża, który jest nim już od ponad dwudziestu lat, i gdybym nie spełniła się w macierzyństwie.

W swoich wspomnieniach nie pisała pani prawie nic o macierzyństwie. Prawie nic o mężu.

Bo pisałam przede wszystkim o odległej przeszłości.

Mogłabym pani również opowiedzieć o swoich nieudanych związkach, a tego też nie zrobiłam. To inne historie, choć na pewno tamta przeszłość ma w nich swój udział. Na szczęście dla mnie: bardzo wcześnie zrozumiałam, że jeśli nie pomogę sobie sama, to tak naprawdę nie pomoże mi nikt.

Przyznam jednak, że gdyby nie lojalność, wyrozumiałość i dobroć mojego męża - byłoby mi z sobą trudniej. Proszę tylko sobie nie wyobrażać, że moje życie stało się przejrzystym wzorem, od kiedy znalazłam ukochanego mężczyznę.

W naszym związku też były kryzysy, trudne chwile.

Pani mąż wie o wujaszku i o matce? o wujaszku nie wie. O relacjach w rodzinnym domu trochę wie. Więcej się domyśla.

Dlaczego mu pani nie powiedziała?

Absolutnie nikomu o tym nie powiedziałam. Nigdy i nikomu.

Ale ciążyło to pani?

Tak, oczywiście.

Rozumiem, że nie poddała się pani żadnej terapii.

Zdecydowałam, że sama muszę sobie z tym poradzić. Tak jak powiedziałam: że nikt mi nie pomoże, jeśli sama sobie nie pomogę.

I sądzi pani, że się udało.

Tak myślę. Naszą rozmowę definitywnie zamykam tamten rozdział mojego życia. Muszę ją potraktować jak spowiedź.

Ma pani syna.

Tak, już prawie dwudziestoletniego. Powiem pani od razu: nigdy go nie uderzyłam, mój mąż też nie. Na pewno nie stanowimy modelu idealnej rodziny, ale mamy zalety: potrafimy rozmawiać i rozwiązywać problemy.

Wyprzedza pani moje pytania.

Chyba czuję, o co pani chciałaby jeszcze zapytać. Myślę, że korespondencja pozwoliła nam się trochę oswoić, na tyle przynajmniej, że zgodziłam się na tę rozmowę i zaprosiłam panią do domu.

Do pięknego domu. Czy właśnie o takim domu pani marzyła?

Nie śmiałam posunąć się w marzeniach aż tak daleko.

Chciałam mieć tylko swój kąt, a w nim miejsce dla siebie i kilku swoich rzeczy. Nie miałam tego kąta w domu matki, a i potem tułałam się po wynajmowanych mieszkaniach. To jest nasz trzeci dom i chciałabym, aby był ostatnim. Mówiąc dom - mam na myśli nie tylko budynek z ogródkiem, ale przede wszystkim klimat, który nasza rodzina stwarza.

Nasz - czyli pani i męża.

Tak. Nie liczę tych mieszkań, które zmieniałam, kiedy byłam jeszcze bez rodziny, czyli męża i syna.

Swoich sióstr nie uważa pani za rodzinę?

Są moją rodziną, oczywiście, ale teraz mówię o tej, którą wybrałam sama i o którą dbam. Z siostrami kontaktuję się okazjonalnie. Nasze stosunki są poprawne, nie potrafimy jednak okazywać sobie uczuć. To skaza, proszę pani. Umiem okazywać uczucia swojemu synowi, mężowi, bo to jest coś, co dla siebie stworzyliśmy. Umiem okazywać uczucia moim teściom, a nie umiem swoim siostram. To smutne. Czasami chciałabym, czuję, że mogłabym to zrobić w stosunku do

Doroty, ale nawet jeśli próbuję, to jest w tym zawsze element sztuczności.

Ona też nie potrafi?

Nie potrafi. To znaczy: potrafimy się serdecznie przywitać, pocałować, ale jest w tym rezerwa, konwenans. Mówię o gestach, a nie o tym, co obie czujemy.

Czy pani syn jest człowiekiem otwartym, czy potrafi wyrażać swoje emocje?

O, tak. Marek potrafi. Jest nowoczesny, wie, co to asertywność.

Mam nadzieję, że czuje naszą akceptację i naszą miłość. Potrafi brać i potrafi dawać - bardzo mnie to cieszy.

Potrafi się też buntować, złościć.

A więc jest jednak ratunek dla ludzi "naznaczonych" w dzieciństwie? Niekoniecznie każdy prześladowany staje się prześladowcą? Niekoniecznie każdy krzywdzony krzywe dzi innych?

Bardzo się starałam nie zapomnieć tego, co było. Pamiętać o tym; nie po to, by hodować w sobie nienawiść, choć myślę, że przez ten etap też przeszłam, ale właśnie po to, by nie czynić drugiemu tego, co dla mnie było złe. Nie rozmawiałam o tym z bliskimi, to prawda, ale mój mąż miał zawsze oczy szeroko otwarte i wiele rzeczy rozumiał, widział, czuł. Cieszył się, że przyłgnęłam do jego rodziców i nigdy nie narzekałam na teściów. Sama sobie wymyślałam terapię, wiele czytałam na ten temat, chcąc tylko zrozumieć, wytłumaczyć sobie, aby siebie i bliskich nie oszukiwać.

Och, proszę pani, to następna długa rozmowa. Japo prostu bardzo wcześniej zrozumiałam, że nie mogę siebie krzywdzić.

Przynajmniej ja sama i dlatego próbowałam być dla siebie dobra.

Oczywiście, że nie zawsze mi się udawało, ciągle mam problemy, próbuję je jednak racjonalizować, skaza istnieje, nie zniknęła, ale staram się z nią żyć. Demony z przeszłości to są już moje demony, oswojone, wiem jak je karmić, by zanadto nie fikały.

Ma pani przyjaciół?

Przyjaciół? Raczej nie. Zbliżenie się do kogoś jest dla mnie trudne. Ale mam znajomych, koleżanki. Jestem mało towarzyska, to prawda. Syn ma przyjaciół. On jest towarzyski. Nie przeszkadzam mu w tym. Lubię patrzeć, jak inaczej żyją i inaczej myślą.

Syn zwierza się pani?

Dużo rozmawiamy, ale nie nazwałabym tego zwierzeniami. Wie, że cokolwiek by się stało, może na nas liczyć. I że zawsze może wrócić. Zawsze.

Czy pani mąż wie o mojej dzisiejszej wizycie w państwa domu?

Wie że odwiedzi mnie koleżanka z czasów studiów, która jest tutaj przejazdem.

Nie zdziwił się? Przecież pani nie ma koleżanek.

Nie mam przyjaciółek, koleżanki mam.

Nie do końca więc zamyka pani ten rozdział z przeszłości. Nie wołałaby pani inaczej?

Może bym i wołała, ale nie wyobrażam sobie, aby mogło tak się stać. Musiałabym mężowi o wszystkim opowiedzieć.

Może jednak lepiej tego nie robić, skoro zachowanie tajemnicy nie krzywdzi go.

A książka? Może zdecyduje się pani dać mężowi książkę do przeczytania?

Nie wiem, naprawdę nie wiem, czy byłby sens i czy po raz drugi wykrzesałabym z siebie tak wiele odwagi. Jeśli jednak tak by się stało, napiszę pani o tym.

„Słowa, które wypowiadała, nie miały znaczenia, rozumiałam je, ale mnie nie raniły, ponieważ jej nie kochałam.

Ona także mnie nie kochała. Kazała mi klęczeć na kamieniach, ułożonych jak należy w nasłonecznionym miejscu, i trzymać ręce wysoko nad głową, z dużym kamieniem w każdej dłoni.

Miałam tak tkwić, dopóki nie powiem przepraszam, ale nie chciałam i nie mogłam wypowiedzieć tego słowa”.

Jamaica Kincaid.

Autobiografia mojej matki

PODWÓJNY TOPÓR

Ten obraz zaczynał się przebudzeniem: ze śniegu wstała naga dziewczynka i uważnie spojrzała w dal, gdzie one stały, wszystkie trzy, z dłońmi przy skroniach, każda świeżo zgwałcona przez ojca, i każdej w ustach kamień się kręcił jak żarna, niebieskim ciałem gniótł

ich słowa na znak, że tak dotknięta już nie wyrazi nic.

Dziewczynka wzrok więc spuszcza i wtedy widzi wyraźnie, jak u jej bosych stóp leży na śniegu labrys, podwójny topór z niebieskim brzeszczotem, i jak powoli zaczyna wirować tak jakamienie w ustach tamtych i dziecko, powolne swemu powołaniu, przysięga, że nie ustanie, i labrys do góry pokornie podnosi.

Urszula Małgorzata Benka

Rozdział III

Część 1

Felicja z bosymi stopami

- Kocham cię, kocham, kocham, kocham, kocham, kocham -

powtarzała monotonnie, miarowo stukając głową o brzeg mojego łóżka.

Stałam przy szeroko otwartym oknie, paliłam, wydmuchując dym na zewnątrz, bardziej po to, by wykonywać jakieś określone gesty, niż by nie zadymiać pokoju, który nigdy nie był objęty strefą bezdymną.

Śmiesznie wyglądała. Pokurczona, zwinięta, zasmarkana, z bosymi stopami. I to miarowe stukanie, jakby miało jej pomóc lub spowodować, że szybciej zgaszę papierosa i podejść do niej. A ja paliłam powoli, zaciągając się głęboko, smakując każdy haust dymu, przyglądając się wydmuchiwanej smużce.

- Kocham cię, kocham, kocham, kocham, kocham - stuk, stuk, stuk i łup pięścią, i jeszcze raz.

000, pomyślałam, nowe środki ekspresji.

Nagle skończyła powtarzać słowa, które słyszałam wielekroć, ale nie przestała uderzać pięścią w pościel.

- Kocham cię! - wrzasnęła tak głośno, że aż końcówka papierosa, o którą już zaczęłam sobie parzyć palce, wypadła mi z rąk.

- No przecież słyszę, do diabła, głucha nie jestem -

powiedziałam, zamykając okno, jakby w obawie, że to dopiero początek możliwości Felicji.

Wyglądała żałośnie, ale bynajmniej ani swoim wyglądem, ani płaczem, ani pociąganiem nosa nie wzbudzała we mnie odrobiny współczucia, które by mnie pchnęło w jej stronę, choćby po to, by podać jedną z wyhaftowanych dla mnie chusteczek, bo prawdziwa dama powinna mieć prawdziwe chusteczki, z monogramem, a nie jakieś tam papierowe śmieci, rzekomo higieniczne.

- Jak słyszysz, to zrób coś - powiedziała cichutko - przecież ja umieram.

- Nie bój ziaby, od tego się nie umiera, Felicjo - odpowiedziałam spokojnie, ciągle nie ruszając się spo okna.

- Błagam, przytul mnie, powiedz, że to tylko zły sen, że on minie, pozwól mi wejść do twojego łóżka - skomliła.

- Pozwalam - zgodziłam się tonem pana i władcy..

- Naprawdę? - podniosła głowę i spojrzała na mnie tymi swoimi dużymi i ubabranymi w tuszu oczami.

- Pozwalam wejść na dziesięć minut, a potem spierdalaj -

ponownie otworzyłam okno, bo nagle poczułam, że duszę się w tej nieznośnej mieszance łez, perfum Felicji i własnej wspaniałomyślności.

- Dlaczego tak brzydko do mnie mówisz, nigdy tak nie mówiłaś, ja ciebie po prostu nie poznaję, Beatko - załkała.

- Do tej pory żadne słowo do ciebie nie dotarło, próbuję więc rozszerzyć zasób swoich możliwości. Może się ockniesz i coś z tego zrozumiesz - tłumaczyłam, patrząc, jak tuli się do mojej poduszki, głaszcze ją, wdycha jej

zapach, znów gładzi ręką.

- Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, nie odchodź, nie rezygnuj ze mnie - zaczęła ponownie mamrotać.

Podeszłam, powoli wyciągałam rękę w jej kierunku.

Przekrzywiła głowę w prawo, wzięła głęboki oddech, jakby z nadzieją, że zaraz skończy się ten koszmar, bo obejmę ją swoimi silnymi ramionami i kołysząc, sprawię, że się uspokoi. A ja wyrwałam jej poduszkę z rąk, rzuciłam na twarz i solidnie podduszając jej oddech, wysyczałam:

- Spierdalaj stąd i nigdy nie wracaj, bo mam już naprawdę dość twoich tandetnych chwytów, miauczenia i skomlenia, tej pajęczyny, którą mnie omotałaś, i tej przyjaciółeczki, Irenki. Nie licz na mój udział, nie stworzę z wami żadnej pieprzonej Trójcy, bo nie chcę być błogosławiona między niewiastami - powiedziałam już pełnym głosem.

Wierzgnęła kilka razy bosymi stopami, zwolniłam więc uścisk, wtedy usiadła i oparłszy się o ścianę, próbowała wyrównać oddech.

- No i co się tak gapisz, jakbyś nie rozumiała, co do ciebie mówię, ty bosonoga contessa - byłam wyraźnie zadowolona, że może tym razem, schodząc w arystokratyczne rejony, znalazłam określenie, którym się zatka na tyle, by wsunąć nogi w buty i odejść raz na zawsze. Rzeczywiście, zamilkła, spojrzała jeszcze większymi oczyma, na dnie których dostrzegłam, niestety, kapkę nadziei.

Widać "bosonoga contessa" odebrana została jako zachęta do rozmowy i wyjaśnień.

- Beatko, ty żartujesz, prawda? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Przecież byłam dla ciebie dobra, sama mówiłaś, że taka właśnie byłam, i że byłam kochana, i było nam dobrze, pamiętasz, więc to niemożliwe, aby teraz, skoro dawniej...

- Nie było żadnego dawniej, Felicjo - powiedziałam spokojnie -

żadnego dawniej, nic nie było, Felicjo - powtórzyłam, wykręcając numer tele-taxi i podając adres. - Przyjechałaś tutaj o drugiej w nocy, teraz jest prawie trzecia, obudziłaś mnie, a ja mam już dosyć nocnych telefonów i wizyt, chciałabym nareszcie się wyspać, odpocząć od twoich westchnień, planów i uczuć.

- Było "dawniej", Beatko - powiedziała, stojąc przy lustrze w przedpokoju. Już otwierała drzwi, odwróciła się jednak i wyrzuciła z siebie z pasją równą tej, z jaką mnie wchłaniała, kiedy po raz pierwszy znalazłyśmy się w łóżku:

- Oby cię nikt w życiu już nie pokochał i obym te słowa wypowiedziała we właściwej minucie.

*

Drzwi trzasnęły. Drgnęłam, przeniknięta dreszczem, jakby w przeczuciu, że jej przekleństwo się spełni. Była czarownicą, stawiała pasjanse, zaglądała w szklaną kulę częściej niż w garnki, wypowiadała magiczne zaklęcia, studiowała tarot i układy gwiazd. Ale jak dotąd karty układane przez Felicję pokazywały mi jedynie świetlaną przyszłość. Oczywiście na końcu i początku każdej ścieżki stała ona, Felicja, zawsze z dobrą radą albo przynajmniej z kanapkami starannie zawiniętymi w papier w serduszka - na wszelki wypadek, gdyby jednak miało mnie spotkać coś mniej pomyślnego, to żebym przynajmniej głodna nie była, a wspominając rączki, które te kanapki przygotowały, żebym zawsze wiedziała, że jest ona, Felicja, która mnie kocha, pragnie i uwielbia, i tak już będzie na wieki wieków amen.

Słyszałam cichnący stukot jej obcasów. Bała się windy, więc zawsze pokonywała osiem pięter pieszo, marudząc, że kto to widział, tak wysoko mieszkać j jeszcze się z tego cieAle lubiła patrzeć z moich okien na dachy innych domów.

Miała rację: było "dawniej". I to całkiem niedawno. I trwakrótko, bo kilka miesięcy, licząc od chwili, kiedy mnie pierwszy raz pocałowała. Nie miałam ochoty wspominać tej chwili naprawdę byłam zmęczona i chciałam zasnąć, położyłam się, ale poduszka pachniała Felicją, więc tamten majowy pocałunek powrócił, wywołując z pamięci wszystkie szczegóły, a dopiero potem tamto uczucie dzikiego, nieznanego mi dotąd roznamiętnienia.

Był maj. Córka Felicji przystępowała do Pierwszej Komunii i zanim Felicja się zorientowała, już wszystkie okoliczne restauracje i bary były powynajmowane, zaklepane, nie pozostawało więc nic innego, jak wydać przyjęcie komunijne w domu. Była zrozpaczona i bezradna. Dowiedziałam

się o wszystkim, kiedy któregoś wieczoru, na dwa tygodnie przed uroczystością, przyszła do mnie jak zawsze z Ireną, przyjaciółką, by rozsiąść się w fotelu i poczuć smak niczym niezmałconej wolności, jak zwykła mawiać, wypalić kilka papierosów, wypić kilka lampek wina albo i nie, w zależności od tego, czy owa wolność, czyli przestrzeń mojego mieszkania, była już okupowana przez innych spragnionych wolności, czy też nie. Jeśli nie - nie było okazji do picia, bo sama nigdy nie kupowałam alkoholu. Wtedy było dużo wina i dużo ludzi, najwięcej dymu, a fotele były zajęte. Szybko jednak wysiadałam z niego Jolkę, która nie protestowała, bo zarówno ona, jak i wszystkie inne amatorki wolności wiedziały, że fotel należy się Felicji, jedynej matce w tym gronie, jedynej rozwódce wśród panien, które bynajmniej nie uważały się za stare, choć każda zbliżała się do czterdziestki.

O, przesadzam: bywała wśród nich jedna mężatka; ale chyba wolałaby nią nie być, sądząc po jej smętnej minie i ilości czasu, który wolała spędzać z nami niż z mężem.

Ha! Byłam najmłodsza, choć już dorosła, z dowodem osobistym, dziewiętnastoma latami w metryce i maturą na karku. Nic dziwnego, wszystkie były moimi nauczycielkami, które postanowiły zaopiekować się mną, gdy się dowiedziały, że mieszkam sama, to znaczy bez rodziców. Moi rodzice rozwiedli się trzy lata temu i urządzili sobie życie po swojemu, w innych miastach, nie za bardzo się troszcząc o to, czy nie zejść na manowce. Widocznie jednak doszli do wniosku, że skoro nie zrobiłam tego podczas trwania ich małżeńskiego związku, to teraz, po jego rozpadzie, nie będę miała żadnych negatywnych wzorców ani pokus.

Było mi dobrze, po raz pierwszy od wielu lat. Czułam się ważna, wyróżniana tymi trwającymi od roku wizytami.

Spadły na mnie znieca i równie szybko przerodziły się w towarzyskie pogaduchy. Pierwsza przyszła Irenka, by sprawdzić, czy rzeczywiście mieszkam sama, bez rodziców i opiekunów. Ukrywałam to skrętnie, nie zapraszałam koleżanek, a i tak się w końcu dowiedziały i rozgadały, w czym więcej było zazdrości niż donosicielstwa. Irenka pracowała w szkolnej bibliotece, a wiadomo, że bibliotekarce więcej się powie niż nauczycielce - nie stawia stopni, nie żąda usprawiedliwień za opuszczone dni, a i pracę pomoże napisać lub przynajmniej znaleźć do niej materiały.

Najpierw więc przychodziła Irenka, bo było jej po drodze, a kiedy odkryła w drugim pokoju pianino, to było jej po drodze jeszcze częściej. Potrafiła przyjść, od razu usiąść przy pianinie i grać przez godzinę albo dłużej, bez przerwy, najczęściej Mozarta. Lubiłam to, nie przeszkadzałam jej, chętnie słuchałam, przy tym czasami żałując, że zrezygnowałam ze szkoły muzycznej. Od tej pory moja lodówka nigdy nie była pusta, bo Irenka, która mieszkała z mamą, zawsze znalazła pretekst, by mi przynieść coś wyjątkowo dobrego, co mama ugotowała, a czego one już zjeść nie mogą, więc chętnie się dzieliła, Polubiłam ją, szybko stała mi się bliska, trochę mi matkowała, czego mi zawsze brakowało, szczególnie od czasu, gdy umarła babcia. Nie była wścibska, nie wypytywała o moją sytuację rodzinną, może dlatego sama jej wiele powiedziałam. Odwdzińczyła mi się opowieścią o nieodwzajemnionej miłości do żonatego faceta, o staropanieńskich frustracjach i o tym, jak sobie z nimi radzi.

Imponował mi jej spokój, samodzielność, podziwiałam jej religijność i sposób, w jaki uczestniczyła w kościelnym życiu. Irenka była prawdziwa i szczerą. To chyba wówczas zrozumiałam, dlaczego nie ciągnie mnie do koleżanek w moim wieku. One po prostu były małymi dziewczynkami, wiedziały, jak pachnie zupa, kiedy się wraca ze szkoły, wiedziały, że wakacje są po to, aby szaleć nad morzem i w dyskotekach, a nie pracować dziesięć godzin dziennie na budowie czy plantacji, wiedziały też, że zawsze coś znajdą w lodówce, nawet, jeśli nic tam same nie włożyły. Byłam od nich starsza o te wszystkie noce spędzone na działce, w altanie, którą wybierałam ze strachu przed kolejną awanturą bez powodu lub by nie oglądać ojca kopulującego z matką, który w ten sposób korzystał z jej alkoholowego zamroczenia.

Potem Irenka przyszła z Felicją, swoją przyjaciółką. Niby wiedziałam, że się przyjaźnią, ale kiedy zobaczyłam je razem w progu mojego mieszkania, poczułam się tak, jakby wejście Felicji było zamachem na mój związek z Irenką albo jakby przyszła do rywalki, by wyjaśnić, gdzie jest moje miejsce, i ustawić w innym. Poza tym Felicja była od roku moją nauczycielką angielskiego i poczułam się niezręcznie, od razu połknęłam dwa kije i nawet do Irenki zaczęłam się zwracać "pani profesor". Irenka nie zwracała na to uwagi, ale i nie poprawiała mnie, natomiast Felicja, która zmieściła się cała w przepaścistym fotelu, na każdy mój oficjalny zwrot reagowała zdecydowanym: "mam na imię Felicja".

Wreszcie bezradnie usiadłam pomiędzy nimi, choć na dywanie, i postawiłam sprawę na ostrzu tego dywanu.

- Moje drogie panie - powiedziałam - pomóżcie mi się w tym wszystkim odnaleźć, nie tracę poczucia, kto jest kim, ale chciałabym wiedzieć, co komu do jemu, a jemu do komu, na co, po co, za ile i dlaczego tak dużo.

Tak powiedziałam albo coś w takim bałaganiarskim stylu, w każdym razie rozśmieszyłam obie, więc śmiałyśmy się w trójkę i śmiały, i nie pamiętam już, kiedy się tak ostatnio śmiałam.

Ustaliliśmy więc, że zwracam się do moich pań profeserek po imieniu we wszystkich prywatnych sytuacjach i zachowuję oficjalność w oficjalnych. Wydawało mi się to proste, co jednak wcale prostym nie było, ale o tym przekonałam się później, kiedy nasze więzi zaczęły się zacieśniać i kiedy mój dom zamienił się w konfesjonał, do którego o różnych porach dnia i nocy wpadały nie tylko Irenka z Felicją, ale także Jolka, a potem Baśka z Ewką i Ewka z Mirką.

Jeśli ktoś w tym towarzystwie nie zapominał o zachowaniu tak zwanych granic, to ja. No, może jeszcze Irenka i Felicja, choć też do czasu, bo potem to już wszystko zostało zburzone, strona prawa wymieszała się z lewą, góra z dołem, parobek stał się panem, pan parobkiem, a ja obsadzona zostałam bez woli i ochoty w roli pocieszycielki strapionych, która trwa na posterunku przez całą dobę.

Jakaż się na początku czułam ważna! Jaka wielka, silna, po prostu wspaniała, świat był piękny, a wkrótce miał stać się jeszcze piękniejszy. Nareszcie znalazłam motywację, by się uczyć.

Chciałam, by mnie podziwiano nie tylko za wolność, którą moje koleżanki-profesorki znajdowały w moim mieszkaniu, ale także za to, że jestem pilna, przygotowana do lekcji i nie muszą mi stawiać dobrych ocen przez wzgląd na moje wielkiej piękności niebieskie oczy, ale i ze względu na mądrość i dojrzałość mojego spojrzenia.

Moje noty w dzienniku i na semestr szybko skoczyły w górę, ale też i pracowałam w dwójnasób. Czasami się zdarzało, że któraś z koleżanek-profeserek podsumowywała swoje wieczorne najście:

- Zajęłam ci wieczór, a ty na pewno masz jeszcze lekcje do zrobienia, ale jutro, na szczęście, masz dwie godziny ze mną, a ja cię pytać nie będę.

Głupio się wtedy czułam, więc tym bardziej manifestowałam na lekcji swoje przygotowanie, podnosiłam rękę do góry, gotowa nawet popisać się niewiedzą, byle tylko nie być posądzoną o odcinanie kuponów od kumpelskich układów, którymi zostałam obdarowana wbrew oczekiwaniom i jakby na przekór moim dotychczasowym doświadczeniom.

Najdziwniej czułam się na lekcji z Felicją. Wyraźnie mnie faworyzowała. Kiedy zadawała mi pytanie, podchodziła blisko mojej ławki, patrzyła mi prosto w oczy, uśmiechała się tajemniczo, czasami komentowała moją odpowiedź w taki sposób, że tylko ja mogłam wyłapać aluzje do rozmowy, która toczyła się wczoraj w moim domu.

Odpowiadałam bez ładu i składu, rozśmieszając tym klasę, ale wolałam narazić się na opinię, że nie rozumiem do końca pytania, niż ujawnić, że mam u Felicji specjalne względy. Ona jednak inteligentnie odwracała kota ogonem i znajdowała sposób, by i tak postawić mi wyższą ocenę, niż powinnam była dostać. Czułam, że jest to rodzaj gry, której reguł nie znam, nie przypuszczałam jednak, że poznam je tak szybko, że w nie wpadnę i się zaangażuję; mało tego: że tak szybko zacznę wygrywać, dyktować warunki, aż wreszcie zrezygnuję przerażona rolą, która wydawała mi się nazbyt banalna w swoim tradycyjnym schemacie. A może po prostu wystraszyłam się złotej klatki wypełnionej dobrocią tak szczelnie, że nie było w niej miejsca na choćby jedną wątpliwość albo przynajmniej sprawdzenie, czy w ogóle mam do tej wątpliwości prawo.

Tak więc w ten majowy wieczór Felicja siedziała w fotelu, z którego wysiadałam Jolkę, wielce zadowolona, bo zgodnym chórem obiecałyśmy, że wszystko jej przygotujemy na ten komunijny obiad i restauratorom i tak zarobić nie damy.

Finał był taki, że pracowałyśmy w trójkę: Irenka, Felicja i ja.

Pozostałe koleżanki-profesorki, jak przyszło co do czego, wymigały się obowiązkiem poprawiania prac maturalnych i innymi, niecierpiącymi zwłoki koniecznościami.

*

Siedziałam w kuchni Felicji i paliłam papierosa. Ostatni goście wychodzili, wszyscy zadowoleni, Felicja zadowolona i zmęczona, Irenka zmęczona, ale

uduchowiona, ponieważ tylko ona, tak naprawdę, odczuwała duchową wagę komunistycznej uroczystości. Za trzy dni miałam zdawać egzamin maturalny z angielskiego, powinnam zacząć intensywne przygotowania, o tyle ułatwione, bo wedle zestawów pytań, które otrzymałam od Irenki, za zgodą i namową Felicji. Być może o tym właśnie myślałam, kiedy poczułam na swojej głowie dłoń Felicji. Odwróciłam się i nawet nie zdążyłam zobaczyć intencji w jej oczach, bo od razu poczułam usta, które zatopiły się w moich. Chwyciłam nadgarstki dłoni, którymi mocno trzymała moją twarz, i przerwałam pocałunek, nie dlatego, bym odczuwała go niemiło, wprost przeciwnie, a jedynie dlatego, że zaskoczona sytuacją nie mogłam złapać tchu. Irenka, która weszła do kuchni, zobaczyła, jak trzymam Felicję za nadgarstki i przytrzymuję w ten sposób jej ręce daleko od mojej twarzy, na wysokości piersi. Szybko się wycofała, jakby chciała przeprosić za wtargnięcie bez pukania.

- Irenko, nie uciekaj - powiedziała Felicja, po czym napełniła trzy lampki czerwonym winem. - Dziewczyny, dziękuję wam -

powiedziała - byłyście wspaniałe.

Nie zaprzeczyłyśmy. Irenka wprawdzie już miała ochotę trochę się pokrygować, ale zgromiłam ją wzrokiem, więc tylko opróżniła lampkę do końca. Jeszcze drżałam, nie miałam pewności, czy chwila, w której wstanę z krzesła, nie będzie tą, w której się przewrócę od nadmiaru emocji, jakie spłynęły i ulokowały się w moich nogach, od kolan w dół.

Nie wiedziałam, czy pocałunek Felicji był podzięką za moje kulinarne trudy, czy kaprysem, wiedziałam jednak, że czymkolwiek był, powinien się powtórzyć i że gotowa jestem wrosnąć w krzesło i siedzieć w nim choćby do rana w bezruchu, byle tylko ona jeszcze raz położyła rękę na mojej głowie i nachyliła się nad moją twarzą, a ja wtedy na pewno zgarnełabym ją całą i zrobiłabym z nią wszystko, choć wtedy na pewno nie wiedziałam co. Ośmieliłam się spojrzeć na Felicję. Miała roziskrzzone oczy, rozbiegane, oczekujące.

Ponownie napełniła winem nasze kieliszki.

- No, dziewczyny - powiedziała - za spełnienie marzeń.

Wypiłyśmy to wino do dna jak wódkę, jednym haustem, jakbyśmy się umówiły. A ja wypiałam tak, jakbym nagle poczuła, że moim marzeniem jest

Felicja, cokolwiek miało to w tamtej chwili oznaczać.

- A teraz sprzątanko, zmywanko i spanko - podsumowała kuchenne uniesienia Irenka. - Ja się biorę za zmywanie dodała.

- A ja idę pogonić do łóżka moją”komunistkę”.

- A ja? - zapytałam, bo nagle poczułam się pominięta w tym rozdziale obowiązków.

- A ty, Beatko, wrócisz do swojego domu, odpoczniesz i pouczysz się, bo w środę zdajesz u mnie maturę - Felicja wzięła mnie zdecydowanie za łokieć i odprowadziła w kierunku drzwi.

Poszłabym w tamtej chwili nawet na szafot, wszędzie, byle z Felicją i jej dotykiem.

- Przebierz się w coś codziennego i wróć do mnie za dwie godziny, nie wcześniej - powiedziała, otwierając drzwi.

Wzięłam oddech, jakbym chciała coś powiedzieć, ale konspiracyjnie położyła palec na moich ustach. Nie pamiętam drogi do domu, ciuchów, w które się przebrałam, zapewne po prysznicu, nic nie pamiętam poza tym, że przed jej blokiem byłam znacznie wcześniej i krążyłam niczym ćma, odliczając krokami minuty.

Wreszcie zapukałam. Delikatnie.

Nie czekałam ani chwili, ręka Felicji wciągnęła mnie do środka, zachłannie zaprowadziła do byłej małżeńskiej sypialni, popchnęła w pościel.

- Nic nie musisz robić, tylko poddaj się temu, co ja zrobię -
powiedziała.

Teoretycznie wiedziałam, że seks jest po to, aby dawać sobie przyjemność, ale nie podejrzewałam w najbardziej wyszukanych marzeniach, że aż taką. Wielekroć od tamtej pory próbowałam znaleźć słowa, by określić naszą namiętność i szaleństwo Felicji. Nie znalazłam, wszystkie wydawały się zbyt banalne, nijak niepasujące do siły naszych niecodziennych uniesień.

Felicja zwariowała. Wariowała także każdej następnej nocy, czasami i w ciągu dnia. Zwariowała zupełnie podczas egzaminu.

Podeszłam do zielonego stołu, za którym dostojnie siedziała równie

dostojna Komisja Egzaminacyjna: Dostojny Dyrektor, Dostojna Irena, Dostojna Felicja i równie

Dostojna Ewka. Wszystkie dostojności miały usta dostojnie w ciup, nawet urzędowe uśmiešky grzeszyły dostojnością wymieszaną z powagą dostojnej chwili. Dostojna Felicja uprzejmie wskazała mi zestaw pytań, który bez obaw powinnam wylosować. Zrobiłam to i usiadłam w ławce obok, by się przygotować. Patrzyłam w kartkę i zapisywałam to, co i tak umiałam na pamięć, ale przecież musiałam skorzystać z należnych mi minut, by potem dojrzałe zdawać egzamin z dojrzałości do języka angielskiego.

Usiadłam przed komisją i odpowiadałam, z takim uporem patrząc w kartkę, że aż sam dyrektor zwrócił mi uwagę, abym ośmieliła się spojrzeć w oczy komisji i profesor Felicji, która przecież nie gryzie, a wprost przeciwnie, każdemu maturzyście dodaje otuchy choćby łaskawym uśmiechem. Spojrzałam i zobaczyłam, że kiwa mądrze ufryzowaną główką, którą jeszcze kilka godzin temu miotała na wszystkie strony w najdzikszych jękach rozkoszy. Jej oczy ześlizgnęły się po mojej bluzce i zatrzymały na piersiach. Odruchowo sprawdziłam, czy mam wszystkie guziki zapięte, i w tej samej chwili poczułam, jak pod egzaminacyjnym stołem bosa stopa Felicji dotyka mojego kolana. Drgnęłam, poruszyłam krzesłem, w sekundę potem stopa ponownie odnalazła moje kolano. Spojrzałam wymownie, przerwałam wypowiedź.

- Świetnie ci idzie, Beatko, mów dalej - powiedziała profesor Felicja, nie rezygnując z gładzenia mojego kolana.

Irenka chyba zauważyła, co się dzieje, bo ścisnęła Felicję za rękę, jakby chciała powiedzieć: Opanuj się, kobieto.

Skończyłam odpowiadać. Dyrektor mi podziękował, stopa Felicji wróciła do buta. Wyszłam na korytarz wściekła, tak wściekła, że na kolejnych oczekujących padł strach. Miałam prawie dwie godziny do ogłoszenia wyników, więc poszłam popatrzeć na kasztany, które chwaliły się kwiatami niczym

Felicja swoją namiętnością. Po egzaminie (oczywiście zdałam bardzo dobrze) Irenka dyskretnie podała mi karteczkę. Felicja pisała: "Wybacz, oszalałam dla Ciebie. Czekać na mnie w domu, przyjadę najszybciej jak to możliwe".

Czekałam, choć przez całą drogę do domu obiecywałam sobie, że nie otworzę jej drzwi albo jeśli otworzę, to od razu powiem, co mi zafundowała. Otworzyłam, nie powiedziałam, bo przywarła do mnie jak dzikuska i domagała się pieścizot, z których każdą odwzajemniała tak intensywnie, że w końcu kochałyśmy się aż do wieczora.

Felicja lubiła opowiadać i robiła to zawsze po to, by w odpowiedniej chwili wydobyć ze mnie to, co ją interesowało.

Zaczynała na przykład od opisywania wrażeń, jakie wywołał w niej portret Saskii z czerwonym goździkiem, który oglądała w Tate Gallery, zagłębiała się w detale, a potem ni stąd, ni zowąd pytała, czy moje nazwisko i nazwisko tego słynnego malarza to zbieg okoliczności, czy też jakieś rodzinne więzi.

Dawałam się nabrać, póki nie przejrzałam jej metod; potwierdzałam, że więzi rodzinne, ona kwitowała to przytaknięciem, jakby wiedziała i tylko się upewniała, a potem systematycznie próbowała drażnić temat, na co z kolei ja nie miałam ochoty, bo jakoś nasza namiętność nie szła u mnie w parze z potrzebą zwierzeń. Dla zachęty podejmowała jakieś swoje opowieści, ale i ona miała w sobie tabu, którego przełamać nie chciała. Zawsze omijała temat swojego męża i ojca córki. Nie chciała też mówić o swoich inicjacyjnych doświadczeniach seksualnych, ale ode mnie podstępnie wydobyła, że jest moją pierwszą dziewczyną i pierwszym doświadczeniem. Potem byłam już ostrożniejsza, co się Felicji bardzo nie podobało i z czego często czyniła mi zarzut, którego uwieńczeniem było podsumowanie: Ty mi nic nie chcesz mówić, Beatko, bo ty mnie wcale nie kochasz.

To prawda, nigdy nie powiedziałam, że ją kocham, nawet podczas tych pierwszych szaleństw, kiedy sobie powtarzałam to po cichu wiele razy. A potem już wiedziałam, że moje pragnienie bliskości z Felicją niewiele ma wspólnego z miłością, o której nie wiedziałam, jaka ma być, ale na pewno wiedziałam, że inna. Ona natomiast wierzyła, że kiedyś usłyszy ode mnie to magiczne słowo i że jest to tylko kwestia czasu, cierpliwości i okazywanej mi dobroci.

Miała nadzieję, że kiedy przedstawi mnie swojej matce, zmiękne.

Była tego prawie pewna, kiedy spędzałyśmy tam romantyczny tydzień, każdego poranka otrzymując śniadanie podawane nam do łóżka. Jak żyję,

nikt mnie tak nie hołubił, więc topniałam powoli, ale na szczęście tydzień ma tylko siedem dni.

Felicja marzyła najpierw o tym, bym zdała maturę i nie musiała już chodzić do szkoły, potem by rok szkolny się skończył i by ona również nie musiała tam chodzić, wreszcie o wakacjach, które oczywiście planowała wspólnie ze mną i z córką, jako że i ona zaczęła mi okazywać jawne dowody sympatii i traktować jak starszą, niestety, bardzo upartą siostrę nijak niedającą się namówić na wspólne zamieszkanie i odrabianie lekcji. Ja też marzyłam - o tym, by zdać maturę i egzamin na studia, a potem coraz częściej o tym, by Felicja zrozumiała, że nie chcę z nią zamieszkać, nie chcę opiekować się jej córką, a wreszcie i o tym, że nawet jeśli planuje zmienić miasto i pracę, to nie powinna tego robić dla nas, tym bardziej dla mnie, a już szczególnie - przeze mnie.

Dziś myślę, że czułam się jak w złotej klatce. Spadło na mnie wiele dobra, którym zaczęłam się dusić. Wówczas jednak nie wiedziałam, jak nazwać to wszystko: czego chcę, czego się boję, a przed czym uciekam. Bo bałam się także.

Teraz wiem, że złośliwych uśmiezków, etykiety „Jesby”, również córki Felicji i chwili, w której zacznie mi zadawać kłopotliwe pytania, a ja nie będę umiała na nie odpowiedzieć. Najbardziej jednak bałam się samej Felicji: jej ekspansywności, zachłanności, zazdrości, bezwzględności, hysterii, którą próbowała wymuszać na mnie pozostawanie u niej na noc, psiego oddania i patrzenia w oczy, telefonów i płaczu.

Z dnia na dzień przestała być dla mnie oparciem, którym obiecywała być, i okazało się, że to ja mam obowiązek spełniać tę rolę, myśleć za dwie lub trzy, przewidywać reakcje, amortyzować ewentualne ciosy.

Czas egzaminów na uniwersytet był dla mnie czasem wolności trwającej tak długo, póki siedziałam w sali egzaminacyjnej. Tam nikt nie beształ mnie za patrzenie w dowolnym kierunku i uśmiechanie się.

Ale tuż za drzwiami czekała już na mnie Felicja, oczywiście z propozycją jedynie słuszną, więc nie do odrzucenia. Tak jak kiedyś pragnęłam, by ktokolwiek zapukał do moich drzwi, tak teraz wpadałam w popłoch, że to znów będzie Felicja. Aż w końcu znalazłam najmniej odpowiednią chwilę, by zakomunikować wreszcie, że nie możemy być razem, ponieważ ja tego nie

chę.

Przyjechałam, by powiedzieć, że jestem studentką. Felicja czekała z kolacją i prezentem, jej córka - z własnoręcznie narysowaną laurką.

Każdy kęs zatykał mi gardło, gdy Felicja oznajmiała nowinę, którą do tej pory trzymała w tajemnicy: jak to nam będzie dobrze w innym mieście, gdzie ona przyjęła dyrektorską posadę i otrzymała służbowe mieszkanie, a moje studia to nie problem, to tylko kwestia przeniesienia, bo przecież filologia polska jest i na tamtym, odległym uniwersytecie.

- Felicjo, ja nigdzie się nie przeniosę - odważyłam się wtedy powiedzieć.

Zbagatelizowała stanowczość w moim głosie.

- Przeniesiesz się, przeniesiesz - odparła spokojnie - jak tylko zobaczysz to cud mieszkanko w tym cud mieście świergotała dalej.

I wtedy chwyciłam ją za nadgarstki tak jak wówczas,. w kuchni, kiedy pocałowała mnie po raz pierwszy. Uścisnęłam ją za mocno, bo syknęła, ale nie pozwoliłam, żeby się wyrwała i powiedziałam wrogo, patrząc w jej załzawione już oczy:

- Janie chcę z tobą być, Felicjo.

I wyszłam, spokojnie, bez trzaskania drzwiami i uciekania.

Tej nocy Felicja dwukrotnie pukała do moich drzwi, dwa razy sprowadzałam ją do taksówki. Następnego wieczoru zapukała Irenka.

Najpierw, jak dawniej, grała przez godzinę na pianinie. Potem rozsiadła się w fotelu Felicji i miarowo bębniła palcami po drewnianej poręczy. Aż wreszcie zaczęła mnie zaklinać w imię chrześcijańskich cnót, bym nie krzywdziła Felicji. Nie chciałam nikogo krzywdzić, tym bardziej Felicji, nie potrafiłam jednak wyartykułować swoich racji, nazwać swoich emocji, ani nawet kochać Felicji jak bliźniego swego.

Więc nic nie mówiłam. Irenka wstała, zaczęła chodzić nerwowo po pokoju, nigdy do tej pory nie widziałam jej tak napiętej. W końcu zapytała:

- Naprawdę nie możesz tego dla niej zrobić? Naprawdę nie chcesz z nią być? Już nigdy nie będzie tak jak dawniej podsumowała, choć nie wiem, co miała na myśli.

Pokręciłam głową, że nie chcę i że nie będzie. Popatrzyła z troską, usiadła obok i objęła mnie. Zesztywniałam, bo zaczynałam alergicznie reagować nawet na serdeczną opiekuńczość. A wtedy Irenka wyszeptała:

- Błagam cię, Beatko, zrób coś dla mnie. Tylko jeden jedyny raz.

Wyzwoliłam się z jej objęć.

- Ale co ja mogę zrobić? Co ja mogę zrobić, Irenko? Ja naprawdę nie chcę z nią być - powiedziałam.

- Zrób coś dla mnie, jeden jedyny raz - powtórzyła.

- Co? - zirytowałam się.

- Kochaj się ze mną jeden jedyny raz. Tak bardzo bym chciała choć raz przeżyć to co Felicja.

Podniosłam ją gwałtownie, potrząsnęłam nią i po raz pierwszy w życiu powiedziałam:

- Spierdalaj.

I pokazałam drzwi.

Kiedy Felicja przyszła o drugiej w nocy, nie miałam już żadnego problemu z powtórzeniem tego słowa.

Część 2

Beata z bosymi stopami

Beata odłożyła maszynopis "Felicji z bosymi stopami".

Pies był niezadowolony z tego, że zmieniła pozycję, bo jego włochata mordka znalazła się na dywanie, a nie jak do tej pory, na stopach otulonych skarpetami udzierganymi z góralskiej wełny.

Wyciągnęła rękę - pies od razu nadstawił łeb do pogłaskania.

- Lubi mnie, prawda? On mnie wyjątkowo polubił - powiedziała, czekając na moje potwierdzenie.

- On gotów polubić każdego, kto pogłaszcze ten jego kudłaty łeb
- powiedziałam. - To jest znaleziony i bardzo psychiczny pies, Beato -

wyjaśniałam. - To prawdziwy neurotyk, z absolutnie niezaspokojoną potrzebą bliskości i tulenia. Poza tym nie cierpi mężczyzn, w każdym węższy wroga, a już koniec świata, jeśli jest to postawny facet z teczką, parasolem czy choćby siatką w ręce. Wtedy odsuwa się na bezpieczną odległość i ujada tak, że każdy gotów w nim widzieć ludojada.

- Moje zwyczaje, moja krew - powiedziała Beata. - Też mi zawsze mało - dodała.

Spojrzałam pytająco.

- Głaskania i dobroci - wyjaśniła.
- Ale ty nie ujadasz na całe osiedle.
- Za to bywa, że szczekam neurotycznie.

Milczałyśmy chwilę, jakby każda analizowała swoje szczekanie.

- I co? - odezwałam się pierwsza, wskazując na przeczytane opowiadanie.

- Dałaś czadu - powiedziała cichutko. - Fakty się zgadzają, emocje właściwie też, choć o nich ci nie opowiadałam. Zawsze mnie zastanawiało, jak z trzech faktów można zrobić literaturę. Zamierzasz to opowiadanie włączyć do książki o ranach dzieciństwa? - spojrzała na mnie.

- Jeszcze nie wiem - powiedziałam.

- Zapewniam cię, że to nie był dla mnie koszmar. To nie był

koszmar - przekonywała mnie. - Być może w związku z Felicją pewne relacje zostały zachwiane, ale przecież ja nie byłam dzieckiem, tylko dziesiętnastoletnią dziewczyną, nikt mnie nie uwiódł bez mojej chęci i woli, a poza tym to ja skrzywdziłam Felicję, nie ona mnie.

- Tak na to patrzysz? Jesteś tego pewna?

- Niczego nie jestem pewna, ale tak właśnie o tym myślę, teraz, po latach, i przykro mi, że byłam bezwzględna, że tak ją zostawiłam właściwie bez wyjaśnień.

- A myślałaś o tym, co by było, gdybyś jej nie zostawiła?

*

Kilka miesięcy temu znalazłam w elektronicznej skrzynce list od Beaty.

„Hallo, hallo - pisała - witam Cię, moja droga nauczycielko pisania! Witam po jedenastu latach milczenia i już wyjaśniam, kim jestem, bo zapewne zachodzisz w głowę, kto Cię jeszcze pamięta. A to ja, Beata w tenisówkach albo bez, ale za to zawsze z plecakiem na ramieniu. Uczyłaś mnie pisania na zajęciach w galerii i zapewniam, że byłam Twoją najzdolniejszą uczennicą. Napisałam nawet opowiadanko o tym, dlaczego ogórek nie śpiewa, a Ty doceniłaś kreatywną siłę mojej wyobraźni, tylko, niestety, ja wystraszyłam się Twojej magicznej siły oddziaływania na moją skromną osobę, po czym zwałam, gdzie pieprz rośnie i wanilia, zamieniłam filologię na bankowość, bankowość na socjologię i teraz już nie wiem, na co

zamienię socjologię. A przecież nie łapie się dziesięciu srok za ogon -

mówiłaś. Ty złapałaś jedną i miałaś rację, bo z dziennikarki stałaś się pisarką i gdzie mnie teraz do Ciebie z tą bankowością, socjologią i ogórkiem, który, diabli wiedzą, czemu nie śpiewa, ale chwala mu za to.

Odzywam się po jedenastu latach milczenia, by Ci powiedzieć, że przeczytałam wszystko, co napisałaś w kreatywnym swoim widzie, i że, na szczęście, nigdy o ogórku.

Odzywam się z duszą na ramieniu, bo chciałabym znów napisać.

Przeczytałam Twój anons w Internecie, że zbierasz materiały do książki o zniewolonym dzieciństwie, jestem takim materiałem, a raczej historią, którą mogłabym opowiedzieć i którą inni by na pewno uznali za skandalizującą, gdyby ją usłyszeli.

A więc jak? Cztery róże dla Lucienne, a jednaście róż dla Marty, po jednej za każdy rok mojej nieobecności?”

*

Przypominałam sobie Beatę jak przez mgłę, pamiętałam, że była i zniknęła, więc nic. Praca o ogórku? Być może.

Odpisałam, że czekam na opowieść, podałam kilka praktycznych wskazówek, zapytałam, czy jest zdecydowana na rozmowę ze mną, gdyby się okazało, że chcę jej zwierzenia wykorzystać w książce.

Odpisała błyskawicznie, cytując

Makbeta:”Na wszystkim gotów, co jest godne męża”.

Wieczorem posłaniec przyniósł jednaście czerwonych róż.

Gdyby nie ich liczba i wyraźnie na dołączonej karteczce napisane moje imię i nazwisko, odesłałabym tego człowieka pod adres moich córek, bo to one tak sobie wychowały chłopaków, że otrzymywały niespodziewane bukiety, ku matczynej dumie, co nieco wymieszanej z zazdrością. Do róż, wedle zaleceń Beaty, powinnam była dosypać proszek znajdujący się w malutkiej saszetce, a wtedy będą kwitły czerwoną dzikością przez jednaście

dni, po czym zdechną.

Dosypałam.

Kwitły. I zdechły w określonym terminie.

W dniu, w którym wyrzuciłam róże, przyszła brązowa koperta od Beaty, dziesięć stron opowieści pisanej ręką. Trochę sentymentalnych określeń, ale więcej faktów, konkretów, detali. "Zrób z tym, co chcesz - napisała Beata - możesz ubarwić, zmienić imiona, ale nie zmieniaj faktów. One już się stały".

Przeczytałam. Stałam się Beatą i Felicją, napisałam "Felicję z bosymi stopami", odłożyłam, by po tygodniu popatrzeć na tekst z dystansu. Nie wiedziałam jeszcze, jaką rolę odegra to opowiadanie w całości mojej książki i czy w ogóle.

I właśnie wtedy znów odezwała się Beata. Przysłała mi wiadomość na telefon: "Stoję pod Twoim zabluszczonym balkonem -

zobacz". Zaskoczona, nawet nie zapytałam, skąd wzięła mój zastrzeżony numer. Wyjrzałam z balkonu. Rzeczywiście stała i machała ręką. Przyszła na górę, przeczytała "Felicję z bosymi stopami". A potem wydarzenia potoczyły się jeszcze szybciej.

*

Obudził mnie telefon, w środku nocy, o drugiej. Nie zdążyłam odebrać, ale byłam pewna, że stało się coś złego. Nie mogłam zidentyfikować numeru, widocznie też był zastrzeżony, i nie mogłam oddzwonić. W chwilę potem, już całkiem rozbudzona, usłyszałam dźwięk sygnalizujący, że zostawiono wiadomość na sekretarce.

Zapłakany głos

Beaty mówił: "Coś się stało mojej matce, błagam, zadzwoń do mnie".

Zadzwoń. Ale gdzie?":

Wiedziałam, że już nie zasnę. Byłam zaniepokojona z kilku co najmniej powodów. Jeśli nawet coś się stało, to dlaczego zadzwoniła do mnie? Nie

byłam jej przyjaciółką, ani nawet koleżanką. Przez jedenaście lat na pewno wiele osób przewinęło się przez jej życie, dlaczego więc dzwoni do mnie? Dlaczego ja?

Nie zdążyłam zaparzyć herbaty, kiedy pies szczekaniem postawił mnie do pionu, wyczekująco gapiąc się na domofon.

Podniosłam słuchawkę.

- Błagam, to ja, Beata, wpuść mnie - usłyszałam.

Stała w progu zapłakana, zmarznięta, w rozpiętym szaro-niebieskim skafandrze, z nieodłącznym plecaczkiem na ramieniu.

- Mogę u ciebie chwilę posiedzieć? - zapytała, podczas gdy pies już kręcił wokół niej swoje radosne wygibasy. Wyciągnęła rękę, by go pogłaskać, a wtedy z rękawa jej kurtki wypadła zakrwawiona chusteczka.

- Rozbierz się i pokaż ręce - powiedziałam, próbując ukryć zdenerwowanie.

Posłusznie zdjęła kurtkę, plecak rzuciła w kąt, ściągnęła zaśnieżone buty, które od razu schowałam do szafki, bo inaczej pies od razu potraktowałby je po swojemu.

- Ręce - powiedziałam stanowczo.

Podwinęła rękawy swetra, odwróciła dłonie. Na każdym z nadgarstków widniało kilka cięć, z których sączyła się krew.

Wepchnęłam ją do łazienki. Usiadłam na brzegu wanny i trzymając jej dłonie nad umywalką, liczyłam cięcia: siedem na prawej, osiem na lewej.

- Na lewej jest o jedno więcej - powiedziałam.

- A kto powiedział, że ma być po równo? - uśmiechnęła się przez łzy. - Od czasu, kiedy w Polsce skończył się komunizm, nie ma po równo, nawet teoretycznie.

- I jakim to narzędziem zbrodni tak się przyozdobiłaś?

zapytałam, polewając jej nadgarstki wodą utlenioną.

- Kuchennym nożykiem - powiedziała prawie radośnie. W lewej kieszeni

- dodała.

Rzeczywiście, z kieszeni wystawała czarna rękojeść.

Wyciągnęłam dwoma palcami, był zabrudzony krwią. Od razu wyrzuciłam do kosza.

- Niepotrzebnie wyrzuciłaś - powiedziała - jest również dobry do krojenia cebuli.

- A mama? - zmieniłam temat.

- W porządku - powiedziała - kilka razy nią potrząsnęłam, tylko raz dałam jej w pysk i przestała udawać, że zemdląca.

- Chyba zwariowałaś, Beato.

- Możliwe, ale już się odzwyczaiłam od jej pijackich hysterii, choć jak widzisz, pozwoliłam się wyrzucić z mieszkania, i to w dodatku ze swojego.

Przykleiłam plastry na jej nadgarstki. Usiadłyśmy przy kuchennym stole, popijając herbatę. Milczałyśmy.

- Nic nie mówisz - powiedziała po chwili.

- Cóż ja mogę powiedzieć? Pojawiłaś się po jedenastu latach w moim życiu, a i z tamtych czasów niewiele cię pamiętam, właściwie nic o tobie nie wiem, poza tą historią z Felicją, więc nawet jeśli chciałabym o coś zapytać, to nie wiem, od czego zacząć - wyraźnie się usprawiedliwiałam.

Beata skubała nitki wysuwające się spod plastrów. Zapaliła papierosa, rozglądając się za popielniczką. Podałam jej mały talerzyk.

Wyciągnęła paczkę papierosów w moją stronę.

- Od pięciu lat nie palę - powiedziałam.

- A ile lat paliłaś?

- Od zawsze - powiedziałam - z przerwami na ciążę i karmienie, wtedy miałam motywację.

- To i teraz zapewne masz, choć inną - uśmiechnęła się.

- Teraz nie mam motywacji, tylko postanowienie.

- I nie ciągnie cię?

- Ciągnie, przecież jestem nałogowcem, palaczem, pięć lat w niepaleniu.

Znów zamilkłyśmy. Zgasiła papierosa, pogłaskała psa, westchnęła.

- A więc ty naiwnie myślałaś, że koszmarem mojego dzieciństwa była Felicja - zapytała z wyrzutem.

- Teraz domyślam się, że matka alkoholiczka.

- Nie rozśmieszaj mnie - powiedziała Beata z jeszcze większą nonszalancją w głosie. - Matka była w porządku, pomijając ten drobiazg, że piła w nadmiarze i puszczała się w nadmiarze. To ojciec był wredny.

- Wredny? - zdziwiłam się.

- Łagodnie mówiąc, wredny - potwierdziła. - Zgwałcił mnie, jak miałam sześć lat - dodała po chwili.

Patrzyłam na zapuchnięte oczy dorosłej kobiety, wysokiej, zapewne silnej, przynajmniej fizycznie. Pomyślałam o tym, że jest trzecia w nocy, że już nie zasną i diabli wezmą moje jutrzejsze plany.

Chyba jeszcze o tym, że nie mam siły na nowe znajomości, że nie nadaję się do roli pocieszycielki, terapeutki, że oto znów ktoś mnie wciąga w swoje problemy, a ja nie jestem na tyle asertywna, by się przeciwstawić, zakreślając jasne granice wzajemnych relacji. Mogłam jej nie zapraszać na górę wtedy, gdy stała pod moim balkonem, ustawić barierę oficjalności, zatrzymać się na korespondencyjnej znajomości, odnowionej z wiadomych powodów.

Chyba tak właśnie chaotycznie myślałam, nie biorąc pod uwagę, że mechanizm już został uruchomiony, wpadłam i jestem ugotowana.

- Mogłabyś przynajmniej zadać mi pytanie, jak w amerykańskich filmach: czy chcę o tym porozmawiać - odezwała się, przerywając moje rozmyślenia.

- A chcesz?

- Chcę - powiedziała zdecydowanie.

- W takim razie mam propozycję: odłożymy tę rozmowę na inny dzień, jutro mam wiele rzeczy do zrobienia - negocjowałam - a 'teraz rozłożę ci

kanapę w bibliotece i się prześpisz.

- Dobrze - zgodziła się Beata - nie zostanę jednak u ciebie, pojedę do domu, jeśli mi zamówisz taksówkę.

Bardzo mi to było na rękę, wykręciłam numer, za kilka minut Beata zeszła przed blok, a ja połknęłam pół tabletki nasennej i wskoczyłam do łóżka. Wbrew obawom, zasnęłam szybko.

*

Wydawało mi się, że ledwo co zmrużyłam oczy, kiedy pies znów zaczął skomleć. A potem głośno ujadać. Wstałam, podniosłam słuchawkę domofonu i ponownie usłyszałam

Beatę:

- Błagam, wpuść mnie.

Znów była zmarznięta i zapłakana.

- Nie mam kluczy, nie zabrałam, wybiegając wtedy z domu, a matka nie chce mnie wpuścić - tłumaczyła.

- Jak to nie chce cię wpuścić do twojego mieszkania? nie ukrywałam irytacji.

- Na pewno śpi i nie słyszy albo słyszy i nie chce.

Ostentacyjnie połknęłam tabletkę przeciwbólową, hipochondrycznie przewidując ból głowy.

- Prześpisz się w bibliotece, a rano normalnie pójdziesz do szkoły.

- Do pracy - poprawiła mnie.

Szczerze mówiąc, było mi wszystko jedno, dokąd pójdzie, byle poszła i bylebym mogła spać i pracować bez atrakcji serwowanych mi niespodzianie i o godzinach, których nie ma na moim zegarze.

- Będzie ci tutaj dobrze? - wskazałam na kanapę, wykazując niepotrzebną troskę, która mogła być odczytana jako zachęta do dalszej rozmowy.

Skinęła głową. Dałam jej ręcznik, szczoteczkę do zębów, przygotowałam filiżankę świeżej herbaty i postawiłam na stoliku obok kanapy. Kiedy już wyszła z łazienki, zamknęłam drzwi do pokoju, w którym spała, uporządkowałam kuchnię, bo nie cierpię rozpoczynać dnia od mycia naczyń, i schowałam jej buty przed psem.

Rano obudziłam się pierwsza, wyszłam z psem na spacer, kupiłam świeże bułki, gazetę. Chciałam zrobić kawę i obudzić Beatę, tymczasem ona już siedziała w kuchni, wkładała skarpety na bose stopy i paliła papierosa.

- Chciałam wyjść, zanim wrócisz - powiedziała na dzień dobry -
ale nie mogłam znaleźć butów.

- Są w szafce, schowałam je przed psem - wyjaśniłam.

- A gdzie szafka?

- Szafka jest w szafkowni - wyjaśniłam rezolutnie.

- No tak, w takim razie mogłabym szukać do jutra.

Podaliśmy jej buty i kawę. Na kawę nawet nie spojrzała, wyszła.

- Jest mi głupio - powiedziała przy drzwiach, patrząc w podłogę.

Miałam ochotę ją przytulić. Nie zrobiłam tego.

Część 3

***Kobieta, z którą chciałabym spędzić życie, jest, niestety,
bezcześnie heteroseksualna.***

Rozmowa z Beatą - pierwowzorem bohaterki opowiadań

„Felicja z bosymi stopami” i „Beata z bosymi stopami”.

Marta Fox: Czy dzieciństwo kojarzy ci się z czymś miłym?

Beata: Tak, z zapachem krupniku, który babcia dla mnie gotowała. Pamiętasz... jak przyszedłam do ciebie pierwszy raz, po jedenastu latach... tutaj pachniało krupnikiem. Czytałam

„Felicję z bosymi stopami” i cały czas myślałam o tym krupniku, czy go rzeczywiście gotowałaś, czy mam omamy węchowce i walczyłam z sobą, by nie zapytać, co miałaś na obiad.

Możliwe, że gotowałam. Psiak uwielbia krupnik. Zresztą ja też lubię. Mogłaś spytać...

Na kurzych skrzydełkach i z marchewką? Czułam, że z tym psem łączy mnie coś prawdziwego. Wie, co dobre. Mówiłaś, że jego też wyrzucili.

Nie wiem, czy wyrzucili, ale na pewno swoje przeszedł, co do dzisiaj widać. Zostawmy jednak psa w spokoju.

Ale kiedy widzę podobieństwa... między sobą a nim. Łazi za tobą wszędzie, nawet do toalety, prawie jak ja za swoją matką i babcią. Zawsze trzymałam się ich kiecek, dosłownie. Czy ten twój pies ma jakieś imię?

Oczywiście, ma na imię Pies. A teraz mi wyjaśnij, dlaczego powiedziałaś: „Jego t e ż wyrzucili”. Przecież ciebie chyba nikt nie wyrzucał.

Nikt mnie nie wyrzucał - raczej porzuczał. Rodzice mnie porzucili, matka zostawiła, kiedy najbardziej jej potrzebowałam, a prawo opieki nade mną dostał ojciec. Ale też go niewiele obchodziłam, bo wyjechał do innego miasta ze swoją kolejną kochanką.

Ile miałaś wtedy lat?

Szesnaście, byłam już w pierwszej klasie liceum. Rodzice się rozwiedli, pozbyli się naszego dużego mieszkania, chyba je sprzedali.

Matka dostała małe, pokój z kuchnią, w którym mieszka do dziś, a ojciec kupił mieszkanie dwupokojowe, bo to przecież on ze mną miał

mieszkać i się mną opiekować, zgodnie z wyrokiem sądu. Urządził to mieszkanie, nawet sensownie, i wyjechał sto kilometrów dalej.

Jeśli dobrze rozumiem: ojciec, który cię zgwałcił, gdy miałaś sześć lat, otrzymał prawo opieki nad tobą, a matka tego prawa nie otrzymała. Dlaczego?

Bo o gwałcie ojca nikt nie wiedział, a pijaństwo matki ojciec świadomie wykorzystał podczas rozwodu, znalazł nawet świadków, o co nie było tak trudno, bo zawsze znajdują się kobiety gotowe przypieprzyć drugiej kobiecie w imię określonych i tradycyjnych wartości. A i po to jeszcze, by siebie pokazać w lepszym świetle, a przy okazji zgarnąć jej faceta, o którym fama krążyła, że jest niezły w łóżku.

Zostałaś więc sama w mieszkaniu, które stało się miejscem miłych spotkań towarzyskich, o czym pisałaś, wspominając historię z Felicją, tak?

Tak. Z tym, że stało się ono miejscem spotkań, kiedy byłam już w trzeciej klasie liceum. Przedtem mało kto u mnie bywał.

Z czego się utrzymywałaś?

Ojciec płacił wszystkie świadczenia, czasami przysyłał mi jakieś pieniądze, jak sobie przypominał. Z matką, jak powiedziałam, przez dwa lata nie miałam żadnych kontaktów.

Próbowała po jakimś czasie się odezwać, ale nie chciałam z nią rozmawiać, więc dała sobie spokój. Czasami dostawałam pieniądze od dziadków, zawsze wtedy, kiedy ich odwiedzałam, a robiłam to często.

Przede wszystkim jednak sama zarabiałam. Wtedy to nie był problem, już mając szesnaście lat pracowałam przez całe wakacje na budowie, w Niemczech, popołudniami dorabiałam, sprzątając mieszkania, myjąc wagony tramwajowe, nawet zrzucając węgiel. Sąsiadka częstowała mnie czasem zupą. Wszyscy byli zdziwieni, że małżeństwo moich rodziców się rozpadło. Na zewnątrz wyglądali na super parę. Szczególnie ojciec sprawiał korzystne wrażenie, bo nigdy nie pił, a matkę zdarzało mu się na własnych plecach targać do domu, co sąsiedzi widzieli. A mimo tego, jak wychodzili z domu razem, to ojciec był wobec niej bardzo szarmancki.

Dlaczego nie chciałaś nawiązać z matką kontaktu?

To był odruch. Czułam się porzucona. Ich rozwód, wszystkie manewry z mieszkaniem - to odbyło się jakby za moimi plecami, nawet nie wiedziałam kiedy. A potem: nagle się uciszyło, byłam sama, nie musiałam na nich patrzeć, nikt mnie nie bił, poczułam się lekko.

Jakbym nie miała żadnych obowiązków. Już się nie bałam na przykład tego, że matka wróci pijana, że ojciec najpierw ją uderzy, a potem rzuci na tapczan i zacznie pieprzyć na moich oczach.

Jak to na twoich oczach?

No tak, do głowy mu nie przyszło, żeby zamknąć drzwi.

Albo był taki napalony i podniecała go matki bezwolność, albo myślał, że jak drzwi będą otwarte, to nie przylecę matce na ratunek.

Och, chyba niepotrzebnie posądzam go o myślenie, on tylko działał.

Nie, nie podglądałam ich. Widziałam raz czy dwa, co się dzieje, ale ponieważ matka pozwalała, więc się nie wtrącałam. Gdyby ją bił, biegłabym na ratunek. Potem już wiedziałam, jaki jest scenariusz, więc się nie wtrącałam.

Jak przeżyłaś ten pierwszy raz?

Mówisz o widoku kopulujących rodziców?

Tak.

Lepiej nie pytaj. To był szok. Oczywiście wiedziałam, co się dzieje, byłam wcześniej uświadomioną dziewczynką, co innego jednak wiedzieć, a co innego widzieć. Myślę, że gdybym zobaczyła jakąś obcą parę, przeżyłabym to inaczej, podzieliłabym się na przykład sensacyjnym odkryciem z dziećmi na podwórku. A tu - blokada totalna. Strach, który powodował skurcze żołądka. Nienawidziłam ich wtedy, do dziś przyprawia mnie o mdłości każde usłyszane sapanie, bez względu na to, co jest jego źródłem.

Ile wtedy miałaś lat?

Dziesięć, jedenaście, nie więcej.

Matka piła przy tobie?

Raczej nie, chyba że podczas jakichś uroczystości, ale wtedy zazwyczaj się trzymała. Ona wracała pijana z pracy.

Jeśli była bardzo pijana, to ojciec ją bił, a ja broniłam, więc i mnie się dostawało solidnie, ale wtedy przynajmniej nie wyczyniali żadnych ekscesów seksualnych. Jeśli natomiast matka wróciła tylko mocno podchmielona, to wówczas się roznamiętniali.

Stawałaś w obronie matki?

Zawsze jej broniłam. Było mi jej żal. I mimo że w tak zwanej opinii publicznej to ona była napiętnowana, ja jej nie winiłam, dla mnie źródłem całego zła i naszych nieszczęść był ojciec. Może to marne wytłumaczenie, ale myślę, że matka zaczęła pić przez niego.

Była jego drugą żoną, dużo od niego młodszą. Jego pierwsza żona była dla odmiany piętnaście lat starsza. Ojciec zawsze matkę zdradzał, choć niby zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Jeszcze niedawno w starych rupieciach znalazłam list od którejś z jego kochanek, data świadczyła o tym, że rodzice byli zaledwie kilka miesięcy po ślubie. Ponoć, kiedy miałam dziewięć miesięcy, mama chciała popełnić samobójstwo, już stała w otwartym oknie, ale ja się przebudziłam, zapłakałam i zeszła z parapetu, a potem ochłonęła. Tę historię opowiadała mi babcia.

Ciebie ojciec również bił?

Oczywiście, systematycznie i z premedytacją. Od pierwszej klasy szkoły podstawowej poczynając. Im byłam starsza, tym więcej było powodów do bicia.

Jakich powodów?

Powodem mogła być zła ocena, kleks w zeszytach, plama na spódnicy, brudne buty, cokolwiek. Ojciec nazywał bicie wbijaniem rozumu do głowy. Kazał mi wybierać miejsce wbijania tego rozumu: albo łóżko, albo podłoga. Musiałam się położyć - wołałam podłogę z dywanem - ojciec brał sznur, kabel, wiązał mi nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach. Przynosił smycz naszego psa i wymierzał mi razy.

Bił wszędzie. Zasada była jedna: za każdy krzyk dziesięć razy więcej.

Wołałam gryźć dywan niż wrzasnąć. A potem sadzał mnie przy stole i kazał rozwiązywać zadania.

Czy mama nie stawała w twojej obronie?

Ojciec mnie bił, kiedy jej nie było, kiedy miała dyżur w szpitalu.

I nie poskarżyłaś się?

Po co? Aby mieć powtórkę z rozrywki w następnym dniu?

Poza tym ojciec mi tłumaczył, że wychowa mnie na porządną kobietę, czyli inną niż moja matka.

I nikt nie zauważył śladów na twoim ciele po tym biciu?

Byłam bardzo samodzielna, od czasu, gdy poszłam do szkoły, nikt mi nie

pomagał przy myciu, poza tym to jasne, że je ukrywałam.

Babcia właśnie wtedy umarła i właściwie już nie miał się mną kto opiekować, bo drudzy dziadkowie, ze strony matki, mieszkali dwieście kilometrów od nas. Pierwszą osobą, która zobaczyła te ślady, była nauczycielka gimnastyki, także moja opiekunka w kole sportowym, ale wtedy byłam już pod koniec siódmej klasy. Pani Teresa zapytała mnie, czemu nie ćwiczę w spodenkach, tylko w dresie. Swoim zwyczajem powiedziałam, że lubię. Ale ona kazała mi zostać po lekcjach i zaczęła wypytywać o ten dres. Więc ściągnęłam spodnie i pokazałam jej nogi. Nie potrafiłam nic powiedzieć.

I co?

Zabrała mnie wtedy do siebie. Pod wieczór przyszedł mój troskliwy ojciec, dowiedział się od koleżanek, że wyszłam ze szkoły z nauczycielką. Trafił. Zrobił jej awanturę, powyzywał od pedofilek, straszył, że poda ją do sądu, ale Teresa powiedziała, że ma wynik mojej obdukcji i że to on będzie miał problemy. Chyba się przestraszył, bo pozwolił mi zostać. Matka była w tym czasie w swoim chyba najgorszym okresie, więc się o mnie nie troszczyła, a potem to już rodzice się rozwiedli i mieli mnie z głowy.

To dzięki Teresie dojrzałam szczęśliwie do końca podstawówki.

Prawie pół roku w ostatniej klasie przesiedziałam właściwie u niej.

Jak to u niej? A co na to jej rodzina?

Teresa była samotną panią koło pięćdziesiątki, tak zwaną starą panną, bez dzieci i żadnych obowiązków rodzinnych, bo nie miała też już rodziców. Tak więc byłam szczęściarą.

Teresa mnie polubiła, ja ją też, więc było dobrze. Do tej pory się przyjaźnimy.

Zwierzałaś się jej?

Raczej nie. Ona i bez tego dużo wiedziała. Jak się spędza pół

dnia razem, a czasami i noc, to można się wielu rzeczy dowiedzieć, nawet gdy się nie mówi wprost.

Powiedziałaś jej o ojcu?

To znaczy o czym?

O tym, że cię zgwałcił.

Powiedziałaś?

Nikomu o tym nie powiedziałam. Ani Teresie, ani matce, ani babci, ani Felicji, ani Irencie.

Dlaczego w takim razie mnie sobie wybrałaś?

Nie wybierałam. Tak wyszło. Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Ty mnie poniekąd sprowokowałaś. A poza tym nie znasz i nie poznasz ani moich rodziców, ani Felicji. Chcę tą opowieścią zamknąć tamten etap swojego życia. Zamknąć, zatrzasać, kopnąć w dupę i koniec.

Dałaś mi taką okazję, skorzystałam.

Wróćmy do ojca. Ile miałaś lat, kiedy cię zgwałcił? I czy to był

gwałt w tradycyjnym rozumieniu? No bo przecież jak można było zataić ten fakt? Ojciec musiał cię poranić.

OK, opowiem to, co pamiętam. Bo ja jednak tamten okres bardzo mocno z siebie wyparłam i w sumie chyba niewiele będę ci mogła powiedzieć. Wieczorem ojciec opowiadał mi bajkę o Żwirku i Muchomorku. Leżałam już w łóżeczku, chodziłam do przedszkola, miałam sześć lat. Siedział w fotelu i właściwie to czytał, a nie opowiadał.

Lubiłaś, jak ci czytał?

Lubiłam. Do tego razu. Bo kiedyś położył się obok mnie i zaczął mnie dotykać, i to było dla mnie bardzo dziwne.

Nigdy przedtem ojciec cię nie dotykał, nie siedziałaś u niego na kolanach?

Na pewno siedziałam, ale tego nie pamiętam. Zajmowała się mną babcia i mama. To one mnie myły, ubierały i przytulały, a tu nagle ojciec. Więc ten dotyk od razu odczułam inaczej.

Byłaś zdziwiona tym, że zaczął cię dotykać inaczej?

Byłam zdziwiona tym, że w ogóle mnie zaczął dotykać.

Czułam, że coś jest nie tak, choć może nie czułam zagrożenia, bo przecież czymś mama od taty się różni, więc i dotykanie mogłam odbierać inaczej. Dużo później zrozumiałam, że ojciec mnie oswajał, jakby przygotowywał. Kiedy opowiadał mi bajki, zawsze lubiłam sobie nakrywać głowę, gdy mi opowiadał. Teraz też zresztą tak robię, gdy słucham muzyki w domu. Lubiałam więc sobie nakrywać głowę kocem, nie dlatego, że się bałam, ale po to, by się całkowicie zamknąć w świecie bajki, w swojej wyobraźni. I ojciec to moje przyzwyczajenie wykorzystał. Bawił się ze mną w przykrywanie i odkrywanie. Najpierw w łaskotki-gilgotki, a potem dotykał mnie po brzuszku, po piersiach, których jeszcze nie miałam.

Czy mówił coś do Ciebie?

Tak, opowiadał mi bajkę o Żwirku i Muchomorku, o tym, co Muchomorek robi Żwirkowi, a co Żwirek Muchomorkowi, i jak im dobrze. Potem raz ja byłam Muchomorkiem, a raz on i na odwrót.

Potem się dowiedziałam, co Muchomorek ma pod pelerynką i jakie to milutkie, raz mięciutkie, raz twarde i mokre.

Wiedziałaś, co ojciec ci robi, miałaś świadomość tego, co się dzieje?

Wiedziałam, że jest mu przyjemnie i że dorośli ludzie dotykają się, aby robić sobie przyjemność. W domu były francuskie książki na temat dojrzwania seksualnego, z obrazkami, mama mi je tłumaczyła.

Nie byłam więc zielona, myślę, że jak na sześciolatnie dziecko, dużo wiedziałam.

Ojciec się spełniał przy tobie?

Tak. Kazał mi patrzeć i dotykać. Całował mnie po brzuszku, a potem wkładał mi palec do pochwy. Całował mnie po sromie i mlaskał. To wszystko było zabawą, do której mnie namawiał, nawet jak nie chciałam, i to była nasza tajemnica, o której nawet babcia nie mogła się dowiedzieć ani mama, bo byłyby zazdrosne.

Więc to, co ojciec mi robił, ja nazywam gwałtem, choć mnie nie poranił i chyba nie rozdziwicył. Możesz sobie to nazywać molestowaniem, a dla mnie to był gwałt. Byłam gwałcona przez co najmniej półtora roku. Skończyło się, kiedy poszłam do szkoły. Wtedy ojciec gwałt seksualny

zastąpił innego rodzaju gwałtem: zaczął mnie bić. Kto wie, czy wówczas nie marzyłam o tym, by mnie gwałcił po staremu, czy już wówczas nie czułam się porzucona.

Jakie wykształcenie miał ojciec?

Wyższe, skończył politechnikę, jedyny w rodzinie miał

wykształcenie techniczne. Cała męska linia jego rodu wywodzi się ze szlachty, co mamy potwierdzone dokumentami, rodowodami, herbami, i wszyscy realizowali się w zawodach artystycznych: kompozytorów, dyrygentów, malarzy. Tak więc noszę nazwisko znane i cenione w polskiej sztuce... Dziadka, który był dyrygentem, nie pamiętam, ale babcię, jego żonę, pamiętam dobrze, to ona gotowała mi krupnik, kiedy jeszcze rodzice mieszkali razem z nią.

Kochałaś babcię?

Chyba tak, choć czułam przed nią ogromny respekt. Była bardzo despotyczna, ale też ona nauczyła mnie wszystkiego.

Czy wiesz, że byłam dzieckiem dwujęzycznym? Mówiłam po francusku tak samo jak po polsku. Babcia rozmawiała ze mną tylko po francusku. Ukończyła dwa fakultety na Uniwersytecie Jagiellońskim: historię i filologię polską. Mówiła biegle czterema językami.

Pochodziła z bardzo bogatej żydowskiej rodziny. Kiedy dziadek z moim trzyletnim wówczas ojcem znaleźli się po łapanie w obozie przejściowym w Krakowie Płaszowie, to babcia, Żydówka, wykupiła ich za kopę złota.

To babcia nauczyła mnie wszelkich możliwych zasad savoir-vivre'u. Ale moją mamę ledwo tolerowała. I ponoć bardzo wtrącała się w życie moich rodziców, póki wszyscy razem mieszkali.

Czy wiesz, dlaczego nie lubiła twojej matki, a swojej synowej?

Nie mam pewności, bo babcia była na tyle taktowna, że nigdy przy mnie o tym wprost nie mówiła, ale myślę, że po prostu wymarzyła sobie lepszą żonę dla syna. On był natomiast wariatem i popełniał same mezalianse. Najpierw się ożenił z kobietą, która teoretycznie mogłaby być jego matką, a potem z pielęgniarką, która nie skończyła studiów wyższych. Babcia kochała swojego jedynego syna (pierworodny zmarł) małpią, szaleńczą miłością, dziadek był

bardziej powściągliwy, ale ponieważ tkwił pod pantoflem babci, więc nie zabierał głosu w istotnych sprawach. Tak więc babcia brała sobie odwet na synowych. Myślę, że mama musiała się czuć okropnie w tych rodzinnych układach.

A rodzice matki?

Żyją do tej pory, to są moi kochani dziadkowie, ta babcia też mi gotuje krupnik, ale nie jest tak dobry jak tamten, w dzieciństwie, choć w domu pachnie wtedy podobnie. Babcia była nauczycielką przedszkolną, dziadek technikiem.

Jaki jest teraz twój stosunek do rodziców? Próbowalaś z nimi rozmawiać już jako dorosła osoba?

Ojciec jest na emeryturze, mieszka na drugim końcu Polski ze swoją aktualną, dużo młodszą od siebie żoną. Rok temu go odwiedziłam i powiedziałam, że wszystko mu wybaczam. Absolutnie nie wiedział, o czym mówię. Po czym jakby sobie przypomniał i powiedział, że nie czuje się winny, bo on mi nogi nie złamał, o co go kiedyś obwiniałam, i że to był wypadek. Żaden wypadek, złamał, bo tak mnie kopnął w kość goleniową, że pękła, ale ja nie o tym myślałam. Więc doszłam do wniosku, że to wszystko, to całe przypominanie nie ma sensu i albo mu wybaczę, albo nie. Matka już powinna pójść na emeryturę, ale niechby jeszcze pracowała, bo póki pracuje, to jakoś się trzyma. Mieszka sama i tylko czasami mnie odwiedza.

Wybaczyłaś im?

Nie wiem, czasami mi się wydaje, że tak, a czasami, że nie.

Wiem tylko jedno, że bardzo chcę mieć rodziców, a najbardziej chcę mieć matkę. Może to chore, ale tęsknię za tym, by się nią opiekować i mieć ją tylko dla siebie. Żeby musiała na mnie patrzeć i mnie widzieć.

Odnoszę wrażenie, że zawsze łączyłaś do dojrzałych kobiet i chyba dalej szukasz takich osób. Była Teresa, Felicja, zapewne jeszcze inne.

O, tylko nie wkładaj do jednego worka Teresy z Felicją.

Teresa była moją opiekunką, bratnią duszą, prawie matką.

Felicja była moją kochanką, a to zasadnicza różnica. Dzięki Teresie poznałam, co to znaczy spokojnie i bezpiecznie przespać noc, a dzięki Felicji,

j~k to jest przez całą noc szaleć z namiętności.

Kiedy poczułaś, że twoja orientacja seksualna jest skierowana na kobiety?

Myślę, że już w wieku jedenastu, dwunastu lat. Wtedy po raz pierwszy się zakochałam - w matce wakacyjnego kolegi.

Marzyłam o niej 'naprawdę erotycznie.

Nigdy nie zainteresowałaś się żadnym chłopcem?

Nigdy, przenigdy, jestem zdecydowanie homoerotyczna, wiem to od dziecka i zawsze to u siebie akceptowałam, więc przynajmniej pod tym względem nie mam problemów.

W naszej rodzinie było wiele ekscentrycznych osób, więc oswoiłam się z różnymi opowieściami.

Jak sądzisz, czy wydarzenia z twojego dzieciństwa miały swój udział w tym, że masz taką właśnie orientację?

Jak dobrze, że nie używasz słowa "lesbijka". Nie lubię go, wolę "safonkę". Wracając jednak do pytania - nie mam pojęcia. Nie dociekam, ale nie sądzę. Felicja wprawdzie była moją pierwszą kobietą, ale przecież już od kilku lat byłam pewna, że moja prawdziwa inicjacja może się odbyć tylko z kobietą i związek z Felicją po prostu to potwierdził.

I nie czujesz do niej żalu?

Do Felicji? Żal? Ależ skąd. Ona mi nie zrobiła krzywdy.

Byłam dorosłą osobą. Jest oczywiście kwestia zależności, była przecież moją nauczycielką, nie patrzyła na mnie obiektywnie, wyróżniała mnie, ale to inne sprawy. To ona ma do mnie żal, bo kiedy spotkałam ją po latach, podeszłam i przywitałam się, spojrzała na mnie obcym wzrokiem i powiedziała: - Nie znam pani.

A gdybyś ją porzuciła przed maturą? Pomyślałaś o tym?

Trudno gdybać. To już nie moja historia. Musiałabv ci opowiedzieć swoją moją koleżanką, aktorką i dziennikarką, ma zresztą teraz swój program w telewizji. Porzuciła swoją nauczycielkę przed maturą, zdawała tę maturę

dwa razy, w końcu zdała w innej szkole.

Mieszkasz sama?

Od szesnastego roku życia. Gdybyśmy pozostali razem _ mama, tata i ja, to któreś z nas na pewno byłoby już od lat u aniołków albo u diabełków, kratek też nie wykluczam.

Od pół roku nie jestem w żadnym stałym związku, jeśli i o to pytasz, a od kilku lat marzę o kobiecie, która, niestety, jest beczelnie heteroseksualna.

„Gnębiony więzień nie może wprawdzie stawiać oporu, bronić się przed upokorzeniami, ale nic mu nie zabrania nienawidzić swoich prześladowców.

Ta możliwość przeżywania własnych uczuć (...) pozwala mu nie wyrzekać się własnego ja. Ale dziecko nie ma takiej możliwości.

Wpojono mu Czwarte

Przykazanie, które zabrania nienawidzić własnego ojca, ale ono nie może go nienawidzić także dlatego, że boi się utracić jego miłość, a także nie chce go nienawidzić, bo go kocha”.

Alice Miller.

Zniewolone dzieciństwo

EROTYK OBDUKCYJNY

Pokazuje mi ślady bicia.

Pod lewą łopatką siniak uderzył mnie pięścią.

Pod prawą piersią granatowe znamię to cios pogrzebaczem.

Na lewym pośladku, pod skórą, widmo krwiaka od mocnego kopnięcia.

Na brzuchu, udach, nawet pod kolanami jakby ukąszenia węża czy skorpiona.

- Pan jest poetą, pan to zrozumie.

Na wardze pęknięcie jeszcze lekko krwawi.

Boże, lecz dłonie tej kobiety, szczupłe i nietknięte, prowadzą mnie czule pośród sińców, ukąszeń, razów, upokorzeń.

A gdy się zmęczą - wtedy ja prowadzę.

Oślaniam przed ostrym światłem lampy, natręctwem tapety, nachalnością zlewu, zasłon panoszeniem.

Biorę ją pod siebie - jestem dachem świata.

Azją głodnych lędźwi, gdzie panuje terror i modlitwa.

Chcę ją wyprowadzić na najbielsze śniegi, strome wysokości.

Wytrzymać jak najdłużej na zdradliwej ścieżce.

I gdy przypadam całym ciałem do jej kruchych żeber ona pojękuje cicho i szepce do ucha:

- Pchnął mnie na kredens, uderzyłam bokiem.

Boże, chroń ją nieszczęśliwą przed najgorszym ciosem kuchennego noża lub zwykłej siekiery, gdy Tamten szyję jej otworzy jak furtkę na ogród pełen splątanych krzewów i zimnych księżyców.

Jerzy Górzeński

Rozdział IV

Z rozkazu taty przepraszam cię

Głównym bohaterem tego rozdziału jest Marcin.

W książce jest jedynym zwierającym mi się mężczyzną, opowiadającym o koszmarach swojego dzieciństwa.

Zdecydowałam się przedstawić zapis naszych mejlowych rozmów w kolejności chronologicznej. Daty jednak pomijam.

Podaję treść listów, z tematami, ale bez opisów tożsamości głównej naszych kont mejlowych. Marcin nie zgodził się na spotkanie ze mną. Nie będzie więc rozmowy. Nie napisałam też opowiadania.

Może nasze listy ułożą się w historię z ekspozycją, akcją właściwą, punktem kulminacyjnym. W historię bez zakończenia, które kiedyś (może) dopisze życie.

List 1

Od: Marcin

Temat: Książka na temat "ran" dzieciństwa

Witam. Przypadkowo natrafiłem na informację o tym, że zbiera Pani materiały do książki o trudnym dzieciństwie.

Zainteresowało mnie to. Z Pani anonsu wnioskuję, że nie szuka Pani kogoś, kto miał trudne dzieciństwo, bo był chory czy też stracił

matkę lub ojca. Wnioskuję, że szuka Pani kogoś takiego jak ja. Mam rodziców, żyją, a jakże. Ja też żyję, choć wydawało mi się nieraz, że nie warto żyć, kiedy ci, których uważać się powinno za najbliższych, choćby z racji więzów krwi, wcale najbliższymi nie byli.

Pani inicjatywa jest dla mnie cenna. Aż mam ochotę zamanifestować!

Nigdy dość w mówieniu o dzieciństwie. Nigdy dość odsłaniania prawd, które bołą. Gdybym potrafił, walczyłbym w pierwszym szeregu, na barykadzie, ze sztandarem. Gdybym potrafił, sam wyhaftowałbym na nim hasła typu: więcej prawdy, więcej jasności.

Sądzę, że dzięki Pani inicjatywie lepiej zrozumieć to, co chowałem w sobie przez wiele lat.

A jeśli zrozumie, to mam nadzieję, uporam się z tym raz na zawsze i zacznę wreszcie żyć bez pretensji do tak zwanego świata, do rodziców. Bo bardzo chciałbym te pretensje wreszcie zamknąć albo na tyle je zneutralizować, by nie utrudniały mi dorosłego życia. Czy Pani czuje, o co mi chodzi? Czy zechce Pani ze mną rozmawiać?

Krótko o sobie: mam na imię Marcin. Mam żonę i dzieci.

Zarabiam w branży informatycznej. Wolałbym naszą rozmowę prowadzić w listach.

Marcin

Odpowiedź 1

Od: Marta

Temat: Szczegóły, bo diabeł tkwi w szczegółach

Dziękuję, że Pan napisał.

Rozumiem, że chce mi Pan opowiedzieć swoją historię.

Proszę więc opisać, co w Pana dzieciństwie było okrutne.

Czy był Pan dzieckiem bitym, poniżanym, szykanowanym, wykorzystywanym? Jak wykorzystywanym? Jak bitym? Proszę pamiętać o szczegółach, bo diabeł tkwi w szczegółach, prawda?

Może stanie się Pan jednym z bohaterów książki. Nie wiem.

Tego nie mogę Panu już teraz obiecać. Nie dlatego, że oczekuję sensacyjnych opowieści, a spośród nich wybiorę te najbardziej sensacyjne. Oczekuję opowieści prawdziwych i głębokich. Panie Marcinie (jeśli tak mogę się do

Pana zwracać) - proszę nie interpretować, tylko opisywać: sytuacje, swoje uczucia. Co Pan czuł wówczas, co dzisiaj, kiedy Pan wspomina.

Jeśli Pan zechce mówić dalej, będę dopytywała. Teraz wyjeżdżam na dwa tygodnie. Po powrocie mam nadzieję zastać Pana list. Jeszcze raz dziękuję. Najpierw za odwagę, potem za chęć pomocy, za obietnicę rozmowy.

Serdeczności.

Martafox

List 2

Od: Marcin

Temat: 10 tomów dzienników

Pani Marto.

(jeśli tak mogę się do Pani zwracać), OK, napiszę za dwa tygodnie. Muszę to wszystko uporządkować. Już w wieku dziesięciu lat pisałem dziennik (łącznie zbierało się

10 tomów - zeszytów stukartkowych), więc chyba mam sporo materiałów udokumentowanych. Napiszę, wybiorę, bez względu na to, czy stanę się "bohaterem" Pani książki, czy nie. Umówmy się tak: ja to robię dla siebie, nie dla Pani.

W pierwszym mejlu napisałem Pani, dlaczego chcę przez to przejść jeszcze raz, opisując swoją przeszłość. Jeśli zdecyduje się Pani moją historię wykorzystać, będę miał podwójną satysfakcję, bo - po pierwsze: świadomie chcę tego

„wykorzystywania” dla własnych, terapeutycznych, celów, a po drugie: mam nadzieję, że „wykorzystywany” przez

Panią przyczynię się pośrednio do tego, że inni nie pozwolą się wykorzystywać. Postaram się pamiętać o szczegółach, w których tkwi diabeł. Będę szczególnie szczegółowy.

Krótko o sobie: mam 33 lata.

Marcin

Odpowiedź 2

Od: Marta

Temat: Umowa w 2 egzemplarzach po jednym dla każdej ze stron

W porządku, Panie Marcinie, umowa przyklepana.

Pan dla siebie, ja dla siebie. A Bóg przeciw wszystkim.

Może coś z tego wyniknie, z czego i inni skorzystają. Bo choć piszę najpierw dla siebie, to jednak z nadzieją, że znajdą się czytelnicy. Nigdy nie wierzyłam w pisanie do przepaścistych szuflad.

Wolę jednak satysfakcję z własnej pracy odczuć na tym z gorszych półświatków niż marzyć, co będzie, gdy mnie nie będzie.

O sobie, też krótko: tyle lat, co Pan, mogłaby mieć moja starsza córka, gdybym ją była poczęła w noc poślubną, jak nie poczęłam.

Żeby Pana matematycznie nie dręczyć, powiem, że ma o cztery lata mniej.

Martafox

List 3

Od: Marcin

Temat: Jedno konkretne pytanie

Proszę wybaczyć, Pani Marto, że znów piszę, ale chciałbym wiedzieć, czy Pani jest psychologiem. Tylko tyle i już uciekam na dwa tygodnie.

Marcin

Odpowiedź 3

Od: Marta

Temat: Nie jestem psychologiem

Zawiodłam Pana? Myśli Pan, że jeśli nie jestem psychologiem, to bohaterowie mojej książki wyprowadzą mnie w pole i naopowiadają mi historyjek nieprawdziwych, a ja w nie uwierzę?

Nie boję się tego, Panie Marcinie. Po pierwsze: jestem czajnik, jak powiedział mój przyjaciel artysta. Znaczy się wyczajam fałsz. A po drugie: będę gnębić pytaniami i myślę, że coś takiego wytrzyma tylko ten, kto rzeczywiście ma wielką potrzebę pozbycia się drzazg spod paznokci.

Martafox

List 4

Od: Marcin

Temat: Fragmenty mojej przeszłości

Usłyszałem krzyk, a potem wrzask matki. Zobaczyłem lecącą doniczkę, która wybiła okno. Potem mama chwyciła mnie za rękę i gdzieś poszliśmy. Miałem trzy-cztery latka, nie więcej. Pamiętam, jak mama płakała i mówiła: - Twój tata wyrzucił nas z domu. Bardzo się bałem: i tej ciemnej ulicy, i płaczącej mamy, i wrzeszczącego ojca. A dźwięku tłuczonego szkła boję się do dziś.

Byłem już starszy i chodziłem do szkoły. Rodzice znów się o coś pokłócili. Chyba o jakąś uwagę w moim dzienniczku.

Matka powiedziała: Wynoście się stąd wszyscy. A ojciec powiedział: Widzisz, synu, twoja matka wyrzuca nas z domu, to my sobie pójdziemy. Potem siedzieliśmy na podwórku, pod garażem, naprzeciw naszych okien. Czulem okropny wstyd i upokorzenie.

Widziałem moich kolegów, którzy na nas patrzyli: na ojca w kapciach, w byle jakich domowych spodniach. A potem patrzyli na mnie, jak siedzę z głową w ramionach i nie mam odwagi tej głowy podnieść, by spojrzeć na cokolwiek, co jest powyżej moich stóp i ojca kapci.

Ojciec specjalnie poniżał się, by dokopać matce, ale tak naprawdę to "kopał" mnie, to mnie poniżał i upokarzał.

Wstydzilem się, że mam takiego ojca, wstydzilem się za siebie i za to, że pochodzę z takiej właśnie rodziny.

Podobny wstyd odczuwałem, gdy rodzice sprawili mi biały płaszcz. Po wyjściu z domu czulem, że wszyscy na mnie patrzą. Ten wzrok ludzi i ich podśmiewanie się ze mnie czulem do dziś. Paraliżuje mnie, gdy występuję publicznie, przedstawiam referat lub prowadzę zajęcia. Dosłownie sztywnieję, gdy kilka, a nawet dwie osoby patrzą na mnie i coś szepczą.

Również, gdy przechodzę obok grupy ludzi. Jeśli zdarzy się, że zamilkną i na mnie popatrzą, moje napięcie znacząco wzrasta. W

miarę swobodnie czuję się tylko w sytuacji, gdy przebywam z jedną osobą. Wtedy wiem, że mnie z nikim nie obgaduje, a jeśli się śmieje, to w duchu.

Jakaś inna kłótnia rodziców, o co, nie wiem. To dziwne, nie zawsze zapamiętywałem słowa, częściej obrazy. W środku nocy matka wpadła do mojego pokoju i zaczęła mnie wyciągać z łóżka.

Miała potargane włosy, zakrwawioną bluzkę.

Plakała. Stałem przerażony na środku podłogi, matka próbowała wkładać na mnie jakieś ciuchy, kiedy wpadł ojciec, wrzucił mnie z powrotem do łóżka, a matkę wyciągnął do przedpokoju. Matka wrzeszczała, ojciec nic nie mówił, tylko wymierzał ciosy.

Teraz, po latach, myślę, że kłótnia rodziców zawsze była o to samo: matka odmawiała współżycia, a ojciec się go domagał.

Ponoć po urodzeniu mojego najmłodszego brata matka nie godziła się na zbliżenia. Mam dwóch braci: o półtora roku i o trzy lata ode mnie młodszy. Wiem, że matka wychodziła za męża za ojca, kiedy już była ze mną w ciąży. W tamtym czasie studiowała. Każda następna ciąża była dla matki wielkim nieszczęściem, o tym wiem na pewno, bo nieraz słyszałem, jak wypomina swoje "nieszczęścia" ojcu.

A także nam.

Dominujące uczucie w tamtych latach to strach. Mówię o strachu, a nie o lęku, bo ponoć istnieje między tymi pojęciami różnica.

Ja się bałem bardzo konkretnie: tego, że rodzice będą się kłócić, bić, że będę słyszał trzask tłuczonego szkła i że zobaczę krew. Krwi też się bałem. Bałem się również bicia.

Na dziś wystarczy. Na pewno się Pani dziwi, że pamiętam takie drobiazgi. Po prostu staram się nie zapomnieć o diable w szczegółach.

Proszę pytać. Opowiem o innych (diablach też).

Marcin

Odpowiedź 4

Od: Marta

Temat: Kilka pytań, także o strach

Panie Marcinie, dziękuję za dziś.

Niczemu się nie dziwię, trochę już w życiu słyszałam, widziałam, a także sama przeżyłam. Chciałabym umieć Pana wysłuchać. Zakładam, że Pana decyzja - wyrażenie potrzeby opowiedzenia mi swojej historii - jest już gotowością.

Chciałabym tej Pana gotowości nie zaprzepaścić. Proszę pisać o tym, co najbardziej Pana boli, choćby to były szczególiki. Pytania?

Oto one:

- Dlaczego boi się Pan widoku krwi?
- Jakie obrazy takich widoków zachował Pan w pamięci?
- Czy do kłótni między rodzicami dochodziło wtedy, kiedy nadużyli alkoholu?
- Czy może Pan sprecyzować, w jaki sposób objawiał się Pana strach? Co Pan robił, kiedy Pan się bał?

Martafox

List 5

Od: Marcin

Temat: Mysie dziury

Dziękuję, Pani Marto, że Pani pyta o emocje, a nie tylko o fakty, wydarzenia. Już się bałem, że chce Pani słuchać tylko o sensacyjnych epizodach, a tu, na szczęście, nie mam szansy na konkurowanie z pierwszymi stronicami gazet, co nie znaczy, że moja historia dla mnie samego nie jest sensacyjna.

Zaczynam odpowiadać od końca. Co robiłem, kiedy się bałem?

Jako dziecko lubiłem przesiadywać w szafie. Nie miało to nic wspólnego z zabawą w chowanego, z poszukiwaniem zakamarków pachnących naftaliną. Była taka stara szafa w naszym domu, tylko nie wiem, co to znaczy "w naszym". U dziadków, u których mieszkaliśmy, czego nie pamiętam, czy w akademiku, gdzie mieszkałem razem z mamą, kiedy uciekła od ojca, czyli też od dziadków. Z opowieści rodzinnych zapamiętałem; że rodzice po ślubie zamieszkali u rodziców ojca. Ojciec pochodził z miasta, a matka przyjechała do miasta ze wsi. Nienawidziła ojca rodziców, czyli swoich teściów. Za co, nie wiem, nie zapamiętałem. Ale pamiętam, że była to wielka niechęć albo nienawiść, na tyle wielka, by mnie separować od dziadków, widać skutecznie, bo nie mam żadnych wspomnień z nimi związanych. Szafa stała się moim azylem, moją mysią dziurą, wydawało mi się, że tam będzie najbezpieczniej i że stamtąd nikt mnie nie wyciągnie. Poza tym szafa była zrobiona z jakiegoś solidnego drewna, bo dobrze tłumiała hałasy z zewnątrz. Za siedzenie w szafie dostawałem lanie, wyciągał mnie z niej ojciec w trosce o to, żebym się nie udusił. Miałem jeszcze jedno miejsce: za tapczanem, pomiędzy oknem a parapetem, w rogu, tworzyła się taka nisza, w której się mieściłem, i to było nawet całkiem wygodne miejsce, mogłem wyciągnąć nogi i mieć oparcie na plecy. Tę niszę odkryłem dla siebie wówczas, kiedy w pokoju należącym do mnie i do braci nie było już szafy. Mogłem tam siedzieć i w myślach obrzucać rodziców najgorszymi słowami, jakie znałem. Przysięgałem sobie, że jak dorosnę, to ich zabiję. Że nigdy, przenigdy im tego nie zapomnę i nie wybaczę.

W niszę za tapczanem chowałem się po każdym laniu, a te były na porządku dziennym. Bił mnie ojciec, biła matka. Broniła ciocia Mania, która była moją i braci opiekunką. Przychodziła do nas, kiedy rodzice wychodzili do pracy. Kiedyś i jej się oberwało: ojciec zamachnął się skórzanym paskiem na mnie, ciocia Mania mnie zasłoniła i razy spadły na nią. Wpadła w histerię, wrzeszczała: ratunku, milicja, mordują. Nie chodziłem do przedszkola, rodzice nie pozwalali mi również bawić się z dziećmi na podwórku, ponieważ na podwórku, ich zdaniem, bawiła się hołota. Moje relacje z rówieśnikami nie były więc najlepsze.

W pierwszej klasie pobiłem się z kolegą, na pewno w obronie własnej. Rodzice wysłuchali racji kolegi i jego matki, nie byli jednak zainteresowani tym, co ja miałem do powiedzenia. Oczywiście wszystko zakończyło się wielkim laniem.

Wtedy naprawdę poczułem, na czym polega krzywda i niesprawiedliwość.

Krew. Najpierw to były obrazy krwi na ubraniu matki. To był

chyba ten pierwszy szok, jaki przeżyłem, bo do, dziś widzę zakrwawioną matkę, która idzie gdzieś ze mną w nocy. Kiedyś, na wakacjach (mogłem mieć pięć lub sześć lat), ojciec uderzył mnie pięścią w twarz. Nie przypominam sobie, za co, ani bólu, który zapewne wtedy czułem, a jedynie zdumienie, gdy obserwowałem duże krople krwi kapiące mi z nosa i rozbryzgujące się na podłodze.

Zdumienie, że spadają na podłogę, jakbym nie rozumiał tej prostej relacji: nos - podłoga.

Kiedy byłem starszy, często się biłem, ale nikt nigdy aż tak nie rozwalił mi nosa.

Alkohol. Nie, ten problem nie istniał. Rodzice nie awanturowali się pod wpływem alkoholu, ponieważ nie mieli zwyczaju pić. Nie przypominam sobie picia nawet na uroczystościach rodzinnych.

Takich wspomnień nie mam ani z czasów dzieciństwa, ani z czasów nastoletnich. W domu było zazwyczaj cicho, rodzice pracowali także po pracy, w końcu oboje zrobili doktoraty w swojej branży. Może dlatego tym bardziej pamiętam nocne awantury, może każde podniesienie głosu było dla mnie krzykiem. Czasami i tak myślę.

Kłótnie. Powiem jeszcze o tym. Dopiero jako nastolatek zacząłem rozumieć, jaki był powód kłótni. Zdaniem matki ojciec był

łazęgą, nie potrafił sobie radzić w życiu, w ówczesnej rzeczywistości, a także na uczelni, gdzie pracował. Jednym słowem, nie potrafił być głową rodziny - często takie sformułowania słyszałem. To matka musiała wszystko załatwić, "wychodzić". Narzekała, że jest zmęczona, wreszcie odmawiała współżycia (o tym już wspominałem). Ciągle wygarniała ojcu, że urodziła trzech synów i było to dla niej nieszczęście za nieszczęściem, bo zagrażało jej ambicjom zawodowym. Musiała poświęcać czas nam, zamiast spędzać go przy swoim biurku i w książkach.

Marcin

PS. Do tej pory lubię kąty i mysie dziury.

Odpowiedź 5

Od: Marta

Temat: Dziuple

A dziuple Pan lubi, Panie Marcinie?

Gdyby Pan taką dziuplę znalazł w swoim dzieciństwie, przed kim bardziej by Pan do niej uciekał: przed matką czy przed ojcem?

Którego z rodziców bał się Pan bardziej?

Martafox

List 6

Od: Marcin

Temat: Zdziuplić się

O, tak, dziuple fascynują mnie do dzisiaj. Mają w sobie coś tajemniczego. Myślę, że o dziupli marzyły także i te dzieci, które pragnęły przygód, a nie tylko ucieczki. Nieraz marzyłem o tym, by się zdziuplić i oddziuplić, gdy będę dorosły, to znaczy, gdy będę mógł

wziąć odwet za swoje krzywdy.

Trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć na Pani pytanie, kogo się bardziej bałem - matki czy ojca. Postaram się to poukładać i w następnym liście napiszę osobno o ojcu i matce. Poczeka Pani?

Marcin

Odpowiedź 6

Od: Marta

Temat: Cierpliwość

Oczywiście, poczekam.

Chyba umiem czekać. I już trochę umiem być cierpliwa.

List 7

Od: Marcin

Temat: Matka i ojciec

Ojciec. Był bezwzględny, bił bez opamiętania, na oślepe, gdzie popadnie. Próbowałem być "dzielny". W miarę jak dorastałem, lania były dla mnie walką o to, by nie dać się pokonać i upokorzyć.

Zaciskałem zęby, wytrzymywałem, byle tylko nie dać ojcu satysfakcji nazwania mnie mięczakiem. Bardzo się wstydziłem w szkole, gdy miałem się przebierać na zajęciach wychowania fizycznego i ktoś dostrzegł pręgi na moich nogach. Koledzy potrafili się równie bezlitośnie wysmiewać.

Od moich braci słyszałem, że ojciec brał ich do piwnicy i tam bił. Do piwnicy schodzili dlatego, żeby nikt nie słyszał krzyków.

Jeden z braci po takiej akcji miał na plecach jedną wielką ranę. Ojciec wymierzał tak zwaną sprawiedliwość, dbając, by zawsze robić to swoimi narzędziami "pracy": odpowiednim pasem skórzanym z metalową klamrą, grubym kablem od żelazka. To były jego metody wychowawcze.

Miał też inne: kazania. Lubił pouczać, przywołując sentencje z Biblii lub z filozofów. Pokazywał na każdym kroku swoją rzekomą mądrość, popisując się wiedzą.

Zachowałem kilka listów ojca do mnie, miałem wówczas dwanaście lat, byłem na wakacjach. Ojciec pisał o tym, jakie korzyści płyną z nauki w szkole. Wyszczególniał, co mogą mi dać rodzice poprzez właściwe wychowanie, a co może mi dać szkoła. Wynikało z tego, że jednak więcej

zawdzięczać powinienem szkole, ponieważ rodzice nie przekazaliby mi wiedzy z tak wielu przedmiotów. Dlatego winien jestem nauczycielom absolutne posłuszeństwo i przyjmowanie wiedzy z szacunkiem. Nie powinienem marnować ani jednej chwili w szkole, bo to, czego się uczę, jest wielkim skarbem, dziełem setek tysięcy ludzi, dzięki którym mam szansę godnie, mądrze i interesująco żyć, realizować przedsięwzięcia społeczne i zawodowe, a także budować właściwe relacje z ludźmi. Muszę więc ćwiczyć charakter i zdobywać wiedzę. Nie cytuję całości, ale zachowuję ojca frazy.

List kończył się takimi słowami: "Masz dopiero dwanaście lat.

Twoja wiedza i umiejętności są niewielkie. Twoje życie - jego warunki są niemal całkowicie zależne od rodziców - mieszkanie, ubranie, jedzenie, a także to, że możesz uczestniczyć w dobrach kultury, kino, wycieczki, muzea.

Możesz się przeciwko temu buntować, ale to jest fakt - jesteś pasożytem żyjącym z cudzej pracy. Oczywiście pasożytem jest każde dziecko - dotąd, dopóki nie jest zdolne wziąć steru życia w swoje ręce".

Jak się Pani podoba definicja pasożyta?

Rzeczywiście miałem wtedy dwanaście lat, ale już od dawna umiałem myśleć i czuć. Zachowałem ten list, bo wtedy tylko tak umiałem walczyć. Czuję się podle, nie potrafiłem jednak zwerbalizować swoich racji, nie wiedziałem, jak odpowiedzieć, jak pokazać, że nie czuję się żadnym pasożytem. Czy widzi Pani, w jakim tonie ten list jest pisany:

Ojciec udzielający rad synowi spędzającemu wakacje gdzieś tam. Ojciec - mentor - wzór - przewodnik - guru. Ojciec przemawiający z wysokości, z kazalnicy niemal.

Na co dzień miałem nieco innego ojca. Tę przepaść. Widziałem aż nazbyt wyraźnie. Wyczuwałem fałsz. Do dziś ten list mnie zdumiewa. Demagogia, dwulicowość. Najgorsze, że ojciec nigdy nie czuł tego fałszu swoich zachowań i do dziś nie czuje.

Ojciec upokarzał mnie, nakazując mi przeproszać nauczycieli kwiatami. Nie wystarczało, że przeprosiłem słowami, że nauczycielka nie gniewała się na mnie, bo uważała, że coś przeskrobałem jak dziecko, ale umiałem się zachować, przeprosić, nawet zadośćuczynić.

Ojciec się upierał przy kwiatkach. Wprawiał tym samym nauczycielkę w

zażenowanie.

Kombinowałem, jak to obejść, jadłem surowe ziemniaki, by zachorować, a jak już musiałem iść z kwiatkami, to przemykałem opłotkami, żeby jak najmniej osób mnie widziało. Gdy musiałem tymi kwiatkami jeszcze raz przeproszać, traciłem poczucie własnej wartości i sprawiedliwości. Gdybym odmówił, czekałoby mnie lanie. Ale bardziej niż lania obawiałem się, że ojciec będzie mnie publicznie pouczał i strofował. Bicie zagrażało mojej fizyczności, a publiczne upokarzanie godziło w sens mojego istnienia, w wiarę, w sprawiedliwość, odbierało mi godność. Wolałem to pierwsze (z dwojga złego).

Matka. Bałem się jej potwornie, ale matka przynajmniej przestawała bić, kiedy zaczynałem wrzeszczeć. Kablem od żelazka dostałem od matki po raz pierwszy w wieku chyba pięciu lat.

Oczywiście nie pamiętam za co, pamiętam kabel i ból, także swoje przerażenie i gotowość na wszystko, byle tylko powstrzymać lanie.

Matka zawsze kazała o to błagać.

Błagałem. Wiedziałem, że błagania ją kruszą i zawsze korzystałem z tego wyjścia. Ojca nic nie było w stanie skruszyć, był

patologicznie systematyczny, co zaczął, musiał skończyć.

Gdy miałem trzynaście lat, matka zbiła mnie siatką na zakupy.

Wtedy już pisałem dziennik, który był moim jedynym powiernikiem.

Oto zapis z mojego dziennika, tekst oryginalny, bez poprawek, wyciąłem tylko nazwiska i imiona.

„Dzisiaj szkoła normalnie. Po lekcjach wpadł do mnie K. i pogadaliśmy trochę. Następnie on skoczył do domu po rybki. Dał mi cztery gupiki zwykłe, a ja mu parę weloniastych. Około trzeciej poszedł. Potem czytałem książkę Krzyżowcy. Potem o coś poszło z mamą, że ta rąbnęła mnie parę razy siatką z żyłki. Gównie po plecach i raz w ucho. Gdy odeszła parę kroków, powiedziałem: Ja sobie to zapiszę.

Wróciła i zaczęła mnie okładać siatką. Dostałem osiem razy po plecach. Stałem tyłem do niej, lekko pochylony, prawą rękę miałem blisko głowy. Ciosy mnie mocno bolały, ale ani pisałem. Po tych ośmiu razach mama

zaczęła mnie walić po głowie i po prawej ręce. W

łeb dostałem pięć razy, w łapę trzy razy. Na chwilę odeszła, ale po chwili wróciła i wygoniła mnie z chałupy, nie dając nawet założyć butów.

Już na schodach zawołałem z nienawiścią: Ty świnió. I poszedłem do piwnicy. Byłem roztrzęsiony. Była godzina 16.20 plus minus 10 minut. Około szóstej mama wyszła do pani C. i brat zrzucił mi przez okno buty. Zostawiłem kapcie pod wycieraczką i poszedłem się wykąpać na glinianki.

Spotkałem tam W. i razem strzelaliśmy z karbidu. Wróciłem koło 19.30. W domu mama powiedziała, że nie jestem jej synem, żebym nie wpuszczał żadnych kolegów, mam się sam żywić i płacić jej za mieszkanie itd. Wylała mi również rybki do klozetu i zabrała skrzypce. Powiedziała, że nie będę chodzić do szkoły muzycznej.

Zażądała ode mnie forsy za dotychczasowe żywienie. Rzuciłem jej na tapczan to co miałem zaoszczędzone w skarbonce. Powiedziała, że albo jej podam te pieniądze, albo mam się wynosić z domu.

Powtórzyła ten warunek. Zacząłem się zastanawiać, co wybrać.

Podąłem”.

Kilka razy próbowałem ucieczek, za każdym razem jednak wracałem. Kiedy miałem czternaście lat, odmówiłem pójścia po zakupy, wywiązała się sprzeczka, w wyniku której złamałem sobie palec.

Oto zapis z mojego dziennika:

„Przez najbliższy miesiąc będę nie najlepiej pisał, bo złamałem sobie palec prawej ręki i z konieczności będę pisał lewą. A było tak: We wtorek o 15.00, 26.06, wpadł do mnie K. z zapytaniem, czy nie mam próbówki. Miałem, ale za grubą. Zwrócił mi także pożyczone książki. Mama zawołała: Marcin, idź po chleb.

Zbuntowałem się, bo przedtem nie chciała mnie wypuścić na dwór. K. poszedł. Mama powiedziała, żebym nie sprowadzał kolegów, bo ich wygoni. A ja powiedziałem: - No to ty też nie przychodź do mnie, gdy będę miał własny dom, bo cię też przepędzę, Wtedy mama chwyciła trampka i zdzieliła mnie parę razy ogólnie, po ramionach, plecach i głowie. Zaprotestowałem, a

ona rąbnęła mnie w głowę tak silnie, że straciłem panowanie nad sobą. Szarpnąłem za krzesło, by walnąć nim o ziemię, ale było zablokowane między mamą a rowerem.

Mocnym szarpnięciem wywaliłem rower. Brat zawołał: Marcin, uspokój się. Czy coś w tym rodzaju, ale ja, ogarnięty wściekłością, rąbnąłem w drzwi szafki z całą mocą, aż się zdziwiłem, że się nie złamały. Mama wtedy krzyknęła, żebym się wynosił, więc chwyciłem buty, założyłem je bez wiązania. Wtedy oberwałem jeszcze raz.

Wybiegłem na schody i zawołałem: Ty stara świnio. Potem jeszcze raz to powtórzyłem. Byłem zdecydowany przespać się w lesie, a jutro zarobić na truskawkach i z tego żyć.

Na schodach ochłonałem, poczułem silny ból w kostce.

Chciałem wymoczyć rękę u kolegi pod kranem, ale zrezygnowałem z tego pomysłu i poszedłem do budy, tam dałem rękę pod kran.

Pojechałem do cioci Mani, a z nią na pogotowie. Po prześwietleniu okazało się, że mam złamany palec [tutaj fragment o gipsowaniu...]. Do domu pojechałem po namowach cioci. Tata kazał

mi przeprosić mamę, więc poszedłem do niej i powiedziałem sztywnym głosem: Z rozkazu taty przepraszam cię.

Mama się zerwała i wrzasnęła: Co to znaczy - z rozkazu taty?

I jeszcze coś wrzasnęła. Tata powiedział, że dopóki się nie skruszę, nie dostanę nic do jedzenia, a spać będę w piwnicy. Nie skruszyłem się. Ciocia Mania zabrała mnie do siebie. Nazajutrz za namową cioci przeprosiłem mamę, chociaż aż mnie korciło, żeby dodać: Przepraszam, aby mieć spokój”.

Tyle na dzisiaj. Ma już Pani dosyć, Pani Marto?

No i jak Pani to widzi? Czy ma Pani ochotę napisać mi, że byłem wstrętnym bachorem, krnąbrnym nastolatkiem, nadwrażliwym, ale i upartym gówniarzem? Że nie miałem za grosz szacunku dla swoich rodziców? Jeśli Pani ma ochotę, to proszę, niech Pani napisze.

Nie Pani pierwsza i nie ostatnia, jak sądzę. Ale uwaga! Już jestem odporniejszy na ciosy. Już trochę się”oddziupliłem”. Czy spełniam Pani oczekiwania? A może nie spełniam? Może i tym razem się okaże, że nawet

na "bohatera" książki się nie nadaję, bo moje życie nie było dość atrakcyjne albo medialne, jak to dzisiaj modnie się mówi.

Przepraszam. Nie chciałem być niemiły. Jeśli tak wyszło, przepraszam. Aż mnie korci, by napisać, że mam wprawę w mówieniu "przepraszam", więc piszę, choć nie ma w tym cynizmu, przynajmniej w stosunku do Pani.

Marcin

Odpowiedź 7

Od: Marta

Temat: Oczekiwania

Nie oczekuję przeprosin, Panie Marcinie, bo nie czuję się urażona. Niby dlaczego ma Pan wobec mnie odgrywać rolę ugrzecznionego chłopaka? Nie prowadzimy tej korespondencji po to, by spełniał Pan moje oczekiwania, choć przyznaję, że mam je wobec Pana. Nasza relacja została ustalona na wstępie umową w dwóch egzemplarzach jednakowo brzmiących, chi, chi. Nie przekracza Pan wobec mnie żadnych granic i mam nadzieję, że ja tego również nie robię wobec Pana. Zachowuje Pan wszelkie formy korespondencyjnej oficjalności. Chyba Pan to sam widzi, prawda?

Jeśli bym czegoś oczekiwała bardziej niż dostaję, to jeszcze większej Pana otwartości. Potrzebujemy chyba czasu oboje, choć przecież Internet zapewnia nam anonimowość, przynajmniej Panu. W

każdej chwili może Pan zmienić swój adres mejlowy i mogę sobie pisać w kosmos.

Nie chcę oceniać, chciałabym tylko Pana wysłuchać. Na tym polega moja rola. Jeszcze i na tym, by później naszej korespondencji nadać odpowiednią formę. Na tym etapie, na którym jesteśmy, nie wiem jeszcze, jaką zastosuję konwencję, w jaki sposób spożytkuję i opracuję Pana listy. Już jednak wiem, że to zrobię. Możemy rozmawiać dalej?

A może zdecyduje się Pan na spotkanie ze mną? Jeśli tak, proszę tylko dać sygnał.

Dużo Pan napisał o matce, więcej niż o ojcu.

Widzę też, że "spełnianie oczekiwań" było jakimś Pana problemem. Czy mam rację? Czy matka Pana przytulała?

Martafox

List 8

Od: Marcin

Temat: Akceptacja

Ma Pani rację. To jeden z moich problemów: niespełnianie oczekiwań.

Matka wielokrotnie stawiała przede mną alternatywę: albo będę geniuszem naukowcem, albo debilem spod budki z piwem.

Zajmowałem się więc wieloma rzeczami naraz, starałem się wszędzie być najlepszy. Wszystko po to, by spełnić jej oczekiwania, by uzyskać pochwałę, by usłyszeć coś ciepłego w jej głosie. Przodowałem w naukach ścisłych, miałem znaczące osiągnięcia w olimpiadach przedmiotowych, bardzo dobrze radziłem sobie w szkole muzycznej.

Jednak nie przypominam sobie, by mnie kiedykolwiek pochwaliła czy doceniła. Przeciwnie, tępiła wszystko, co osiągnąłem. Zabraniała ćwiczeń na pianinie, wyrzuciła mi skrzypce. Przymuszała mnie jednocześnie do przedmiotów innych niż ścisłe. Zwykle stawiała siebie za przykład jako osobę w szkole najlepszą we wszystkim.

Nierealne wymagania z jednej strony, totalna krytyka i poniżanie z drugiej wprowadziły mnie w stan, który zauważyła i nawet nazwała jako "pomieszanie kompleksu wyższości i niższości". Czuję, że tego braku jakiegokolwiek akceptacji, po prostu braku matczynej miłości, najtrudniej mi odżałować i to jest najbardziej bolesna strata, jaką poniosłem.

Jeśli Pani pozwoli, wolałbym pozostać przy dotychczasowej formie kontaktów, czyli zrezygnować ze spotkania. Nie zmienię adresu mejlowego, zawarliśmy umowę: ja piszę dla siebie, pani dla siebie. Na następne pytanie odpowiadam:

Nie, matka nigdy mnie nie przytulała. Nie pamiętam tego wcale.

Pamiętam przytulania cioci Mani.

Marcin

Odpowiedź 8

Od: Marta

Temat: Wiedza o sobie

Ma Pan bardzo analityczną naturę - to znaczy, widzę, że wszystko Pan analizuje, zastanawia się nad przyczynami, chciałby Pan wiedzieć, dlaczego tak właśnie się stało. Jest

Pan wrażliwym, a może i nadwrażliwym człowiekiem.

Oczywiście - tym z cienką skórą żyje się trudniej, bo świat ich bardziej boli. Dlaczego Pan się oburza na słowo "wrażliwy" i "nadwrażliwy"? Czy bycie wrażliwym to dla Pana jakieś piętno?

Marcinie, Pan ma dużą wiedzę o sobie, tak to widzę. Na pewno Pan zna Posłanie dla nadwrażliwych, śpiewane przez Jarosława Wasika, a napisane przez Kazimierza Dąbrowskiego.

Początek jest taki:

Bądźcie pozdrowieni, nadwrażliwi, za waszą czułość w nieczułości świata i za niepewność wśród jego pewności za to, że odczuwacie innych tak jak samych siebie za lęk przed światem, jego ślełą pewnością za potrzebę oczyszczenia rąk z niewidzialnego nawet brudu ziemi bądźcie pozdrowieni (...)

Bądźmy więc pozdrowieni.

Martafox

List 9

Od: Marcin

Temat: Wiedza o sobie i Posianie

Posłania nie znam. Podoba mi się: za potrzebę oczyszczenia rąk z niewidzialnego nawet brudu ziemi.: Czy może mi Pani przysłać ciąg dalszy?

Ciągle się uczę siebie i innych też. Lubię analizować, to prawda.

Moja żona twierdzi, że jestem analityczny do przesady, że dzielę włos na czworo i że trzeba mieć wiele cierpliwości do takiego upierdliwego faceta. Ma rację.

Marcin

Odpowiedź 9

Od: Marta

Temat: cd. Posiania

Załączniki: Posłanie.mp3

Bądźcie pozdrowieni nadwrażliwi za wasz lęk przed absurdem istnienia i delikatność niemówienia innym tego co w nich widzicie za to co nieskończone nieznane niewypowiedziane... ukryte w was -

bądźcie pozdrowieni

Bądźcie pozdrowieni nadwrażliwi za wasze uzdolnienia niewykorzystane i za niezwykłość samotność waszych dróg za waszą boską moc niszczoną przez zwierzęcą siłę

Bądźcie pozdrowieni nadwrażliwi za waszą twórczość i ekstazę za wasze zachłanne przyjaźnie i miłości lęk że miłość mogłaby umrzeć jeszcze przed wami bądźcie pozdrowieni

List 10

Od: Marcin

Temat: Terapia

Załączniki: List do Starszej, List do Starszego Przyznam się Pani: płakałem, kiedy słuchałem tej”piosenki”.

Wstrząsnęła mną. A przecież, o czym Pani wie, ćwiczyłem bycie twardzielem i zaciskanie zębów. A tutaj - płakałem.

Dziękuję za te oczyszczające łzy.

Przyznam się jeszcze do czegoś: ostatnio płakałem na terapii.

Ukryłem przed Panią, że rok temu poddałem się terapii. Ale kiedy zaczęła Pani pisać o tym, że mam już jakąś wiedzę o sobie, pomyślałem, że powinienem się przyznać, że tę wiedzę pogłębiłem właśnie na psychoterapii grupowej.

Rok temu miałem duże problemy emocjonalne i zdecydowałem się sobie pomóc w profesjonalny sposób. Zajęcia odbywały się raz w tygodniu po trzy i pół godziny przez dziewięć miesięcy. Odnalazłem w sobie całą masę wspomnień, negatywnych emocji związanych z dzieciństwem, przede wszystkim zaś z rodzicami. Zawsze mi się wydawało, że przynajmniej sam siebie nie oszukuję, że wobec siebie jestem szczery. Teraz wiem, że często było inaczej. I to bynajmniej nie dlatego, że coś przed sobą ukrywałem świadomie, lecz dlatego, że tak bardzo to wyparłem. Te mechanizmy, przenoszone na najbliższych, utrudniały mi moje dorosłe życie. A nie chciałbym krzywdzić bliskich, więc chcę wiedzieć o sobie jak najwięcej.

Proszę wybaczyć, że nie napisałem tego od razu. Pomyślałem, że jeśli się przyznam, to może Pani od razu mnie skreśli i nie zechce ze mną rozmawiać. Wiele już zrozumiałem, ale jeszcze czasami odczuwam przyptyw głębokiego żalu, bardziej żalu niż złości. Kiedy zaczynałem do Pani pisać, ten żal właśnie powrócił. Odczułem potrzebę rozmowy, Pani inicjatywa wydała mi się ważna, ważna dla mnie, bo dostrzegłem w niej szansę wyrzucenia z siebie wszystkiego jeszcze raz. To samo było także celem terapii. Myślę więc, że już solidną część pracy mam za sobą, a teraz "wyrzucam" resztki. Próbuję uporządkować przeszłość. Potrafię sobie powiedzieć, że nie mam racji, że coś źle zrobiłem, że zazdroszczę komuś czegoś, że nie jestem idealny. Często tłumaczyłem sobie, że świat jest po prostu zły, i znajdowałem w tym pociechę. A teraz widzę, że "to mnie tłumaczy, ale nie usprawiedliwia". Pierwszy raz powiedziałem to zdanie w odniesieniu do matki, ale w innym kontekście. Teraz potrafię zareagować, gdy ktoś mówi mi coś niemiłego. Nie kumuluję emocji, bagaż się nie powiększa, a to ważne. Nie umiem jeszcze poradzić sobie z poczuciem winy oraz obawą przed porzuceniem (przez żonę).

Z trudem, ale przyznaję, że nadużywam alkoholu. Chciałbym więc poprzez mój przykład-zachęcić innych do zmierzenia się ze swoją przeszłością. Czy Pani mnie rozumie?

W załączniku przesyłam listy do rodziców, które napisałem w trakcie terapii. Nic w nich nie poprawiałem.

Załącznik 1: List do Starszej

Mamo!

Piszę ten list do Ciebie z wyraźnie mieszanymi uczuciami, ale czuję, że muszę to zrobić. Nie piszę po to, by Cię poniżyć, wprowadzić w zakłopotanie czy złość, ani po to, by Cię ukarać. Mimo że czuję taką chęć. Chcę się pozbyć tych wrogich uczuć do Ciebie raz na zawsze. Chcę przebaczyć i zapomnieć. Możliwe, że później będziemy mogli utrzymywać uczciwe kontakty. Chcę Ci przebaczyć, ale to nie jest łatwe.

Będzie z pożytkiem dla Ciebie, jak i dla mnie, jeśli zaangażujemy się w proces pojednania.

Zdaję sobie sprawę, że nie uda mi się przedstawić każdego z problemów w wyczerpujący sposób. Nie zwracaj więc uwagi na szczegóły i nie szukaj dziury w całym, lecz posłuchaj tego, co chcę Ci powiedzieć.

Byłoby mi znacznie łatwiej Ci przebaczyć, gdybyś przypomniała sobie moją krzywdę i uzmysłowiła sobie, jak bardzo cierpiałem na skutek wczesnego złego traktowania mnie przez Ciebie. Jeśli nie pamiętasz lub nie wiesz, oto te okaleczające mnie doświadczenia: 1. Miałem wtedy około pięciu lat, kiedy chcąc mnie za coś ukarać, okładałaś mnie kablem od żelazka. Kazałaś mi błagać Cię o to, żebyś przestała.

2. Lania we wczesnych latach nie były rzadkością. Kiedy się kończyły, chowałem się w kącie, w niszy za łóżkiem, i w myślach obrzucałem Ciebie i/lub ojca najgorszymi znanymi mi określeniami.

Przysięgałem też, że zawsze będę was nienawidził i jak dorosnę, to was zabiję. Jak byłem coraz starszy, lania były dla mnie walką o to, by nie dać się pokonać i upokorzyć. Zaciskałem zęby, wzruszałem ramionami.

3. Upokarzałaś mnie, wyrzucając mnie z domu lub do niego nie wpuszczając. Siedziałem w kapciach na schodach, a gdy szedł ktoś z sąsiadów, udawałem, na przykład, że schodzę do piwnicy lub z niej wracam. Gdy miałem ze sobą teczkę ze szkoły, ten "wybieg" jednak nie był skuteczny i wstydziłem się jeszcze bardziej.

4. W pierwszej lub drugiej klasie pobitem się z kolegą. On zawsze mnie drażnił i zaczepiał. Wtedy działałem w obronie własnej.

Wysłuchiwałaś jego i jego matki. Moje opinie i argumenty nikogo nie obchodziły, po prostu chciałaś mnie sprać.

5. W dniu 14 września 1983 r., gdy miałem trzynaście lat, z niewiadomej dla mnie przyczyny pobiłaś mnie siatką po głowie i rękach. Potem wyrzuciłaś mnie z domu, tak jak stałem. Po powrocie oświadczyłaś, że nie jestem twoim synem, że nie mogę wpuszczać żadnych kolegów, mam się sam żywić i płacić za mieszkanie (powtórzę: miałem wtedy trzynaście lat). Ponadto: zabiłaś rybki, które hodowałem, i powiedziałaś, że nie będę chodził do szkoły muzycznej.

Na koniec zażądałaś ode mnie pieniędzy za dotychczasowe żywienie i gdy rzuciłem na kanapę to, co miałem (dwa tysiące złotych), by mnie ostatecznie upokorzyć, kazałaś mi je wręczyć sobie do ręki pod groźbą wyrzucenia z domu. Czułem się bezradny. Jedynym wyjściem byłoby wyprowadzenie się z domu. Byłem jednak za młody, by móc to zrobić. (W załączeniu moje notatki z pamiętnika z tamtego dnia.) 6. W dniu 26 czerwca 1984 r. odmówiłem pójścia po zakupy.

Wywiązała się sprzeczka, podczas której zaczęłaś mnie bić butem, gdzie popadło. Było to tak bolesne i upokarzające, że nie mogłem tego znieść. Z wściekłości i bezsilności uderzyłem z całej siły pięścią w szafkę. Chyba zdajesz sobie sprawę, że ten cios chciałem wymierzyć Tobie i tylko strach mnie powstrzymał.

Złamałem sobie palec. Po powrocie ojciec kazał mi Ciebie przeprosić. Gdy użyłem formy: „Z rozkazu taty przepraszam cię...”, zaprotestowałaś. Przeprosiłem Cię

„normalnie” pod groźbą, że nie dacie mi jedzenia i że będę spać w piwnicy.

7. Wielokrotnie stawiałaś przede mną alternatywę: albo będę geniuszem naukowcem, albo debilem spod budki z piwem. Staralem się niemal wszędzie być najlepszy. Wszystko po to, by spełnić te oczekiwania. Jednak nie przypominam sobie, byś mnie kiedykolwiek pochwaliła czy doceniła. Przeciwnie, tępiłaś we mnie to, co osiągnąłem. Bardzo chciałem być najlepszy z wszystkich i wszystkiego, ale jednocześnie czułem się najgorszy. Czuję, że tego braku jakiegokolwiek akceptacji, po prostu braku miłości matczynej, najtrudniej mi odżałować i jest on najbardziej bolesną stratą, jaką poniosłem. Jestem przekonany, że teraz nawet nie wiesz, czym się zajmuję, jaki jestem, co jest dla mnie ważne. Nie byłabyś w stanie wymienić moich zalet. Chyba zdajesz sobie sprawę, że tak naprawdę przez te wszystkie lata

byłem sierotą.

8. Brak akceptacji, ciągle awantury, w które byłem wciągany, przypadkowy i niespójny system kar - to spowodowało, że podejmowałem działania autodestrukcyjne. Poczucie bycia najgorszym spowodowało, że zacząłem nienawidzić siebie, a w szczególności swojego ciała. W późniejszym czasie podejmowałem wiele poważniejszych działań autodestrukcyjnych: palenie papierosów, nadużywanie alkoholu, zażywanie substancji psychotropowych czy uprawianie seksu z przypadkowymi osobami.

Robiłem to, by

Ciebie ukarać. Robiłem to, bo wypominałaś mi, że się troszczyłaś o moje zdrowie. Chciałem Cię ukarać, a niszczyłem siebie, a potem także swoją rodzinę.

9. Wpędzałaś mnie w poczucie winy i zobowiązania, wielokrotnie wypominając mi, że mnie karmisz, dajesz mieszkanie, troszczysz się w chorobie. Obwiniłaś mnie o Twoje problemy małżeńskie i straconą karierę. Czułem się winny, że żyję i Cię krzywdzę. Tymczasem to Ty mnie krzywdziłaś. Tak bardzo pragnąłem się wyrwać z tamtego domu, że byłem gotów niemal na wszystko. I czułem się bezsilny, żyjąc z myślą, że nawet jak dorosnę, będę musiał z Tobą i ojcem przebywać.

10. Bardzo wielką krzywdę czułem, gdy porównywałaś i dalej mnie porównujesz do ojca. Nigdy nie chciałem być taki jak on i mam nadzieję, że mimo otrzymanego wychowania taki nie jestem.

Do krzywd opisanych w punktach 1, 3, 5, 6, 7, 8, 9 i 10

przyczyniłaś się w stu procentach. Twoją winę w punktach 2 i 4

oceniam na pięćdziesiąt procent.

Nie znam szczegółów, ale wiem, że podobne krzywdy dotykały również moich braci.

Oczekuję, że:

1. Przyznasz, jaki był Twój udział w mojej krzywdzie i weźmiesz za nią część odpowiedzialności. (Wiem, że również inni

przyczynili się do mojej krzywdy, a niekiedy nawet ja sam. Oczekuję, że

Ty uznasz s w ó j wkład).

2. Wypowiesz szczerze”przepraszam” za każde moje bolesne doświadczenie, do którego się przyczyniłaś. Nie wystarczy ogólne”przepraszam”.

3. W Twoim obecnym zachowaniu dotyczą mnie niektóre zachowania i oczekuję, że nie będziesz ich powtarzać. Są to:

- negatywne wyrażanie się o potomkach płci męskiej robisz to w odniesieniu nie tylko do swoich synów (np. wyrażenie”te chłopaczyska”);

- lekceważące, opryskliwe traktowanie mnie oraz moich braci (rozmowy telefoniczne, spotkania);

- pomijanie mnie w kwestiach dotyczących moich dzieci, nieuwzględnianie mojej obecności i mojego zdania, narzucanie swojego sposobu postępowania, próby zawłaszczenia części praw do moich dzieci. Chciałbym, abyś miała świadomość, że takie prawa Ci się nie należą, że nie powinnaś wpajać w moje dzieci niechęci do mężczyzn; boję się, że możesz im tym wyrządzić dużą krzywdę, i zdecydowanie nie życzę sobie projektowania na nie Twoich obaw czy uprzedzeń;

- negatywne nastawienie do rodziny. Nie wiem, czy się orientujesz, ale gdy organizujemy spotkanie rodzinne czy święto, zawsze pojawia się problem, gdyż ojciec i moi bracia bardzo źle reagują na wieść o Twojej obecności i starają się znaleźć powód, by się nie pojawiać.

4. Zmienisz się. Ponieważ jest mi trudno Tobie zaufać, oczekuję, że podejmiesz terapię lub inne adekwatne kroki oraz że mnie o tym poinformujesz. Nie zadowala mnie stwierdzenie, że czytasz książki i to Ci wystarcza.

Oczekuję od Ciebie zadośćuczynienia za moje obecne problemy wynikłe częściowo w fakcie, że mnie skrzywdziłaś.

Moje problemy są następujące:

1. Stawianie sobie i innym nierealistycznych celów przy jednoczesnej bardzo niskiej samoocenie.

2. Brak radości życia i wiary w siebie.

3. Brak akceptacji samego siebie, niedbanie o swoje zdrowie i

samopoczucie, niehigieniczny tryb życia.

4. Działania autodestrukcyjne: palenie papierosów, codzienne picie alkoholu w dużych ilościach.

5. Złość i zniecierpliwienie wobec innych ludzi.

6. Obawa przed kontaktami z innymi, szczególnie w większym gronie.

7. Trudność w utrzymywaniu dobrych relacji z żoną.

8. Trudność w dobrym podejściu do dzieci; brak doświadczeń i umiejętności w tym zakresie.

9. Brak umiejętności nawiązywania normalnych relacji z innymi ludźmi, szczególnie z kobietami.

10. Poczucie żalu za utraconym dzieciństwem i młodością.

Oczekuję, że zaproponujesz stosowne zadośćuczynienie.

Przyznaję, że zrobiłaś dla mnie kilka dobrych rzeczy, na przykład pokazywałaś mi ciekawe miejsca, dałaś odczuć smak podróżowania i wieczornych ognisk. Wystąpiłaś także w mojej obronie, gdy zostałem źle potraktowany przez nauczycielkę od muzyki. Dziękuję Ci za to. Przyznaję również, że ja także mogłem Cię skrzywdzić. Proszę, napisz mi o tym, abym mógł się do tego ustosunkować.

Nie usprawiedliwiaj się. Jestem pewien, że istnieją powody, niektóre uzasadnione, dla których mnie krzywdziłaś.

Możemy o nich porozmawiać później. Obecnie najważniejsze jest, abyśmy się pojednali.

Jest ważne, abyś zrozumiała, że piszę po to, aby zakończyć te sprawy, tak by żadne z nas nie musiało się już nad nimi zastanawiać ani martwić nimi ponownie. Nie piszę z zamiarem zranienia Cię, zakłopotania czy ukarania Cię.

To, co robię, jest równie ważne dla mnie, jak i dla Ciebie.

Chcę, abyś potraktowała ten list poważnie i odpowiedziała mi na piśmie w przeciągu dwóch tygodni. W międzyczasie nie chcę z Tobą na ten temat rozmawiać, nawet telefonicznie.

Pozdrowienia, Marcin ps. Znając Cię, podejrzewam, że zareagujesz na

ten list zaprzeczeniem, lekceważeniem oraz poczuciem własnej krzywdy, którą w Twoim odczuciu uczyniła i w dalszym ciągu czyni

Ci rodzina. Nie rób tego. Piszę ten list dla naszej obopólnej korzyści.

Załącznik 2: List do Starszego

Tato!

Piszę ten list do Ciebie z wyraźnie mieszanymi uczuciami, ale czuję, że muszę to zrobić. Nie piszę po to, by Cię poniżyć, wprowadzić w zakłopotanie czy złość, ani po to, by Cię ukarać. Mimo że czuję taką chęć. Chcę się pozbyć tych wrogich uczuć do Ciebie raz na zawsze. Chcę przebaczyć i zapomnieć. Możliwe, że później będziemy mogli nawiązać uczciwą relację. Chcę Ci przebaczyć, ale nie jest to łatwe.

Zdaję sobie sprawę, że nie uda mi się przedstawić każdego z problemów w wyczerpujący sposób. Chciałbym jedna~, żebyś zrozumiał, co czułem kiedyś i co czuję teraz. Nie zwracaj więc uwagi na szczegóły i nie szukaj dziury w całym, lecz posłuchaj tego, co chcę Ci powiedzieć.

Byłoby mi znacznie łatwiej Ci przebaczyć, gdybyś przypomniał

sobie moją krzywdę i uzmysłowił sobie, jak bardzo cierpiałem na skutek wczesnego złego traktowania mnie przez Ciebie. Jeśli nie pamiętasz lub nie wiesz, oto te okaleczające mnie doświadczenia: 1. Pewnego razu wydarzyła się historia, którą pamiętam nieco mgliście i trudno mi ją zlokalizować w czasie. Myślę, że wtedy miałem trzy-cztery latka. Pomędzy Tobą i matką odbyła się ostra awantura. Nie pamiętam, o co chodziło i co się wtedy zdarzyło, ale byłem przerażony i zagubiony. Nie rozumiałem, dlaczego rodzice, którzy byli moim oparciem w świecie i którzy stanowili 0 moim bezpieczeństwie, tak gwałtownie wystąpili przeciw sobie. Byłem malutki, bałem się, cały mój świat i moje poczucie bezpieczeństwa zachwiały się.

Nie chciałem słyszeć słów, które wtedy padały. Nie chciałem słyszeć, idąc ciemną ulicą, że "twój tata wyrzucił nas z domu".

2. W pierwszej lub drugiej klasie pobiliśmy się z kolegą. On zawsze mnie drażnił i zaczepiał. Wtedy działałem w obronie własnej.

Matka wysłuchiwała jego i jego matki. Nie pamiętam, w którym momencie się włączyłeś, ale nie byłeś zainteresowany tym, co ja miałem do powiedzenia. Chciałeś mnie spruć, a ja bałem się okropnie, czułem wielką

krzywdę i wielką niesprawiedliwość.

3. Wspomnienie tego lęku utwierdza mnie w przekonaniu, że już wtedy miałem przerażające doświadczenia z wcześniejszych lat. Lania były - na porządku dziennym. Pewnie nie wiesz, ale jak się kończyły i mogłem wreszcie uciec, chowałem się w kącie, w niszy za łóżkiem, i w myślach obrzucałem Ciebie i/lub matkę najgorszymi znanymi mi określeniami. Przysięgałem też, że zawsze będę was nienawidził i jak dorosnę, to was zabiję.

4. Wobec Ciebie odczuwałem niemal wyłącznie strach.

Bąłem się, że mozesz mnie nawet zabić i że nawet jeśli będę krzyczał, nie będziesz miał ani odrobiny litości. Spełnisz swój "obowiązek". Bąłem się odetchnąć, powiedzieć coś, napisać w pamiętniku, bąłem się złościć i buntować. Nawet teraz, gdy pomału odkrywam swoje dzieciństwo i czuję jawną wściekłość, żal i rozgoryczenie, w stosunku do Ciebie te uczucia są stłumione.

Również ze względu na okrucieństwo Twojego bicia mnie niemal nie pamiętam tych sytuacji.

O niektórych, dotyczących mnie, przypomnieli mi bracia.

5. Pamiętam też, że bicie pasem w tyłek nie było jedyną formą kar cielesnych. Kiedyś, na wakacjach nad morzem (mogłem mieć cztery-sześć lat), uderzyłeś mnie pięścią w twarz tak mocno, że byłem zszokowany. Będąc większym, często się biłem i obrywałem, jednak chyba nigdy nikt nie rozwalil mi tak nosa. Znam też opowieści moich braci o laniach w piwnicy (aby nikt nie słyszał

ich krzyków). Nie znam szczegółów, ale na samą myśl o takiej sytuacji czuję mrozące krew w żyłach przerażenie.

6. Kary wobec mnie stosowane były przypadkowe i niespójne.

Nie wiadomo za co i czego można się było spodziewać.

Jeden z moich braci, gdy rozmawialiśmy o tym rozwaleniu mi nosa przez Ciebie, na pytanie, jaki mógł być tego powód, odpowiedział: "A bo ja wiem, może słońce krzywo zachodziło".

Kiedyś przyniosłem ze szkoły uwagę o złym zachowaniu na lekcji, taką zwyczajną, typu: "Marcin przeszkadzał na lekcji geografii". Nie była to poważna sprawa, więc postanowiłem się szczerze i z własnej inicjatywy przyznać. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu dostałem solidne lanie pasem. W efekcie: znenawidziłem nauczycielkę geografii jako sprawczynię; zacząłem mieć dwa dzienniczki - jeden do szkoły, drugi do domu; zacząłem "gubić" zeszyty, gdy tylko pojawiała się w nich uwaga; w szóstej klasie praktycznie nie notowałem na lekcjach i nie prowadziłem zeszytów.

7. Pewnego dnia, jeszcze na starym mieszkaniu, o coś się pokłóciliście. Matka powiedziała coś typu: "A wynoście się stąd wszyscy". Tutaj niemal słyszę Twoje słowa: "Widzisz synu? Popatrz.

Twoja matka nas wyrzuca z domu. To my sobie pójdziemy". Potem siedzieliśmy na podwórku pod garażem naprzeciw naszych okien.

Czułem okropny wstyd i upokorzenie. Podobny wstyd odczuwałem, gdy kiedyś sprawiliście mi biały płaszcz. Po wyjściu z domu czułem, -

że wszyscy na mnie patrzą. Mój protest był tak silny, że mimo wszystko wróciliśmy do domu, bym mógł się przebrać. Ten wzrok ludzi i ich podśmiewanie się ze mnie czuję do dziś.

8. Skrzywdziłeś mnie tym, że nie byłeś dla mnie wzorem ani autorytetem - przeciwnie - patrząc na Ciebie, widziałem tylko, jaki nie chcę być. Dlatego drażniły mnie i powodowały naturalny opór wszelkie Twoje pomysły, pouczenia, polecenia oraz mądre rady.

Czułem wielką niesprawiedliwość i krzywdę, że mam takiego właśnie ojca i że on mnie uczy, jak mam postępować. Mój opór stawał się jeszcze większy, ponieważ przy okazji poniżałeś mnie i podkreślałeś, jak marną jestem istotą. Myślę, że już wtedy czułem, że jestem lepszym człowiekiem niż Ty, i bardzo chciałem wierzyć, że będę inny niż Ty-Ty natomiast siebie przedstawiałeś jako wzór, podpierałeś się autorytetem historii, mądrych ludzi, prawa naturalnego oraz Biblii.

(Dla przypomnienia załączam list, jaki do mnie napisałeś). Obecnie nie jestem w stanie uznać żadnego autorytetu. Nawet nie mogę napisać wielką literą żadnej nazwy, która niesie z sobą autorytet. Z

trudnością przyjmuję zwierzchnictwo w pracy. Irytuje mnie, gdy słyszę jakiegokolwiek rady z pozycji "wyższej".

Czuję potrzebę polemiki z każdą tezą, jaką usłyszę - zwłaszcza, gdy ma pozory słuszości. Przeciwnie, podobają mi się idiotyczne i absurdalne koncepcje. Nie uznaję żadnych prawd odgórnych, bo zawsze Ty przedstawiałeś się jako ich reprezentant. Chcę Ci teraz powiedzieć, że nie miałeś takiego prawa. Nie byłeś wzorem, nie byłeś dobrym ojcem i manipulowałeś tymi pojęciami, by osiągnąć własne korzyści. Przez to teraz każda decyzja, każdy mój krok wymaga dogłębnej i sprawiedliwej analizy, bo nie mogę się zgodzić z czymkolwiek tylko dlatego, że po prostu "tak jest".

9. Upokarzałeś mnie, nakazując przeprosiny nauczycieli z kwiatkami. Kombinowałem, jak to obejść, wszystko po to, bym nie musiał czuć wstydu wobec kolegów i koleżanek.

Walcząc z nauczycielami i personelem, walczyłem o sprawiedliwość za wszelką cenę. To dawało mi poczucie własnej wartości i nadzieję na przetrwanie. Czulem się też lepiej w stosunku do moich rówieśników.

10. Skrzywdziłeś mnie, ponieważ Twoja postawa mimo wszystko mnie przenikała. Uczyłeś mnie, że kobiety są wredne, że krzywdzą i poniżają facetów i że przez nie mężczyźni robią złe rzeczy. Tak na przykład niekiedy tłumaczyłeś bicie nas. Pokazywałeś, że jedyne formy kontaktów z kobietami i innymi ludźmi to: bunt, bierny opór, rozważania teoretyczne, szukanie błędu w racjach czy systemie logicznym. Zamiast normalnie rozmawiać, uciekałeś w absurd i biblijne sentencje, z którymi nie sposób było polemizować.

By odegrać się za swoje frustracje seksualne, takim zachowaniem celowo drażniłeś matkę. Przypuszczam, że w gruncie rzeczy cieszyło Cię, gdy wytrąciłeś ją z równowagi. Tak najczęściej wyglądały nasze święta i inne imprezy rodzinne. Wobec dzieci zaś okazywałeś zupełny brak ludzkich uczuć, a także zrozumienia ich problemów.

Brak czy też zdecydowany niedobór jakichkolwiek pozytywnych wzorców w tym zakresie znacząco utrudnia mi obecne relacje: małżeńskie, rodzinne i społeczne.

11. Wciągałeś mnie w swoje rozgrywki z matką. Trochę o tym było w punkcie 7. Ponadto, podczas jednej z kłótni z nią, gdy byliście w stadium przed rozwodowym, zacząłeś upierać się, bym to ja zostałem

waszym arbitrem. Oczywiście była to manipulacja czyniona po to, by

uzyskać moje poparcie i przewagę w sporze. Mogłem mieć wtedy trzynaście lat.

Nie chciałem o tym słyszeć, ale nie dałeś mi szansy.

Perspektywa rozwodu rodziców, a także silne oczekiwanie, bym się opowiedział po jednej ze stron, spowodowały, że poczułem pustkę.

Poczułem, że spadam w jakąś otchłań, że za chwilę rozpadnie się świat, w którym żyłem.

12. Trochę z perspektywy czasu patrząc, sędzę, że ja, a także moi bracia, tak naprawdę nie byliśmy dla Ciebie ważni. W zasadzie byliśmy obojętni, być może czułeś do nas złość, bo matka, obawiając się kolejnej ciąży, odmawiała Ci pożycia seksualnego. Czasem można było wykorzystać to, że jej na nas jednak zależało, albo po prostu wyładować swoją frustrację na kimś słabszym.

W mojej ocenie do krzywd opisanych w punktach 1, 2, 3 przyczyniłeś się w pięćdziesięciu procentach, do punktu 7 w dziewięćdziesięciu procentach. Za pozostałe obarczam Cię pełną odpowiedzialnością.

Oczekuję, że:

1. Przyznasz, jaki był Twój udział w mojej krzywdzie, poniżeniu, wstydzie i upokorzeniu, oraz weźmiesz za nie część odpowiedzialności na siebie. (Wiem, że również inni przyczynili się do mojej krzywdy, a niekiedy nawet ja sam. Oczekuję, że Ty uznasz swój wkład).

2. Wypowiesz szczerze "przepraszam" za każde moje bolesne doświadczenie, do którego się przyczyniłeś. Nie wystarczy ogólne "przepraszam". Poprzez słowo "szczerze" rozumiem takie przeprosiny, które świadczą o zrozumieniu krzywdy, za którą się przeprasza.

Oczekuję od Ciebie zadośćuczynienia za moje obecne problemy wynikłe częściowo z faktu, że mnie skrzywdziłeś.

Są to:

1. Stały bunt i złość wobec autorytetów, prawd, zasad, prawa, religii, idei

społecznych, ogólnonarodowych i ogólnoswiatowych (wyjątek, a jakże, stanowią idee anarchistyczne).

2. Wstyd, obawa, nieumiejętność publicznego występowania.

3. Lęk przed wyśmianiem, nawet po cichu, brak umiejętności śmiania się z samego siebie.

4. Silny, niemal paniczny strach przed silniejszymi, obawa o życie własne i najbliższych.

5. Niskie poczucie własnej atrakcyjności jako mężczyzny.

6. Programowe niedbanie o swój wygląd zewnętrzny.

7. Działania autodestrukcyjne: palenie papierosów, codzienne picie alkoholu w dużych ilościach.

8. Trudność w utrzymywaniu dobrych relacji z żoną; brak doświadczeń i umiejętności w tym zakresie.

9. Trudność w dobrym podejściu do dzieci; brak doświadczeń i umiejętności w tym zakresie.

Oczekuję, że zaproponujesz stosowne zadośćuczynienie.

Przyznaję, że zrobiłeś dla mnie kilka dobrych rzeczy, na przykład ciekawe, fascynujące intelektualnie opowieści. Pamiętam także historię, która zdarzyła się, gdy miałem około szesnastu lat.

Wynikł wtedy po raz kolejny spór o moje wychodzenie z domu.

Czułem duże rozgoryczenie, ponieważ matka nie puściła mnie na koncert, na który chciałem się wybrać z koleżanką. Strach przed Tobą nie pozwalał mi się jawnie zbuntować i wyjść wbrew jej woli. Gdy narzekałem na to, Ty powiedziałeś, że od dziś mogę wychodzić, kiedy chcę i na jak długo chcę, bez pytania o zgodę. Mam tylko informować, jeśli chcę wrócić po godzinie 22. I tego prawa mi nie odebrałeś. Tak naprawdę wtedy zwolniłeś mnie z uwięzi domowej i pomału mogłem zacząć odpływać.

Dziękuję Ci za to.

Być może ja także mogłem Cię skrzywdzić. Jeśli tak, napisz mi o tym, abym mógł się do tego ustosunkować.

Nie usprawiedliwiaj się. Jestem pewien, że istnieją powody, niektóre

uzasadnione, dla których mnie krzywdziłeś.

Możemy o nich porozmawiać później. Obecnie najważniejsze jest, abyśmy się pojednali.

Jest ważne, abyś zrozumiał, że piszę po to, aby zakończyć te sprawy, tak by żaden z nas nie musiał się już nad nimi zastanawiać ani martwić nimi ponownie. Nie piszę z zamiarem poniżenia Cię, zakłopotania czy ukarania. To, co robię, jest równie ważne dla mnie, jak i dla Ciebie.

Chcę, abyś potraktował ten list poważnie i odpowiedział mi na piśmie w przeciągu dwóch tygodni. W międzyczasie nie chcę z Tobą na ten temat rozmawiać, nawet telefonicznie.

Pozdrowienia, Marcin

PS. Znając Cię, podejrzewam, że potraktujesz ten list w kategorii literatury pięknej lub podsumujesz ogólną tezę o różnych kolejach życia. Być może także znajdziesz skomplikowany teoretyczny wywód dla uzasadnienia swojego postępowania albo odwołasz się do Biblii lub innych "praw naturalnych". Możliwe też, że zaczniesz uważać się nad sobą, poniżać się i skarżyć. Nie rób tego, lecz spróbuj zrozumieć to, co chcę Ci powiedzieć, bo jest to ważne zarówno dla mnie, jak i dla Ciebie.

Pani Marto, wysłałam te załączniki, aby miała Pani jasność sytuacji i wiedziała, w jakiej formie napisałam listy do rodziców.

Treść zarzutów jest Pani znana z naszej korespondencji, więc będzie to dla Pani powtórka. Pisanie listów do swoich krzywdzicieli było jednym z zadań podczas terapii. Dostaliśmy wzór, a terapeutka pilnowała, by nie pominąć żadnego istotnego punktu, na przykład informacji o pozytywach. I to było dla mnie bardzo trudne! Najpierw wydawało mi się, bo ciągle było we mnie wiele złości, że ani matka, ani ojciec nie zrobili dla mnie nic dobrego, więc muszę z konieczności ten punkt pominąć.

W końcu jednak opanowałam się na tyle, że mogłam rozsądnie pomyśleć i zobaczyć także jaśniejsze chwile mojego dzieciństwa.

Najtrudniejsze jednak przyszło wówczas, gdy musiałem te listy głośno przeczytać wobec całej grupy.

Trząłem się przez dziesięć minut i płakałem. Było mi wstyd, że jestem mięczak, ale nie potrafiłem nad sobą zapanować.

W końcu mi się udało.

Marcin

Odpowiedź 10

Od: Marta

Temat: Terapia

Zastanawiałam się, czy powinnam te listy zamieścić w książce, konsultowałam to z moją starszą córką, która ukończyła psychologię.

Teraz jestem pewna, że mogę, ponieważ list o takiej formule jest celowym działaniem terapeutycznym, z zasadniczymi jego punktami: określenie przewin, pozytywów, prośba o przyznanie się do winy, o zadośćuczynienie itd.

Poza tym pomyślałam sobie, że te listy robią silne wrażenie i to jest ważne. Zadrżałam na myśl, że mogłabym kiedyś dostać taki list od swoich córek. Powiem Panu, jak się czułam podczas lektury.

Otóż... po raz pierwszy od początku naszej korespondencji znalazłam się całą sobą na miejscu

Pana rodziców. Do tej pory, kiedy wyobrażałam sobie opisywane sytuacje, widziałam przede wszystkim cierpiącego chłopca. Teraz byłam matką i ojcem, czytającymi list od swojego dziecka.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie wartościuję, nie oceniam, tylko poddaję się empatii. Podziwiam Pana za odwagę, bo trzeba odwagi, by zabrać się za weryfikowanie swojego życia. I doceniam szlachetność intencji, a jednak cierpnę na myśl, że taka sytuacja mogłaby stać się moim udziałem. Ciągle myślę też, na jak wiele odwagi muszą się zdobyć rodzice, by zechcieć podjąć dialog skierowany na porozumienie.

Przez jakie etapy bólu, złości, żalu oni muszą przejść, by zebrać siły na konstruktywną rozmowę? I w ogóle: ileż musi być w nas wszystkich (rodzicach, dzieciach) dobrej woli, by nie zamknąć się na resztę życia w klatce złości. Coś przecież trzeba zrobić z tym gniewem mądrego, aby nie stał się źródłem niekończącej się litanii o naszych drzazgach i śladach obrażeń. Coś trzeba zrobić, w coś go zamienić. Pan Cogito powinien nam podsunąć radę, dzięki której potrafilibyśmy żyć, nie krzywdząc siebie i

innych. Ale Pan Cogito przyjdzie do tych, którzy go odnajdą i zechcą wysłuchać.

Dzisiaj tylko jedno pytanie - jak rodzice zareagowali na listy?

Martafox

List 11

Od: Marcin

Temat: Odpowiedź rodziców

Odpowiadam na pytanie.

Odpowiedź matki zasadniczo polegała na zarzuceniu mi niewdzięczności (coś typu: "J a tyle zrobiłam, wystąpiłam się w kolejkach, a ty wszystkie swoje niepowodzenia zwalasz na mnie") oraz stanowczej deklaracji, że nie mamy dalej o czym mówić. Ojciec z kolei podważał wiarygodność terapii, odmówił przyznania się do winy. Jednak ku mojemu zaskoczeniu - napisał drugi list, gdzie w ciepłych słowach powiedział, że chciałby naprawić nasze relacje.

W pewnym momencie miałem zamiar wytoczyć rodzicom sprawę karną o znęcanie się nad dziećmi, znaczy: nade mną i braćmi.

Skontaktowałem się z prokuratorem, konsultowałem z prawnikami, przygotowałem listę zarzutów oraz argumentację, dlaczego w takim przypadku nie ma mowy o przedawnieniu. Gdyby się nie udało, zamierzałem zrobić z tego sprawę medialną. Tak żeby wszyscy, głównie znajomi rodziców, dowiedzieli się, ile okrucieństwa tkwiło w ich rzekomo mądrych i pobożnych głowach. Rodzice mają doktoraty, pracują na uczelni, każde w swoim zawodzie. Kiedyś udzielali się w akademickich duszpasterstwach, walczyli z komuną, pod koniec mojej podstawówki poszliśmy nawet na pielgrzymkę do Częstochowy.

Bracia byli mocno zdegustowani moimi planami i kilka razy spięliśmy się o to. Mój brat powiedział: A jak byś się poczuł, gdyby za ileś tam lat twoja córka wytoczyła ci taką sprawę? A może po latach dojdzie do wniosku, że ograniczanie grania na komputery było dla niej wielką krzywdą i szkodą moralną?

Ostatecznie zarzuciłem te pomysły, ale bynajmniej nie z powodu argumentów brata. Potrzebuję rodziców, jest we mnie potrzeba posiadania rodziny "pochodzeniowej". Potrzebuję w nich wierzyć, być z nich dumnym i krzyknąć na każdego, kto się ich czepia.

Popelnili błędy, skrzywdzili mnie. Zdaję sobie sprawę, że to było

zamierzone, choć nieświadome konsekwencji. Mieli swoje problemy, nie rozumieli, co czują. Czego więc mogę od nich oczekiwać w tej chwili? Ojciec mówił: Jestem taki, jak mnie wychowano, mnie też lano w szkole i w domu. I co ja mam na to odpowiedzieć? Teraz mówi, że wrażliwym zawsze w życiu trudniej.

Dla mnie takie podejście do sprawy jest wredne, bo ja słyszę w tych słowach po prostu tyle co:

Mam w dupie twoją wrażliwość i twoje problemy. Apotem dodaje: Chciałbym, aby nasze stosunki były takie jak przedtem (przed moją terapią).

Czasem żal mi moich braci, dyskutujemy o przeszłości, rozmowy są niekiedy bardzo gwałtowne, ale nie ma w tym złości.

Myślę, że ich także boli przeszłość, ale wolą się do tego nie przyznać.

Namawiałem ich na terapię. Żaden się nie zdecydował. Pani by powiedziała, że zabrakło im odwagi. Kiedy rozmawialiśmy o terapii, jeden z braci powiedział do mnie: Gadasz głupoty. Ty się martwisz, że siedziałeś na podwórku, a inni się na ciebie gapili. Nie wiesz, o czym mówisz, nie wiesz, co mnie się przydarzyło.

To bardzo frustrujące usłyszeć, że moje problemy są błahe i wydumane. No tak, ja nie walczę z przeważającymi i mierzalnymi siłami zła, nie powalam kilkudziesięciu gangsterów, nie wszystkie kobiety mdleją na mój widok, a prezydent

USA nie wręczy mi oficjalnych podziękowań. Moje życie nie jest jakieś szczególne i wspaniałe.

Przepraszam, rozgadałem się i trochę zboczyłem z tematu.

Wracam więc do problemu rodziców.

Mimo tego wszystkiego, co powiedziałem, terapia dała mi jeszcze coś bardzo ważnego: dała mi rodziców. Odzyskałem ich w sobie. Zawsze chciałem ich mieć! Chciałem ich również sam dla siebie nazywać mamą i tatą, a nie Starszą i Starszym.

Na terapii zrozumiałem, że rodziców się nie wybiera, są, jacy są, ale są. I to też było mi trudno powiedzieć sobie samemu.

Marcin

Odpowiedź 11

Od: Marta

Temat: Jedyne i niepowtarzalne

Chyba wiem, o czym Pan mówi, Marcinie. Nasze przeżycia zawsze wydają nam się jedyne i niepowtarzalne. Bo takimi są dla nas przynajmniej w sferze emocji. A fakty? Te, niestety, są powtarzalne, banalne, u jednych bardziej, u drugich mniej okrutne. Powtarzają się metody, argumenty, powiedzonka. Ma Pan rację: ważne jest to, jak osoba gnębiona przeżywa swój los.

Z Pana uwag typu "krótko o sobie" lub przemyślanych zdań na temat terażniejszości wiem, że jest Pan mężem, ojcem dwóch córek.

Porozmawiajmy więc o Pana dzisiejszej codzienności. Czy rozmawiał

Pan z żoną o swojej przeszłości? Kiedy założył Pan rodzinę? Czy Pana małżeństwo jest partnerskie?

W listach do rodziców, tych pisanych na terapii, w punktach wypisuje Pan swoje obecne problemy wynikające (Pana zdaniem) z tego, że był Pan krzywdzony w dzieciństwie.

Między innymi wskazuje Pan na trudności w utrzymywaniu dobrych relacji z żoną i trudności w dobrym podejściu do dzieci. Stąd moje pytania.

Pozdrawiam, Martafox

List 12

Od: Marcin

Temat: Małżeństwo partnerskie?

Powoli więc dotarliśmy do mnie terażniejszego, trzydziestotrzyletniego faceta, fizyka z wykształcenia, pracującego we własnej firmie informatycznej, ojca rodziny.

Postaram się trzymać pytań.

Tak, opowiedziałem żonie te moje historie. Trochę tego żałuję, bo w jakimś sensie oparłem się na niej, a ona nie będzie przecież moją terapeutką ani matką. Z żoną mam już n a s z e problemy, które zapewne częściowo wynikają z mojej przeszłości („co mnie tłumaczy, ale nie usprawiedliwia”). Poza tym - zauważyłem - że ona słuchała słów i wydarzeń, a nie mnie, nie starała się zbytnio wnikać w moje przeżycia.

Czy moje małżeństwo jest partnerskie? Nie uważam tak.

Raczej sędzę, że żona dominuje. Podświadomie odtwarzam wobec niej moje potrzeby i relacje z matką. Boję się porzucenia, mam poczucie winy, a to z kolei powoduje we mnie złość. Podam Pani przykład.

Zaplanowaliśmy jednodniowy wyjazd poza miasto.

Spakowaliśmy rzeczy w niedzielę rano, pojechaliśmy kupić jedzenie, a potem benzynę. Żona jakoś źle pojechała.

Poczułem napięcie, już kiedy zrobiliśmy jedno kółko niepotrzebnie. Ale nie odezwałem się ani słowem. Od razu wyjaśniam, że ja nie mam prawa jazdy, więc tylko ona prowadzi samochód. Na stacji benzynowej powiedziała, żebym pilotował, bo nie zna trasy. Takie sytuacje nieraz prowadziły do kłótni, więc nie zgodziłem się, mówiąc, że ma mapę, znaki i że nie chcę nerwów i krzyków, jeśli źle pokieruję. Rozmowa była taka:

- Mógłbyś pilotować, jak cię proszę.

- Skoro nie mam wyboru, to znaczy, że mnie nie prosisz, tylko żądasz, więc powiedz to.

- Dobra, no to żądam, abyś mnie pilotował.

- Aja odmawiam.

- Tak? No to w takim razie ja nigdzie nie jadę.

W domyśle było oczywiście:”przez ciebie”. Czuję, że zawracając do domu, chce wymusić zmianę decyzji, że teraz oczekuje, abym ją prosił, by jednak pojechała. Powiedziałem jej to. Żal mi było dzieci, bo nastawiły się na ten wyjazd, a teraz nie wiedziały, dlaczego tak się porobiło.

Moim dodatkowym problemem jest to, że mieszkanie i samochód kupili

nam rodzice żony. Także zafundowali jej dwa wyjazdy zagraniczne, na które mnie nie było stać.

Pierwszy, zaraz na początku naszej znajomości - ciężko to przeżyłem. Drugi, rok temu - to właśnie było bezpośrednią przyczyną mojej decyzji o podjęciu terapii. Matka żony pokryła część kosztów tego wyjazdu, ja miałem dołożyć

„naszą” część. Aby móc to zrobić, zlikwidowałem konto w funduszu inwestycyjnym, gdzie gromadziłem pieniądze na emeryturę.

Mam tylko minimalne ubezpieczenie z tytułu działalności gospodarczej, więc dodatkowo oszczędzałem. Planowaliśmy rodzinny wyjazd do Chorwacji, ale zrezygnowaliśmy właśnie z powodów finansowych. A wyjazd żony, jak się okazało, kosztował więcej niż ewentualny wyjazd całej naszej rodziny, i to licząc tylko „naszą” część.

Od początku nie podobał mi się ten pomysł i powiedziałem to żonie. Stało na tym, że nie jedzie, ale potem mnie

„przekonała”, między innymi argumentami w stylu, że przez całe życie siedzi w domu, że nigdzie nie pozwalam jej wychodzić, że jej matce i siostrze będzie przykro, gdy nie pojedzie, że jestem zazdrośnikiem.

Jestem zazdrośny o żonę, to prawda. Byłem wściekły o to, że jest finansowana przez kogo innego, bo co z tego, że to rodzice. Finał

był taki, że żona pojechała ze starszą córką, wróciła, a ja poszedłem na terapię. Teraz widzę, że z jednej strony nie mogę jej nie pozwalać wychodzić czy wyjeżdżać, to fakt, ale z drugiej - nie muszę się na to godzić i akceptować, jeśli mnie to boli. I mogę to powiedzieć bez poczucia winy. Mogę, prawda?

Dużo pracuję, robię”Wiele rzeczy naraz. To mnie mocno obciąża. Kiedy wracam do domu, żona mówi, abym teraz się zajął

dziećmi, a sama często sobie odpoczywa. Zgadza się, że może być zmęczona. Ale jednocześnie czuję, że coś tu jest nie tak. Kładę dzieci spać, poczytam im i o 22 siadam do komputera, by znów pracować.

Czasem narzekam, mówię, że mam za dużo spraw i że chciałbym z czegoś zrezygnować. Wtedy ona buntuje się, narzeka, że znów chcę wszystko rzucić, prosi, Żebym nawet tak nie mówił, bo ją to denerwuje. W ostatnią

sobotę zamiast robić zleconą pracę, naprawiałem jakieś uszczelki. Szczerze mówiąc - czuję się wykorzystywany.

Żona pracuje, ale zarabiam głównie ja. Przynajmniej tyle mam poczucia wartości. Ostatnio próbuję prostować te sprawy. Starannie wszystko planuję, walczę o podjęte decyzje, ale to nie jest proste.

Chciałbym, abyśmy mieli mieszkanie kupione za moje pieniądze i chciałbym mieć w nim tylko swój pokój. Planuję też zrobienie prawa jazdy i kupno własnego samochodu. Pisałem już, że obecne mieszkanie i samochód sfinansowali nam rodzice żony.

Znów się rozgadałem a chyba nie odpowiedziałem na wszystkie Pani pytania. Proszę pytać dalej.

Pozdrawiam serdecznie, Marcin

Odpowiedź 12

Od: Marta

Temat: Poczucie winy

Zadaje mi Pan trudne pytania, Panie Marcinie. Na przykład to o poczucie winy. Nie chcę mówić o swoich doświadczeniach. To Pan ma opowiadać.

Wspominał Pan kilka razy o swoim poczuciu winy. Kiedy ono się budzi? Jak Pan z tym walczy? Co Pan robi, aby je wyeliminować?

Martafox

List 13

Od: Marcin

Temat: Wina, wstyd, złość i walka

Sam nie wiem, o czym będzie ten list.

Moja przeszłość jest jak ciężar, który dźwigam codziennie. W tej przeszłości jest właśnie wina, wstyd, złość. W terażniejszości jest już więcej walki. W przeszłości też była, ale przybierała najczęściej formę dzikiego, spontanicznego buntu, nieokiełznanej agresji, w sumie niczego nie osiągałem. Chciałem wiele, a działałem na oślep. To pozostało mi do tej pory. Cały czas chcę być najlepszy, więc łapię kilka srok za ogon z nadzieją, że któraś z nich stanie się moim wielkim sukcesem, co oznacza, że wreszcie zostanę doceniony. Na terapii dowiedziałem się, że tak naprawdę, podświadomie, chodzi mi tylko o to, by doceniła mnie matka.

Zatem żaden mały sukces mnie nie cieszy. Poczucie winy bierze się również z niespełnionych ambicji i oczekiwań bliskich (żony).

Jeśli odpoczywam, co rzadko mi się zdarza, mam poczucie winy, że mógłbym więcej pracować, może wówczas osiągnąłbym coś wartościowego. Jeśli więcej pracuję, wyrzucam sobie, że mam mniej czasu dla rodziny i dla moich córek. Ponad wszystko chciałbym ocalić moją rodzinę i chciałbym, aby córkom było dobrze i bezpiecznie.

Mam z nimi dobry kontakt. Nauczyłem je pływać, jeździć na rowerze, na nartach. Lubią moje wieczorne opowieści. Niekiedy im też śpiewam z gitarą.

Mojej żonie poczucie winy jest obce. Ona lepiej potrafi siebie realizować na różnych płaszczyznach i niełatwo rezygnuje ze swoich pragnień, czego przykłady już podawałem. Myślę, że byłem podatny na różne manipulacje. Może przesadzam, ale w moim odczuciu rezygnowałem z wielu spraw, nie chcąc czynić nawet domniemanej krzywdy. Nie robiłem tego dla świętego spokoju, raczej właśnie z obawy przed poczuciem winy. Ostatnio jednak próbuję prostować ścieżki swoich relacji z bliskimi, więc jeśli mam na jakiś temat zdanie, to je forsuję. Teraz walczę o sprawy właściwe, przedtem toczyłem boje o sprawy beznadziejne. Postanowiłem też wrócić do swoich zainteresowań - lubię pewną grę planszową, co wiąże się z wyjściami do

klubu i wyjazdami na turnieje. I tak sobie myślę, że to nie jest powód, by mieć po- czucie winy, że raz na tydzień albo i rzadziej zostawiam rodzinę czy że robię coś niepotrzebnego, a powinienem pracować. Ta myśl mnie zawsze dręczyła, w efekcie wieczorem wracałem z firmy przygnębiony i zamiast zająć się czymś ciekawym, własnym, kupowałem piwo i siedziałem przed TY, jak jakiś Kiepski.

Ohyda!

Tym "ohydnym" akcentem kończę dzisiejsze pisanie.

Pozdrawiam serdecznie.

Marcin

Odpowiedź 13

Od: Marta

Temat: Małżeństwo, dzieci i śpiew

Odniosłam wrażenie, Panie Marcinie, że traktuje Pan swoje małżeństwo jak pole walki o strefy wpływów, czy tak?

I tak było zawsze?

Ciekawa też jestem bardzo, jak wyglądają Pana wieczory z dziećmi? Czy córeczki lubią te chwile? Co im Pan śpiewa i czyta? I jeszcze: wspominał Pan o alkoholu. O nadużywaniu. Czy dobrze zrozumiałam?

Martafox

List 14

Od: Marcin

Temat: Strefy wpływów i coś jeszcze

Ma Pani rację, tak właśnie teraz wygląda moje małżeństwo. To jest nieustanna walka: żona walczy o utrzymanie dotychczasowej pozycji, a ja o otrzymanie pozycji lepszej.

Nie dochodzi do żadnych skrajności, bo dużo rozmawiamy, przede wszystkim z mojej inicjatywy, ale ciągle siebie przekonujemy, zupełnie jakby każde z nas poszukiwało tylko własnej przestrzeni, a nie my razem - tej wspólnej.

Do odpowiedzi na pytania wrócę w następnym liście, teraz "coś jeszcze".

Widziałem Panią. I słuchałem, co Pani mówiła na swoim spotkaniu autorskim. Świat jest mały, Pani Marto, i przypadki rządzą tym światem. Przypadek bowiem sprawił, że znalazłem się w tej bibliotece. Instalowano tam sieć komputerów i Internet i to właśnie moja firma zajmowała się instalacją. Od razu wyjaśnię - to nie jest miasto, w którym mieszkam. Moje jest piętnaście kilometrów dalej, więc już

Pani wie gdzie. Jak się Pani domyśla, nie potrafiłem sobie odmówić udziału w tym spotkaniu. Proszę się nie obawiać, na pewno mnie Pani nie zauważyła, choć przeszła Pani obok, na wyciągnięcie ręki.

Nie będę opisywał swoich uczuć ani wrażeń, bo jeszcze nie umiem ich zwerbalizować, ale dziwnie mi. Że też do tej pory nie przeczytałem żadnej Pani książki! Ale teraz mam Magdę.doc i Pauline.doc, więc już Pani wie, jak spędzę wieczór albo i noc.

Marcin

Odpowiedź 14

Od: Marta

Temat: No nie!

Miało być inaczej! Złamany został punkt naszej umowy. To niesprawiedliwe. Mnie też jest dziwnie. Jeśli już Pan był na tym spotkaniu, trzeba było do mnie podejść. A poza tym: jaki przypadek?

Jaki przypadek? Przypadki nie istnieją, Panie

Marcinie. Przez tak zwany przypadek natrafił Pan na mój anons w Internecie o zbieraniu materiałów do książki. Przez przypadek zainteresowało to Pana. Przez przypadek miał Pan potrzebę opowiedzieć mi swoją historię. Przez przypadek zechciałam jej wysłuchać. Czy nie za dużo tych przypadków?

Przypadki nie istnieją. Im więcej przypadków, tym bardziej wyglądają one na poselstwo Losu. Czyli tak właśnie miało być. I nie ja te mądrości wymyśliłam. Przede mną wielu pisarzy wąpiło w przypadek, ja tylko dołączyłam się do grupy wąpiących.

Martafox

List 15

Od: Marcin

Temat: niesprawiedliwe/sprawiedliwe

A kto powiedział, że życie jest sprawiedliwe?

A jeśli o umowę chodzi, to nie było w niej wyraźnie określonych warunków, prawda? Ustaliliśmy jedynie, że będziemy prowadzić korespondencję i że się nie spotkamy. Nie dążyłem do spotkania. Tak się stało. Samo.

Poza tym szanse od początku były nierówne. Wiedziałem, jak Pani wygląda, buszowałem po Pani stronie internetowej.

Nie ośmieliłem się podejść, bo jestem raczej nieśmiały.

Zapytała Pani o alkohol. Rozluźnia mnie na krótko, niestety.

Łatwiej sobie wtedy radzę w rozmowie, staję się odważniejszy, śmielszy. Generalnie mam trudności w kontaktach z ludźmi, choć może tego nie widać. Od czasu, kiedy mam własną firmę (a to już kilka lat), piję mniej. Nie mam towarzystwa do picia, a sam z siebie rzadko inicjuję spotkania.

W pracy nie piję.

Tak więc nie wyobrażałem sobie w ogóle możliwości rozmowy z Panią. Jakże bym tak mógł podejść i powiedzieć: To, ja Marcin. A Pani by zapytała: Jaki Marcin? I co ja bym wtedy z sobą zrobił?

Marcin

Odpowiedź 15

Od: Marta

Temat: Nie oburzam się

Przecież ja się nie oburzam, Panie Marcinie, a jedynie wyrażam zdziwienie. Może i lepiej, że Pan pozostaje dla mnie rozmówcą korespondencyjnym. Choć, przyznaję, myślę o tym, jak bym Pana odebrała w żywym kontakcie, jakie pytania przysłyby mi do głowy.

Skoro tak się nie stało, pozostajmy przy tych, które postawiłam.

Niech Pan zajrzy do poprzedniego listu: dzieci, czytanie, śpiewanie. I o tym mi napisze, dobrze?

Martafox

List 16

Od: Marcin

Temat: Dzieci, czytanie, śpiewanie

Moim córeczkom (lat osiem i pięć) śpiewam piosenki, które pamiętam z czasów licealnych i studenckich. No, wie Pani... Kaczmarek, Gintrowski, piosenki żeglarskie. I ciekawa rzecz. Kiedy któregoś wieczoru zacząłem śpiewać Obławę Kaczmareka, taki mnie żal chwycił za gardło, że musiałem powstrzymać łzy, bo wzruszenia nie udało mi się powstrzymać.

Zdarzało mi się to także przy innych piosenkach, zwykle, kiedy śpiewałem je po raz pierwszy od czasów studiów. Już za drugim razem reakcja była słabsza. Trudno mi znaleźć wytłumaczenie. Może to żal za minionym czasem albo za wspomnieniem chwil, kiedy byłem szczęśliwy, bo byłem bardziej wolny albo przynajmniej tak mi się wydawało.

Dobrze wspominam studenckie lata. Poznałem wtedy swoją przyszłą żonę. Przeniosłem się na inny uniwersytet, na drugi koniec Polski, by móc w wynajętym mieszkanku razem z nią mieszkać.

Córka urodziła nam się po dwóch latach, był więc czas, kiedy mogliśmy nacieszyć się swobodą, bez rodzicielskich obowiązków. Dla mnie to była podwójna swoboda, bo również z daleka od rodziców, którzy już wówczas razem nie mieszkali i planowali już rozwód.

Studia skończyłem, żona również. Zacząłem nawet robić doktorat, ale potem wszedłem w biznesy i rzuciłem pracę naukową, co matka często mi wypominała. Dla niej kariera naukowa jest jedynie słuszną drogą. Obecnie próbuje realizować swoje "ambicje" na żonach: mojej i brata, skoro ja jej odpadłem. Namawia na doktoraty, proponuje finansowanie kursów specjalistycznych.

Przepraszam - miało być o czytaniu i śpiewaniu.

Ostatnio czytałem moim córeczkom *Moje drzewko pomarańczowe* Jose M. de Vasconcelosa, czyli o chłopcu, który poznał cierpienie. To moja lektura z dzieciństwa, czytałem ją, mając jedenaście lat. Bardzo mnie ta

książka wówczas wzruszała, potrafiła mnie doprowadzić do płaczu, a jak Pani wie, ostro ćwiczyłem się w nieplakaniu, kiedy dostawałem w tyłek. Dzisiaj też mnie wzrusza, moje córeczki również.

Czytam im tę książkę na przekór wszelkim modom i się nie buntują. Zna Pani tę książkę? Ma Pani jeszcze siły mnie wysłuchiwać?

Pozdrawiam.

Marcin

Odpowiedź 16

Od: Marta

Temat: Wysłuchiwanie/podsumowanie

Ha! O to samo chciałam zapytać. Czy bardzo Pana męczę? Bo chcę jeszcze zadać ostatnie pytania. Ale najpierw o książce. Tak, znam Moje drzewko pomarańczowe, ale odkryłam tę książkę wtedy, kiedy byłam już matką. Też czytałam swoim dziewczynkom. O

książkach lepiej ze mną nie rozmawiać, bo ja spędzam życie na półkach z książkami, jak mówią moje córki, i mogłabym nieskończenie o nich, jak Tuwim o zieleni. Z Mojego drzewka...

pamiętam definicję bólu, kiedy mały Zeze wyjaśnia, że ból to nie jest wtedy, kiedy rozbije się kolano albo skaleczy palec, ale wtedy, kiedy wtula się głowę w poduszkę i nie ma się ochoty ruszyć ani ręką, ani nogą, ani głowy obrócić na drugą stronę. Nie cytuję dosłownie, ale chyba bliska jestem tantym sformułowaniom.

Panie Marcinie, myślę, że czas zmierzać do końca rozmowy.

Dziękuję za to, co do tej pory. Proszę jeszcze dokonać podsumowania.

Niech Pan się nie śpieszy, niech Pan to wyważy w sobie. Ponumeruję pytania, aby było przejrzysiej:

1. Czy dzisiaj może Pan wyraźnie określić, kto był w Pana domu rodzinnym ofiarą, a kto agresorem? Chodzi mi o relacje pomiędzy rodzicami.

2. Czy powtarza Pan zdarzenia ze swojego dzieciństwa?

Może wciąż je Pan odgrywa, licząc, że za kolejnym razem zakończenie będzie takie, o jakie Panu chodziło. Tylko czy Pan zna to zakończenie, o które Panu chodzi?

3. Wspomniał Pan, że matka odmawiała współżycia z ojcem.

Czy te relacje przenoszą się w jakimś sensie na Pana małżeństwo?

Czy "ktoś komuś" odmawia?

4. Widzę, że przeszłość Pan przetrwał, choćby dlatego, że znalazł Pan sposób, by o niej mówić, a także znalazł Pan taki sposób interpretacji, który pomaga Panu w uporaniu się z nią. Jak to (podsumowując) wygląda z Pana strony?

Czy podziela Pan moje spostrzeżenia? A jak oceniłby Pan swoje szanse w teraźniejszości - zawodowej, w relacjach z żoną, z dziećmi?

Odpowie Pan?

Martafox

List 17

Od: Marcin

Temat: Podsumowanie? Już?

Spróbuję podsumować, choć obawiam się, że rozpląnę się w szczegółach, z których każdy wymagałby odrębnego komentarza.

1. Ofiara/agresor/winowajca

Matka była bardzo ambitna, sama dużo robiła i tego samego wymagała od ojca. On zaś był niechętny wszystkiemu.

Ostatnio do mnie napisał: "Jestem człowiekiem bez ambicji.

Wszystkie moje sukcesy, dyplomy, stopnie naukowe były dziełem przypadku lub determinacji osób trzecich. Ja tylko nie miałem siły, by zaprotestować, lub inwencji, by wymyślić coś własnego". Z kolei matka uwielbiała postawić na swoim i zawsze najlepsze było to, co ona robiła i wymyśliła.

Kilka lat temu spędzała z nami Wigilię. Była oburzona, że nie mamy karpia. "Jak byliście mali, to stałam godzinami, by tego karpia kupić"... To nie był żal z powodu braku wigilijnej potrawy, to nawet nie było rozczarowanie, to było wielkie oburzenie, to były pretensje ze wskazaniem, że ona była lepsza, a my jesteśmy automatycznie gorsi.

Dotąd zresztą nie pogodziła się z tym, że nie pracuję na uczelni, czemu ciągle daje wyraz w rozmowach z moją żoną.

Mamy więc agresora i ofiarę. A raczej agresora, który odgrywał rolę ofiary.

Aja? Kim byłem ja w tych układach? Byłem winowajcą.

Głównym winowajcą - jako dziecko poczęte przed ślubem.

N o ale do tego trzeba dwojga, prawda?

2. Powtarzanie zdarzeń

Tak, niestety, powtarzam zdarzenia z dzieciństwa, choć z konieczności

mają one wymiar dopasowany do aktualnej sytuacji.

Ciągle szukam szansy na to, by nic nie zagroziło mojemu poczuciu wartości. Niby próbuję się pogodzić z tym, że nie jestem szczególnie niezwykły, tylko zwyczajny.

A jednak... szukam patentu na wielkość. Na bycie najwybitniejszym fizykiem atomowym, najbogatszym człowiekiem świata... Sądzę, że to wpływ matki. Z kolei w zachowaniach wobec ludzi odtwarzam ojca. Jego teoretyczne, absurdalne podejście. Nawet jeśli walczę o rozsądną sprawę, to przedstawiam ją tak, aby nie można się było z nią zgodzić. Rozumie Pani? Można powiedzieć: trzeba ograniczyć pomoc dla biednych, aby zmniejszyć nasze podatki (no bo przecież opieka społeczna kosztuje, a pochodzi z budżetu), wtedy kraj będzie miał większe szanse na rozwój i w ostateczności wszystkim się to opłaci. Można też powiedzieć: trzeba ograniczyć pomoc dla biednych, aby zmniejszyć nasze podatki, nie ma powodu, by ludzie aktywni i przedsiębiorczy wspierali nieudaczników. Widzi Pani?

Treść ta sama, ale różnica znacząca.

3. Odmawianie seksu

Nie. W tej sferze nie mam obciążeń rodzinnych. Niczego sobie nie odmawiamy, nie mamy żadnego systemu kar i nagród. Natomiast swoje cele osiągamy innymi”metodami”.

Uważam, że żona celuje w osiągnięciu celów przez wywoływanie we mnie poczucia winy. Na przykład wychodzę wieczorem, a ona mówi: Tak marzyłam o tym wieczorze we dwoje. Ja z kolei marudzę, dyskutuję, przekonuję i wypominam dawne sprawy w stylu: Ty to tak zawsze, jak wówczas, gdy... Takie metody mamy wyniesione z domów rodzinnych, oczywiście wraz z upływem czasu udoskonalone.

4. Przeszłość/teraźniejszość

Czy sobie poradziłem z przeszłością? Przeszłość i tak we mnie pozostanie i będzie oddziaływać na teraźniejszość. Wszystkiego nie odżałowałem, nie przepłakałem, nie przemyślałem. Ten proces trwa.

Rodzice są mi potrzebni psychicznie, pisałem już o tym. A jednocześnie czuję siłę odpychającą. Ciągle nie wiem, czy im umiem przebaczyć, nie

widzę powodu, by się zmuszać. A poza tym - na razie nie umiem przebaczyć, choć próbowałem. Może zbyt wiele było w moim dzieciństwie postanowień, że tego nie zrobię.

Dźwięczą mi w uszach słowa Czesława Miłosza: Który skrzywdziłeś człowieka prostego *Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając. I inny fragment tego wiersza: Nie bądź bezpieczny*

Poeta pamięta / Możesz go zabić - narodzi się nowy

/ Spisane będą czyny i rozmowy.

Słyszę także słowa Zbigniewa Herberta (powtarzałem je sobie kiedyś niczym mantrę): Ocalałeś nie po to, aby żyć, *masz mało czasu, trzeba dać świadectwo. (...) I nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świcie (...)* Idź

wyprostowany wśród tych co na kolanach.

Proszę mi wierzyć, zawsze odnosiłem te fragmenty do swojej osobistej sytuacji.

Obciąża mnie to, że nie umiem przebaczyć i zapomnieć.

Albo przynajmniej przebaczyć. Kiedy byłem mały -

postanowienie, że nigdy nie wybaczę i że się zemszczę, było moją jedyną obroną przed niesprawiedliwością i krzywdą.

Boję się ludzi silniejszych albo domniemanie silniejszych.

Boję się tego, że zrobią krzywdę mojej rodzinie. Boję się wyśmiania przez innych. Nie lubię rezygnować z niczego w poczuciu, że coś mógłbym stracić. Dlatego rzucam się na każdy pomysł, na każdy biznes, nie doceniam zaś tego, co mam.

Swoje szanse oceniam w zależności od nastroju. Raz sobie myślę, że jest dobrze, mam stałe dochody, sporo umiejętności, jestem młody, więc sobie poradzę. A czasami myślę całkiem na odwrót: jestem za mało ambitny, za mało prężny, wcale już nie taki młody, może więc lepiej się zakotwiczyć na jakiejś państwowej posadce?

Czasami myślę, że nie podołam, nie udźwignę, że nie mam siły żyć. I niechby tylko moje córki dorosły i obym mógł im pomóc w starcie w życie, a

potem już nikomu nie będę potrzebny.

Sprzeczności, prawda? Żeby tak można było siebie zaprogramować radośniej!!! A może jednak trzeba próbować? Skoro dzieciństwo zaprogramowało mnie inaczej, to ile czasu muszę poświęcić na wyjście z tamtego programu i zalogowanie się winnym?

Przede mną wyboista droga, Pani Marto.

To naprawdę już koniec naszej rozmowy? Jak u psychoterapeuty

- budzik obwieszcza koniec sesji i nie ma zmiłuj się Marcin.

List 18

Od: Marcin

Temat: Magda.doc i Paulina.doc

Jeszcze dwa słowa. Przeczytałem dwie Pani powieści Magdę.doc i Paulinę.doc. Jednym tchem, w nocy. Płakałem.

Jakże mi bliskie są opisywane tam sytuacje. Nareszcie wiem, że książką, którą pisze Pani teraz, zgłębia Pani temat przemocy, zniewolenia i gnębicieli. Dziękuję za te książki i za naszą rozmowę.

Marcin

Odpowiedź 18

Od: Marta

Temat:

Dziękuję. Za to, że opowiedział mi Pan swoją historię.

Martafox

„Gdybym miał napisać książkę o moralności, miałyby sto stron, a dziewięćdziesiąt dziewięć z nich byłoby pustych.

Na ostatniej napisałbym:

Znam tylko jeden obowiązek - kochać”.

Albert Camus

Od A u t o r k i

W książce wykorzystałam tylko cztery opowiedziane mi historie.

Kiedy zbierałam materiały, byłam pewna, że napiszę posłowie, w którym podzielę się spostrzeżeniami, dokonam podsumowania, wypunktuję wnioski, opowiem o tym, jak pracowałam nad książką.

Teraz wiem, że nie chcę niczego komentować. Niech opowiedziane historie brzmią własnym głosem.

Dziękuję wszystkim, którzy do mnie napisali.

Za odwagę i zaufanie dziękuję:

Katarzynie S. z Lublina, Małgorzacie W. z Rybnika, Barbarze K

z Krakowa, Alicji S. z Krakowa, Bożenie S. z Rawicza, Marii K z Warszawy, Marzenie W. z Zakrzowa, Aleksandrze R. z Bojanowa, Izabeli S. z Opola, Stanisławie K z Kędzierzyna-Koźła, Barbarze L, Krystynie C. z Wodzisławia, Wiesławie Z. z Jaworzna, Marcinowi S. z Kłodzka, Magdalenie B. z Pszczyny, Katarzynie K z Jastrzębia

Zdroju, Nefretete, Małgorzacie S. z Sosnowca, Magdzie Z. z Katowic, Beacie K z Wrocławia, Joannie P. z Wolbromia, Kasi z Będzina, Maryli B. z Gdyni, Dorocie S. z Katowic, Buziaczkowi z Krakowa, Agacie R., Wiktorii B. z Mikołowa, Jackowi z Tychów, Annie C. ze Szczecina, Asieńce, Jolancie, Elżbiecie z Częstochowy, Józefinie z Sosnowca, Renie z Bytomia, Piotrowi z Katowic, Barbarze R. z Łodzi, Justynie K z Tarnowskich Gór, Oli z Żywca, Marioli z Będzina, Grażynie W. z Gliwic, Krystynie K z Zielonej Góry, Basi z Nowej Soli, Arturowi z Warszawy, Zdzisławowi, Wandzie U. z Wrocławia, Lucjanowi z Sosnowca, Barbarze z Tarnowa, Marii S. z Legnicy, Zofii z Katowic, Irenie z Opola, Marianowi z Czechowie-Dziedzic, Alfredzie ze Strzelec Opolskich, Gabrieli z Wadowic, Irenie K z Bielska-Białej, Maryli Z. z Piotrowie, Dwidze z Siedlec, Ryszardowi B. z Wolsztyna, Marcinowi B. z Gorzowa Wielkopolskiego, Bronisławie z Kołobrzegu, Markowi K z Raciborza, Anecie C. z Jasła, Marii z Mysłowic, Joli z Dębicy, Waldkowi z Kędzierzyna, Mirosławie z Rawy Mazowieckiej, Elżbiecie z Kęt, Izabeli z

Chrzanowa, Maryli z Bochni, Helenie z Zawiercia, Teresie z Dąbrowy Górniczej, Danucie z Warszawy, Monice z Włodawy, Marii z Kielc, Elżbiecie z Lublina, Bogumile z Głubczyc, Basi P. z Sosnowca, Michalinie z Kluczborka, Dasi z Bytomia, Kosiarze, Majce z Rybnika, Pszczółce 38, Cygaretki, Króliczkowi, Jaśkowi 52, Celinie, Marzenie z Krapkowic, Sylwii z Działoszyc, Wieškowi z Radomska, Ewie z Głogówka, Andrzejowi z Lublińca, Krystynie z Torunia, Aneczce, Katarzynie K, Marcie S.

Marta Fox

Document Outline

- ??
 - ??
 - ??
- ??
 - ??
 - ??
- ??
 - ??
 - ??
 - ??